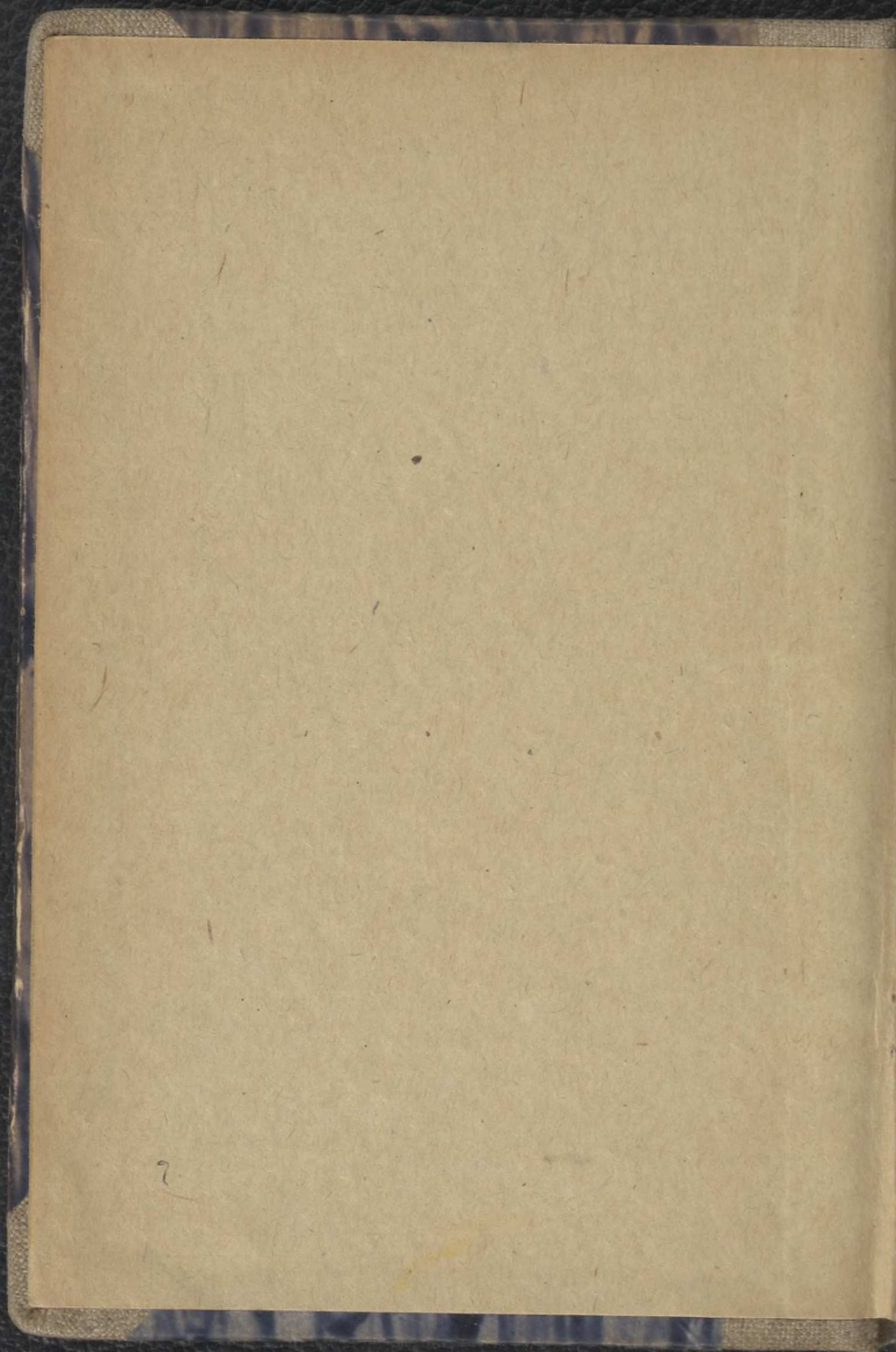
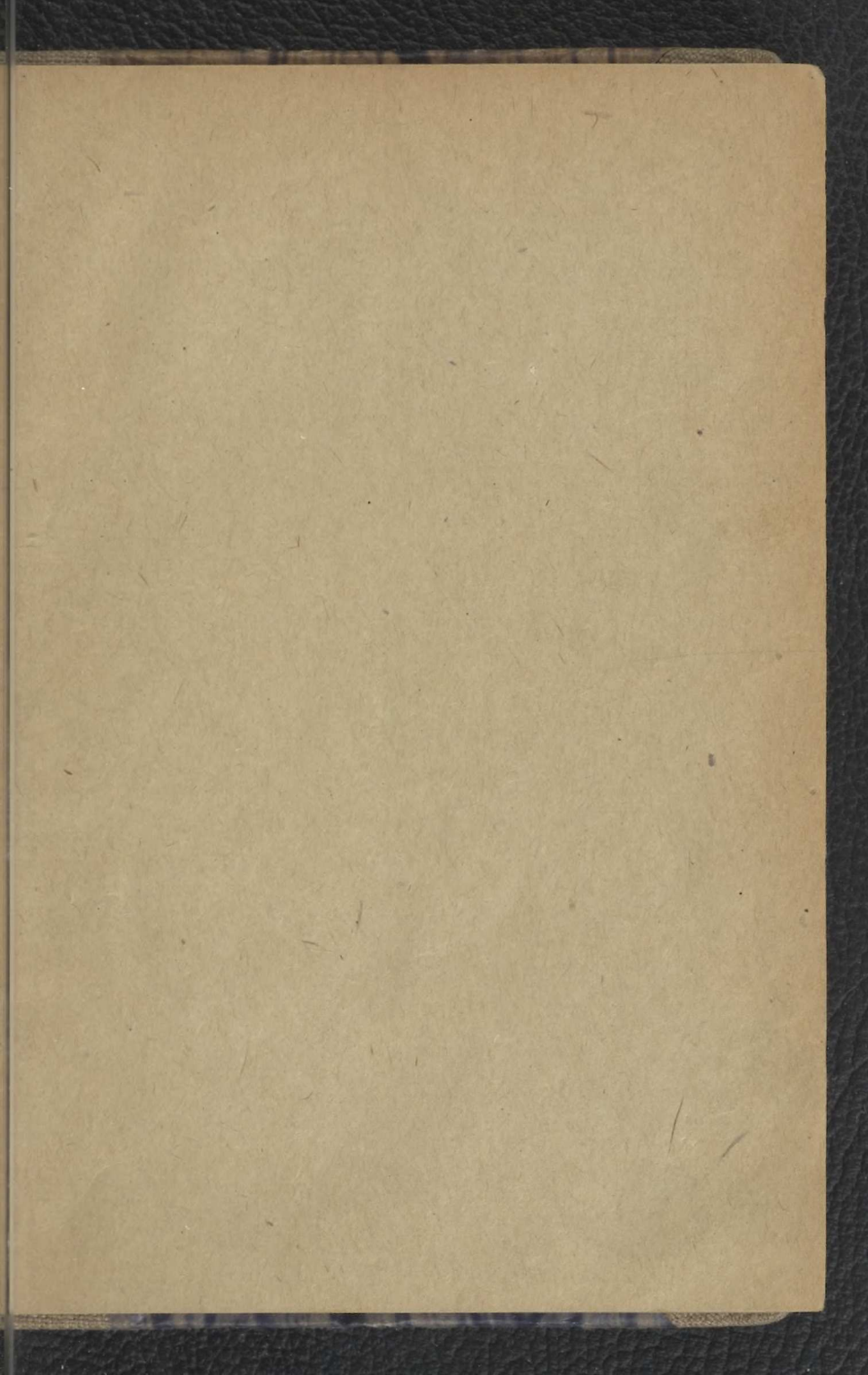
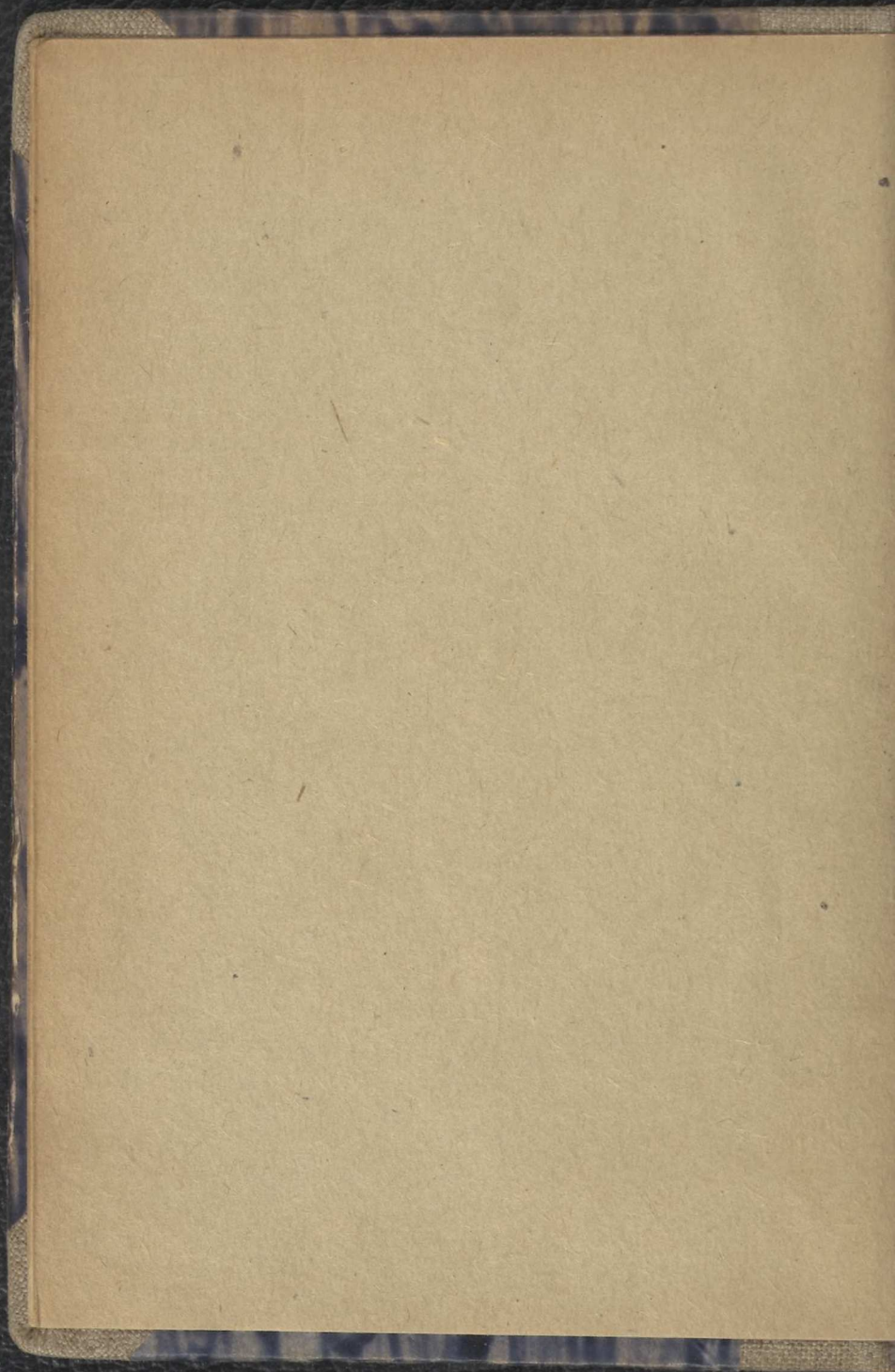


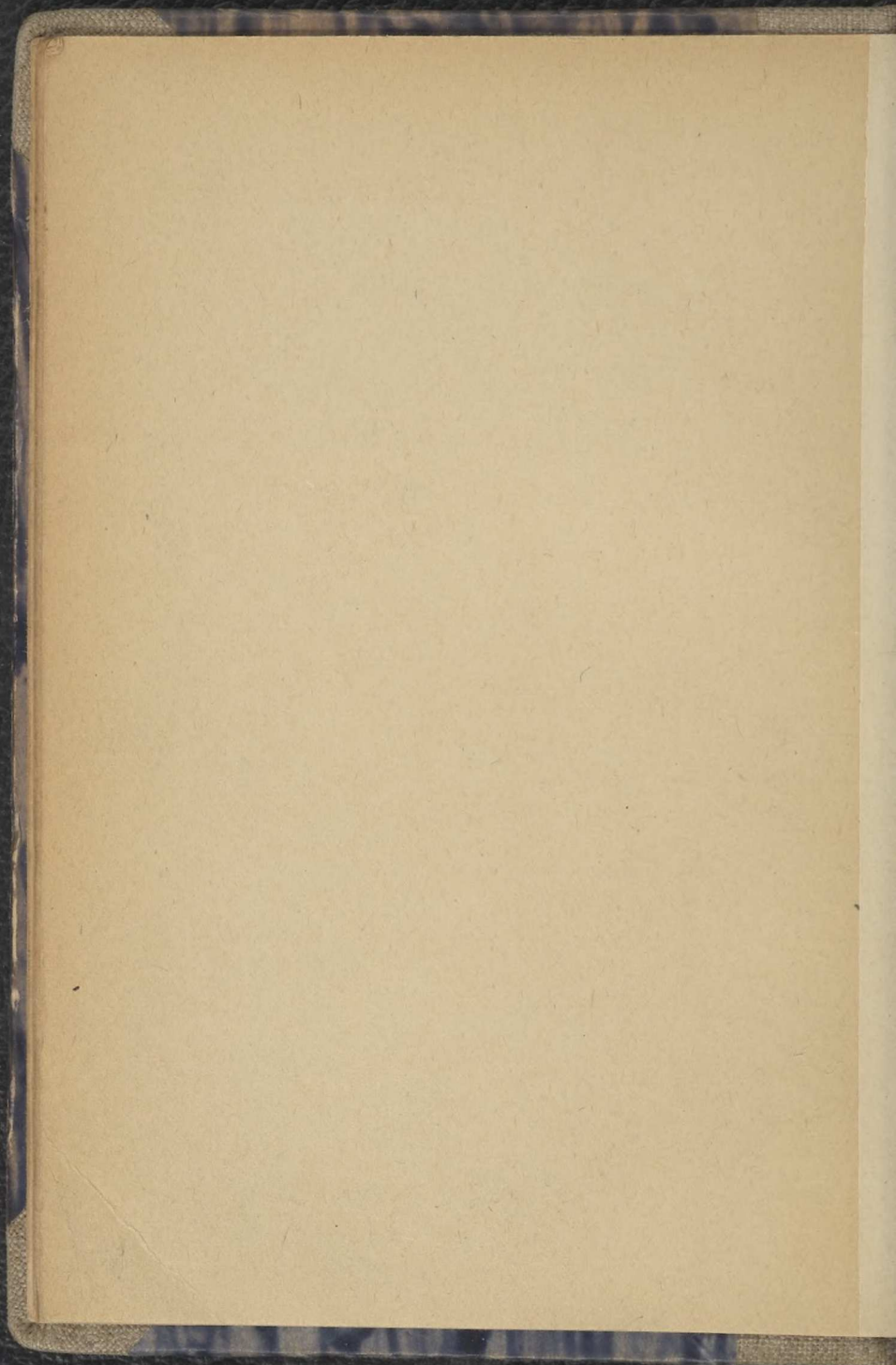
471



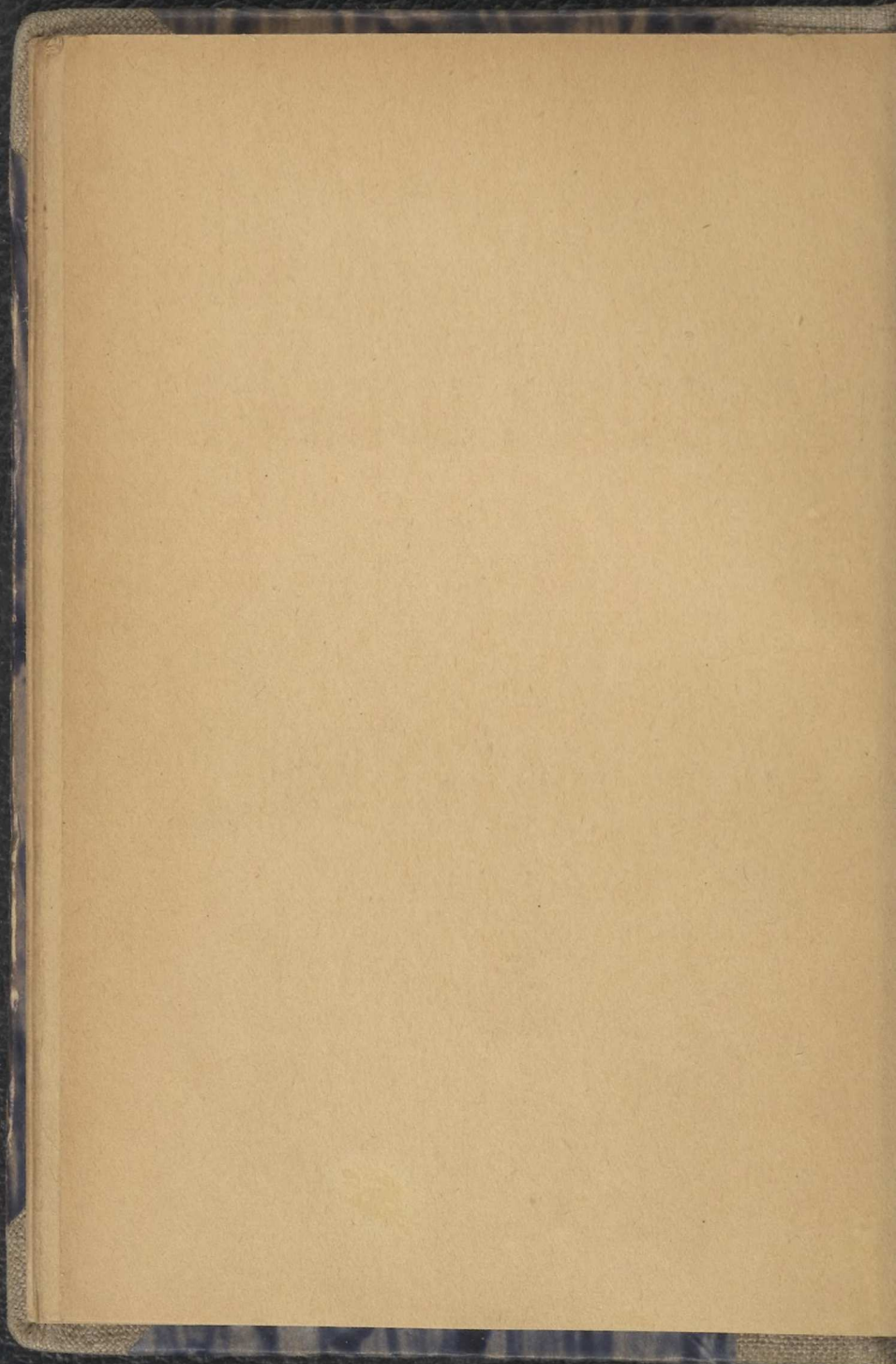








CZŁOWIEK W OKNIE



ZBIGNIEW UNIŁOWSKI

CZŁOWIEK W OKNIE

Biel. 126



W A R S Z A W A
WYDAWNICTWO WSPÓŁCZESNE

*Tłoczono w Zakł. Graf.
„Drukarnia Banko-
wa”, Warszawa,
Moniuszki
Nr. 11.*

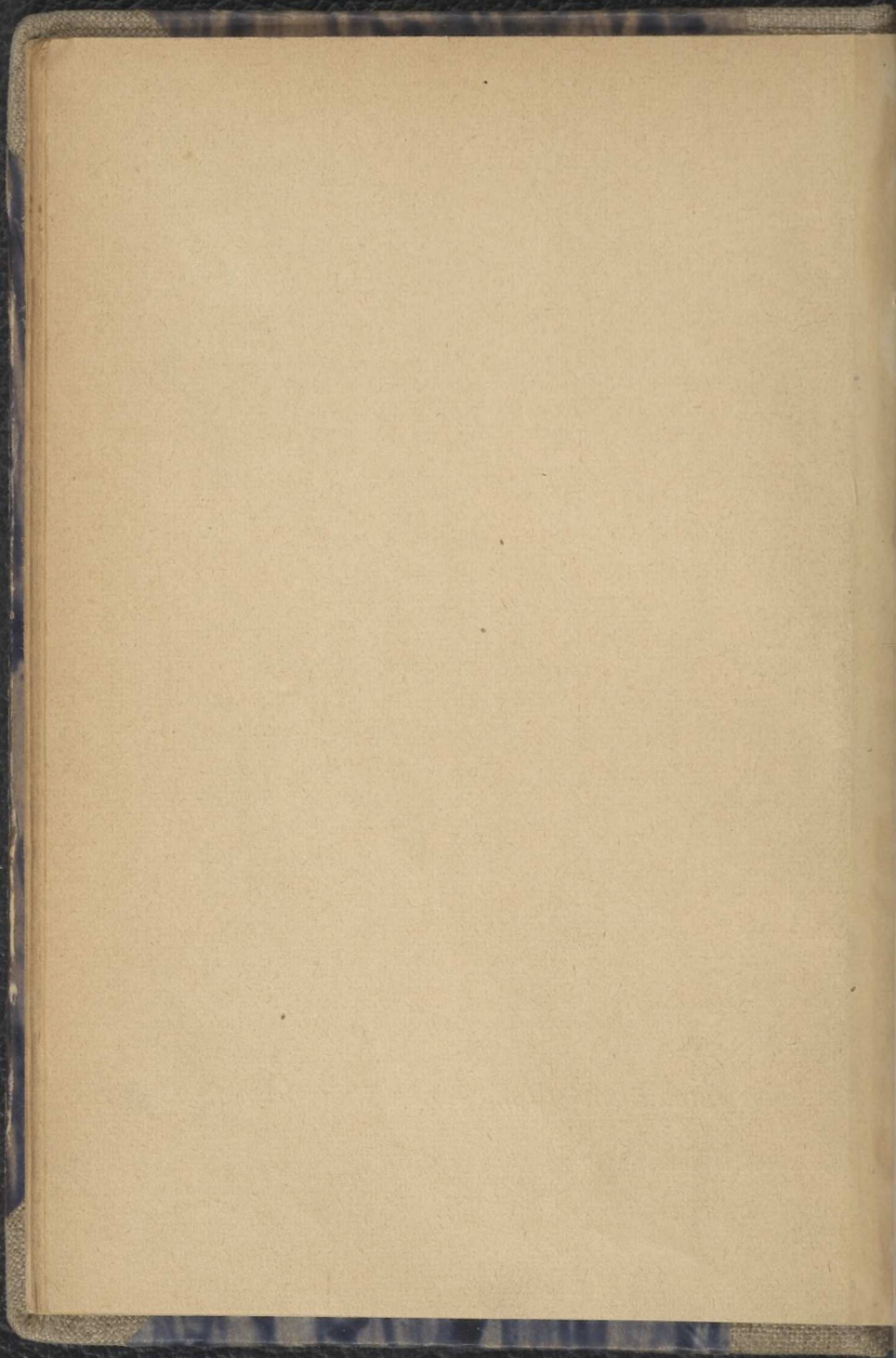
I. 548. 471



CZŁOWIEK W OKNIE

Stanisławowi Ignacemu Witkiewiczowi.

Człowiek w oknie — 1.



Dom jest drewniany. Szczerniały i stary stoi w zaniedbanym parku, z trzech stron nim otoczony; — z czwartej — od wejścia — ciągnie się, drzew pozbawiona zupełnie, ugorna przestrzeń, step. Park jest wielki; trzeba iść dość długo, zanim się dojdzie do końca, t. j. do miejsca, gdzie się znajduje staw: wielka, nieruchoma plama wodna zielonkawego koloru. — Niespuszczamy od lat wielu, staw zarósł gęsto, zarybił się i powierzchnię jego pokrył mech i lilje wodne. Poza stawem są wzgórza dość wysokie; oblegają one również park w półkole, czyniąc go ciemnym i wilgotnym. Tak więc, dom stoi w miejscu ponurem, — na pustkowiu.

Jest to dom, w którym rozgorzał płomień miłości zbyt gwałtownie, aby mógł trwać długo. Nie zgasł jednak sam przez się, — został zgaszony. Było to przed laty dziewięciu; wówczas, gdy żona Szymona Pelca była równie piękną kobietą, dobrą

żoną i czułą matką. A ponieważ zbyt długo docho-
wywała wiary swemu mężowi, (chudy i wąły na-
czelnik stacji kolejowej, lubiący grać w szachy)
świadomość zaś urody i względnej młodości zmu-
szała ją do cichych tęsknot i częstego patrzenia
w lustro, więc nie mogła, nie chciała może, długo
opierać się pięknemu oficerowi, niejakiemu Gar-
łupejowi, przyjeżdżającemu często w gościnę do
domu, w którym przebywała tak ponętna kobieta.
Tak więc, Szymon Pelc był zdradzany. — Piękna
Flora zdradzała go z energją i sprytem, tak wła-
ściwym kobietom poznającym rozkoszne misterja
zakazanego szczęścia. Na kilka dni przed powro-
tem do miasta (Pelcowie przyjeżdżali tu na letnis-
ko) Flora zniknęła wraz z Garłupejem. Nie zosta-
wiła listu, nie wzięła nawet ze sobą wierzchniego
okrycia, — również płaszcz i czapka Garłupeja
wisały na kołku. Poszukiwania trwały dwa dni. —
Znaleziono ich wreszcie — Florę i Garłupeja:
opuchli i sini poruszali się lekko w sitowiu stawu.
Wpobliżu pływała łódka dnem wywróconem do
góry. Szymon Pelc badał wywrotność tej łódki,
nie, nie była znów tak wywrotna: musiano w niej
różne hopki wyczyniać.

W rok po śmierci żony, Szymon Pelc doczekał
się emerytury. Sprzedał więc dom w mieście i prze-
niósł się na stałe razem z córkami tutaj, do tego
ponurego ustronia. W kilka tygodni później przy-
jechał cioteczny brat Pelca — Emeryk Sobel. Przy-
jechał na krótko, aby pocieszać brata, — przedłu-

żył swój pobyt do kilku miesięcy, aż wreszcie został na stałe. Coś mu się tam w mózgu popsulo.

* * *

Szymon Pelc zajął dwa pokoje na piętrze, — zdziwaczał. Nie wychodzi prawie ze swego mieszkania; często gra z samym sobą w szachy lub mówi głośno. Żyje cicho — wspomnieniami. Trzeci pokój, obok ojca zajęły córki: Janina i Fera. Pierwsza zajmuje się gospodarstwem; ma jasne włosy, wesołe oczy i dwadzieścia pięć lat. — Tak się jakoś stało, że przegapiła swą młodość, — nie zdała sobie nawet sprawy z tych lat, które przeszły niezauważone, minęły ją, jak pociąg samotną budkę dróżnika; były tam jakieś maje, słowiki i tęsknoty nieuświadomione, — ale teraz żyje sobie oto beztrosko, — pulchna i wesoła, myśli jej ograniczają się do domu i kuchni. — Nie potrafi cierpieć. Fera. O, ta ma swój płomyk, który ją wiedzie przez mrocznie-monotonne życie; są to skrzypce, kształtny instrument z drzewa, wyrażający często wiele. Gra więc Fera całymi dniami; chuda i wysoka nadmiernie, podobna do ojca, o rudych włosach, wyblakłych oczach i piegowatej, bezbrowej twarzy, Fera sprawia wrażenie czegoś niepotrzebnego w tym domu.

A nadole mieszka Emeryk Sobel. Jego pokój mieści się w lewej części domu; okno wychodzi na gęsto zadrzewiony kąt parku. W pozostałych czterech pokojach umieszczone są różne stare sprzęty,

szafy pełne gratów nieużywanych i zniszczonej odzieży—nikt do nich nie zagląda. W pokoju Emeryka stoi szerokie, drewniane łóżko z brudną pościelą, obok łóżka — na podłodze — leży stos napół zjedzonych przez mole książek, naprzeciw stoi duża szafa z jedną połową drzwi tylko. W kącie ściany, obok drzwi, stoi kubel z wodą, taburet, na nim miednica z wypryskaną w wielu miejscach emalją; pod oknem stoi obszarpany, wytarty fotel; w tym fotelu Emeryk spędza prawie dzień cały siedząc i patrząc w okno. Tak jest tutaj: brudno i cuchnąco, kąty zaśmieczone, — szare, otłuczone ściany są gołe i wilgotne.

* * *

Teraz jest zima — luty. Drzewa czynią wrażenie wielkich, czarnych patyków powtykanych w niebieskawy, twardy śnieg; odcinają się one ostro od martwo-ołowianego, mroźnego powietrza. Przy oknie, w fotelu, siedzi Emeryk i patrzy przez wychuchany krążek w szybie — w ciszę parku.

Palce prawej ręki trzyma między zębami i, gładką — bez zarostu — brodę oparł na dłoni. W pokoju ziąb panuje wielki i Emeryk ma na sobie kilka sukien; długich, kobiecych sukien, kłoszowych i wąskich w pasie. Na nogach ma popielate, ciepłe pończochy i damskie, sznurowane buciki na wysokich obcasach. Na suknie nałożył olbrzymie, wyleniałe w wielu miejscach futro niedźwiedzie. Jest zgarbiony i nieruchomy. Dłgie,

w kosmyki pozlepiane włosy opadają mu w nieładzie na ramiona. Twarz jego w przeciwieństwie do wątłej postaci jest wielka, tłusta i obrzękła. Mięsiasty, wągrowaty nos podkreśla blado-sina linijka cienkich warg, rozchylonych wetkniętymi między białe zęby brudnymi palcami. Siedząc tak pod oknem, Emeryk sprawia wrażenie odrętwiałego. Lecz w szparkach przymrużonych powiek błyszczą oczy: czarne, poruszające się djabelnie żywo, złośliwie patrzące przez zamarzlą szybę, niesamowicie wesołe oczy. Tedy więc, tutaj uciekło życie, — tutaj się mieści, skoncentrowane w tych dwóch szklawkach owalnego kształtu, ukrytych poza niedomkniętymi powiekami. Jest jeszcze coś, czego nie widać, a co pracuje usilnie — zbyt usilnie i przekazuje swą żywotność oczom: szara masa, wciśnięta w siatkę z tysiąca czerwonych włókien, poplątanych w tej spiczastej głowie osadzonej na wąskich barkach. Jest mózg — umysł obłąkanego człowieka, który siedzi bez ruchu w nieopalonym pokoju i patrzy na kilka bezlistnych drzew, sterczących w śniegu; — jakgdyby starał się ujrzeć tam coś, coby mu rozwiązało zagadkę kilkuletniego przebywania w tym cuchnącym pokoju i wpatrywania się w okno, poza którym monotennie — cztery razy do roku zmieniał się ten kawałek parku: budząc się na wiosnę, — pulsując życiem stworzeń i roślin w lecie, — zasypiając wraz z drzewami na jesieni i śpiąc w zimie — w śnieżnej martwocie. Ten mózg jest czynny — zbyt czynny, pełen niepotrzeb-

nych myśli, — funkcjonujący jak fabryka pełna oszalałych robotników bez dozoru. Kłębią się, nie-dojrzałe do wydania w czas rozkazu ruchu które-mukolwiek z członków tego słabowitego organizmu — myśli. A jeszcze o oczach: — te dwa małe, uwiezione jakby zwierzątka, biegające w swych ciasnych klatkach, naładowane fałszywą żywotnością mózgu — jakże obłudnie odzwierciadlają one sceny, przesuwające się przez ten chory umysł.

Teraz pracuje wyobraźnia: — Tam, na łóżku leży napół rozebrana kobieta; jej piękna twarz tchnąca zmysłowym zachwytem przylutona jest do policzka mężczyzny. — On jest baczysty; nakrywa ją swym masywnym ciałem, obleczonem w mundur wojskowy, — porusza się i ostrogi u jego butów wydają cichy dźwięk. Posiada ją. (Powieki Emeryka są zamknięte, a cała twarz ożywiona wyimaginowana, lecz jakże przeżywana rozkoszą). Teraz kobieta obejmuje gwałtownie ramiona mężczyzny i głowę jego przyciska do obnażonych piersi; — wydaje głuche, przycłumione spełnieniem jejki i usta jej szepczą słowa bezładne — (wydać jej Emeryk widząc się na dnie rozchwybotanej łodzi). Kobieta opuszcza głowę na poduszkę, — ciałem jej wstrząsają dreszcze nasycenia. Usta Emeryka uwolniły się od palców i szybko przepuszczają powietrze; — kontury łodzi rozpląnęły się wraz z rzędniejącą mgłą wyobraźni: — tu, pod oknem spełniło się. Lecz wróci podniecająca wizja — może

za godzin parę, — gdy tylko ciało sił nabierze nieco.

Zatem rozdwojenie osobowości; — pod sukniami kryje się owo nieporozumienie płciowe — pod sukniami, które okrywają ciało mężczyzny — półmężczyzny, obłąkanego Emeryka Sobla?

Jego twarz teżeje jakby, — podniecenie znikło już i blado-sine pasemka warg zamknęły się. Emeryk wstaje z wolna z fotela i zbliża się niemrawo w stronę kubła z wodą; drży cała ta postać, drży i wydaje gardłowe dźwięki. Trzęsąca się ręka zanurza blaszany kubek w wodzie i pije chciwie. Po chwili Emeryk zajmuje z powrotem miejsce pod oknem, opiera brodę na dłoni i znowuż przygasa oczy jego wpatrują się w nieruchomo sterczące drzewa.

Janina otwiera gwałtownie drzwi; wnosi dwa talerze — z zupą i grochem, — stawia je na oknie i powiada: No, jedz — Emer! — jedz i nie myśl tak wiele. O czem ty myślisz? — Wyjmuje z kieszeni fartuszka małe lusterko: popatrz jak ty wyglądasz — jak topielec. — Twarz masz nalaną, zsiśniałą.—A to wszystko przez to, że za wiele myślisz, a za mało jesz; nie patrz tam — tam nic niema; śnieg i smutne drzewa, mróz i parę wron. — Emeryk nic nie odpowiada, nie odwraca się nawet — więc Janina klepie go po ramieniu — mówi: ej, ty dziwaku, — i wychodzi trzaskając drzwiami z nadmiaru sił żywotnych.

Emeryk zjadł obiad. Chodzi teraz po pokoju i mamrocze pod nosem słowa niezrozumiałe. Myśli jego są różne, zawsze jednak bliskie jednego tematu: — Jest bladą, szczupłą panienką. — Sad błyszczący tajemniczo w poświacie księżycy; na ramiona i włosy panny sypią się bezgłośnie płatki kwiatu jabłoni i wiśni. — Trzyma ją ktoś pod rękę, — kto? — może ten parobczak — olbrzym opalony, pachnący potem i sianem, może bokser ze spłaszczonym nosem, ten, którego podobiznę widziała w pewnym tygodniku sportowym, a może wysoki ułan, lśniący lakierem butów — któryś z nich prowadzi ją do łodzi drgającej na migotliwej powierzchni stawu. Usiedli na wąskiej ławce; mężczyzna obejmuje pannę wpół, — (Emeryk tufi się do niewidocznej postaci) całuje grubemi wargami i ciepłym językiem pieści podniebienie; — potem ściska ją mocno, namiętnie, i układa na chłodnym dnie łodzi. Panna broni się, (Emeryk odpycha rękoma powietrze — uśmiechnięty) lecz jakże jest słaba — i, — tu kończy się wszystko, ciało protestuje — jest zbyt wycieńczony, i Emeryk wyobraża sobie inną, podobną scenę, również bez skutku. Może później, gdy organizm nabierze sił nieco po poprzednim wysiłku.

Minął suchy, mroźny luty. Rzadkie, ciepłe podmuchy owiewają zmartwiałą przyrodę. Ktoś — stojąc w parku — mógłby zobaczyć w oknie lewej części domu głowę spiczastą, wtuloną w ramiona, — o twarzy żółto-sinej — obrzękłej, lecz pogodnej

go wyrazu, z brodą opartą na dłoni. W ledwie topniejące śniegi utkwione jest smutne spojrzenie marząco-błądnych oczu.

Emeryk porusza wargami, jakgdyby modlił się: (teraz ma na sobie spodnie w paski i flanelowy kaftan, otulony jest futrem) cóż z tego do diabła, djabełka, djablunia, djablasa — że mam lat czterdzieści... repepe... pluplup... śnieg toopnieje... wioseenka nadchodzi... czterdzieścia... czterdziestaa... hohoho! czterdziestaa. Do pokoju poczęły się wsączać denerwujące tony skrzypiec — bez ładu, porządku; cienkimi strumykami tłoczy się do uszu Emeryka — potwornie-szalona improwizacja, tem gorsza, że wychodząca z pod smyczka wodzonego ręką wprawną. To Fera gra.

...wsiądę na okręcik, taki... taki malutki... i będę... lub może do łódeczki... z żoną admirała floty królewskiej... haha... i będę jechał, jechał po morzu... lub po stawie może — ale dokąd? — do Tahiti pojedę na łódeczce, albo nie... albo nie — na biegun pojedziemy... na biegun. A jak utoniemy po drodze? — hehe.

Emeryk rozparł się w fotelu i klasnął w dłonie dwukrotnie: hej, słudzy! — zapalcie łuczycywa, zapalcie je,—niechaj mrok zwalczą blaskiem swoim. — Męczą mnie cienie trupów poległych na wojnach, które wygrałem. O, jakże ciężko jest być możnowładcą, — podajcie mi wina. (Do uszu, do mózgu Emeryka — jak małe, jadowite zmijki wpełzały tony skrzypiec; kłębiły się tam, wwierca-

ły). Wiem, że jest zatrute, lecz trudno — ginę, jak na monarchę przystało. Hooj! — Emeryk wstał, — prawą rękę przyłożył do serca, lewą uniósł do góry — zaczął śpiewać swym cienkim głosem, udając bas: ... lecz nie martwcie się, o, widzowie, — przecież to tylko opera, będę konał tak przez dni kilkanaście — codziennie. Co to? — oszalał mój generał, och, jak słodko grzmia armaty. Ja. Samotny lew z pustyni lodowych — fioletowy lew — zawtóruje wam o, armaty. Fera nie przestawała grać na chwile. Emeryk ukląkł, ręce oparł o podłogę — podniósł głowę do góry i zaczął wyć. Niesamowity ryk, przechodzący wytrzymałość ludzkich strun głosowych, zmieszał się z dźwiękami skrzypiec i zawirował, zatańczył we wszystkich pokojach. Nowe zaczerpnięcie powietrza do płuc, i drugi, potężny ryk podtrzymał cichnący odgłos pierwszego. Skrzypce nie ustawały na chwile; cały dom rozbrzmiewał obłakańczym hałasem. Z piana na wargach — nie w stanie już wydobyć głosu z wymieczonego gardła, powlókł się Emeryk na łóżko: twarz ma błogo rozześmiana. Usypia, kołysany gorączkowo - cicha, szybka, *tajemniczo - nerwowa*, melodią, przedzoną smyczkiem niezmordowanej Fery.

A tam — na górze, Janka mówi do Fery, wycierając mokre po płukaniu kartofli ręce: — znowuż ryczał. — to ty — Fera — tak go rozdrażniasz ta swoją muzyką, zawsze, jak tylko nasłucha, nasłucha się tego, co ty grasz, jak mu się nabiera przez parę dni, to zaraz zaczyna to swoje wycie.

Jemu się nie dziwię, bo warjat — ale ty Fera?! — Kto to słyszał tak grać po całych dniach. — A może i ty też...

Ale Fera nic nie odpowiada — gra. Więc Jan-ka schodzi nadół, do kuchni, zagląda do gotujących się kartofli i już zupełnie o czem innem myśli.

* * *

Druga połowa marca. — Obudziły Emeryka pewnej nocy odgłosy głucho: było to monotonne trzeszczenie kół — skrzyp żelaza i tupot wielu kroków ludzkich. Za oknem trwała oleisto-ciemna noc i Emeryk położył się zpowrotem, nie zbadawszy przyczyny hałasu, — usnął przy akompanjamentie turkotu i nawoływań. Rano hałas zmniejszył się znacznie; słyhać tylko jakby szurgot wielu butów podkutych. Patrząc w okno, widzi Emeryk, poprzez nagie gałęzie drzew i krzaków, obrastających wzgórze ciżbę idących żołnierzy, częściowo tylko widocznych przez niezasłonięte gałęziami miejsca. — Idą ciężko i bezładnie; ich źle obute i okręcone owijaczami nogi — płaczą się i potykają o nierówności gruntu. Zatem piechota przechodzi drogą przez wzgórze; nocą poprzedziła ją baterja, sądząc po turkocie toczących się dział. Emeryk usiadł w fotelu i wtuliwszy twarz między dłonie, patrzy w górę, kędy za drzewami przechodzą zmęczeni, ociężali żołnierze.



Tak więc, (w umyśle Emeryka odbywa się nieporadnie proces myślowy, wychodzący poza granice łóżka i pokoju) gdzieś na świecie była lub jest wojna — skoro tam w górze tłoczą się żołnierze naprzód — zgarbieni. — Odwrót chyba. Idą djabelnie zmordowani, to widać po ruchach; pada drobny deszczyk i karabiny ich są opuszczone lufami do ziemi. Emeryk patrzy: tam, jacyś, tego, żołnierze — a on tu sam... skąd właściwie on tutaj... to przecież jest coś poza tym parkiem. A on? — Kto jest on? — W tej chwili stłoczone, głośne tony, — furjacka melodia Fery wtargnęła w logikę pytania, jakby wściekły buhaj między spokojne łany zboża. Mglisto wyłaniająca się odpowiedź zawirowała w zgrzytliwej masie dźwięków — rozmazała się po rozdygotanym umyśle i, — pytanie pozostało bez odpowiedzi. A tamci idą: drobny deszczyk potęguje jakby odgłos ich kroków — idą... idą; posuwa się naprzód szara masa ludzi z opuszczonemi na piersi głowami. Monotonja tego marszu łączy się z grą Fery i tworzy denerwującą mieszaninę dźwięków. Emeryk wstaje z fotela i poczytna szybko chodzić, trzęsącemi się rękoma wyrывa włosie z futra; co chwila zagląda w okno — idą. Fera gra.

Mrok rozlał się w zadeszczonem powietrzu i zamazał sylwetki żołnierzy, z dziurawych rynien opadają krople wody na ziemię — skrzypce Fery umilkły. Emeryk marzy: jakże pięknie wygląda. Lakierowane cholewy lśnią i obciskają zgrabne

łydki młodego oficera. Idzie trotuarem i czuje na sobie wzrok zachwyconych kobiet, — zdejmuje z ręki kremową rękawiczkę i zapala papierosa, następnie idzie — spaceruje tak bez końca. Potem... co potem? — Emeryk otwiera oczy; w pokoju jest ciemno, — turkoczą szybko toczące się działa i słyszczać nawoływania żołnierzy, więc Emeryk kładzie się do łóżka i zasypia ciężko, drżąc z zimna.

Ranek jest pogodny. Emeryk widzi przez okno żołnierzy, konie i wozy w słońcu. Tu, w jego pokoju jest mroczno, ale skoro tamci mają pogodę, to znaczy, że już niedługo nastaną ciepłe, słoneczne dni.

W szerokich wozach siedzą ludzie bladzi, z poobwiazuwanymi głowami i rękami na temblakach: — powożący ostro poganiają konie, koło wozów biegną żołnierze o ziemistych twarzach; co pewien czas przeganiają ich pojedynczo kawalerzyści. Na tyłach idą ci najslabsi; tłoczą i pchają się naprzód, niektórzy trzymają się desek wozów, są to szczęśliwcy, którzy pozbyli się połowy ciężaru swego ciała.

Emeryk patrzy na nich błędnymi oczyma, kołysząc swą śpiczastą głowę. Ci w górze denerwują go najwidoczniej. — Raptem wszystko cichnie. Emeryk może jeszcze pochwycić wzrokiem sylwetki kilku żołnierzy, znikających za zakrętem drogi. Zdaleka dochodzi jeszcze trzeszczenie wozów, kilku kawalerzystów przegalopowało, i ucichło zupełnie za drzewami.

Teraz jest cisza absolutna. W podświadomości Emeryka formuje się zdziwienie, że Fera jeszcze nie gra — jest to przyczyną lekkiego niepokoju i mrużenia powiek. Emeryk otwiera okno. Po raz pierwszy od pięciu miesięcy do pokoju wpływa świeże powietrze; jest ono ciepłe, nieco wilgotne. Emeryk oddycha, przymrużywszy oczy — otwiera je jednak szybko: połowa okna poruszona wiatrem skrzypnęła w zawiasach. — Och, więc to nie Fera. Ozłoczone słońcem szczyty drzew odcinają się od czarnych pni. Ponieważ ptaki ćwierkają zbyt głośno — Emeryk zamyka okno i siada w fotelu. Odczuwa rozchodzącą się po ciele energję; — przecież jest mężczyzną, czuje to w sobie wyraźnie. Chwilę myśli, następnie wstaje, otwiera drzwi i wychodzi na korytarz; przemyka się powoli do sąsiedniego pokoju. — Jest tu pełno w nieładzie porzucanych gratów. Emeryk otwiera dużą, dębową szafę; wyjmuje z niej szybko: stary, oficerski mundur, czapkę, buty i zardzewiałą szablę, — składa to wszystko na ramię — szablę bierze w rękę i wraca do siebie. — Szybko zrzuca futro, kaftan i spodnie. Ubiera się w wyszarzały, noszony ongiś przez jakiegoś kuzyna — mundur. — Musiał to być drab nielada, bo spodnie sięgają Emerykowi aż po szyję. Daje sobie jednak z tem radę, — ach, bo mężczyzną jest przecież — ma chęć nim być. Wszystko już ma na sobie: zwisa na nim ten mundur, a między łydki i cholewę możnaby włożyć małe polano; czapka opada na uszy, ale to nic —

mimo to, jest chyba Emeryk rześkim chłopakiem — oficerem. Coś jeszcze brak? — a, szabla przecie — ta najważniejsza rzecz u wojskowego; — przypina ją sobie Emeryk niezdarnie do pasa — wpraw z prawego boku, a potem — racja — z lewego. — Nieprzyjemny jest ten kawał zardzewiałego żelaza: ciągnie się po podłodze i płącze między butami, — lecz trudno; kto widział dziarskiego oficera — pełnego sił mężczyznę bez szabli. Emeryk spaceruje po pokoju: wyprostowany jest, — długie włosy opadły na ramiona i zakrywają haft kołnierza, — jeden but tylko zbrojny jest w ostrogę, lecz tupie nim Emeryk mocno w podłogę i brzęczy rzeczywiście prawdziwie. Zmęczył się jednak tym chodzeniem — więc siada w fotelu, usadawia szablę i myśli: Piękna jest Flora — córka dowódcy pułku. I patrzy na mnie przychylnie — muszę zdobyć jej serce. Floro, pójdź ze mną na spacer w topolową aleję. — Zatem zgoda. — Ach, Floro — jakże chłodne są twoje ręce, czy usta również takie? — Tak, usta... twoje są również chłodne, — a piersi... co to... nie masz piersi — Floro?! — Ale włosy twoje są wspaniałe... lecz nie, nie masz długich włosów Floro... i gładko uczesana jest twoja głowa. Pokaż więc twarz swoją. — Ach, więc chłopcem jesteś Floro... no to teraz całuj mnie Floro... teraz... teraz — usta masz tak gorące... ramiona twoje są tak silne — obejmij mnie niemi... temi... męskimi — oh, co? — szabla przeszkadza... od... odrzućmy ją precz w... w wodę — tak, — te-

raz... Floro... Floryssie... we wło... we włosach...
masz... wodorosty.

Początkowo cichutko, potem coraz głośniej poczyna grać Fera.

Emeryk otwiera oczy — drży z podniecenia; wstaje — ciąży mu mundur, buty, czapka — wszystko. Rozbiera się gorączkowo, odrzuca szablę ze wstrętem: — suknie, suknie włożyć jaknajprędzej — mundur precz, pod łóżko. Tak, — jak pieściwie otulają ciało suknie obszerne, jakże wygodne jest łóżko: — pieść mnie czarnowłosa djable-olbrzymie, oot, tak — tylko nie chybocz łodzią bo, hehe... utoniemy spleceni miłosnym uściskiem.

* * *

Kwiecień począł stroić w zieleń drzewa i krzewy parku: okrył je pąkami, a ptakom włożył w gardziółka świegot wesoly. Emeryk czyta Ewangelję. — Spieczonemi od żądz wargami szepcze czytane słowa. Poprawia co chwila wielką księgę ugniatającą mu kolana — w pożółkłych kartach widzi obrazy — jakże dalekie od treści czytanej księgi.

Czyta:

...,morze zaś burzyło się pod naporem wiatru silnego. Gdy więc upłynęli prawie dwadzieścia pięć do trzydziestu stadyów, widzą Jezusa krocącego po morzu i zbliżającego się do łodzi, — i strach ich ogarnął! „...“

Emeryk przerywa czytanie i rozważa: Pięknie musiał wyglądać Syn Boży — gdy tak szedł bosemi stopami po szmaragdowych falach. Powiedziane jest jednak: szedł. — Trudno to jest iść morzem, którego fale zawsze są dość wielkie, — a nawet, gdyby kamieniały one pod krokiem Chrystusa, to i wówczas tworzyłyby nierówne, śliskie pagórki — zielone takie. Przyjemnie to iść sobie takim wodnym obszarem, ale na to trzeba być Synem Boga, — A tamci dwoje: — Flora, tak piękna i ten oficer, chłop jak dębczak — w łodzi. Byli tylko ludźmi — niewolnikami cudownej sprawy dwojga ciał i, zginęli... hehe, ofiary perfidnej sztuczki natury. Istotnie, tak. Nie spotkałoby to ludzi o pewnej potędze — człowieka, przypuścmy, będącego w możności władać żywiołami... Chrystus mógłby unieważnić wywrócenie łódki, — lub też ktoś inny — podobnie potężny człowiek.

Tak i podobnie myśli Emeryk — biedny obłąkaniec. A ponieważ interesuje go ta księga, w której zawarte są czyny i życie Jezusa — Chrystusa — człowieka, więc czyta dalej przerzuciwszy stron kilka:

...,I wypadła nawałnica na jezioro, tak iż zalewała ich wodą, i byli w niebezpieczeństwie. Przyśpali więc i obudzili Go, mówiąc: Mistrzu, Mistrzu, ginimy! On zaś, powstawszy, nakazał wichrowi i wodnym bałwanom, a one zaniechały i stała się cisza“...

— Hm, — myśli Emeryk — łatwiej to uciszyć

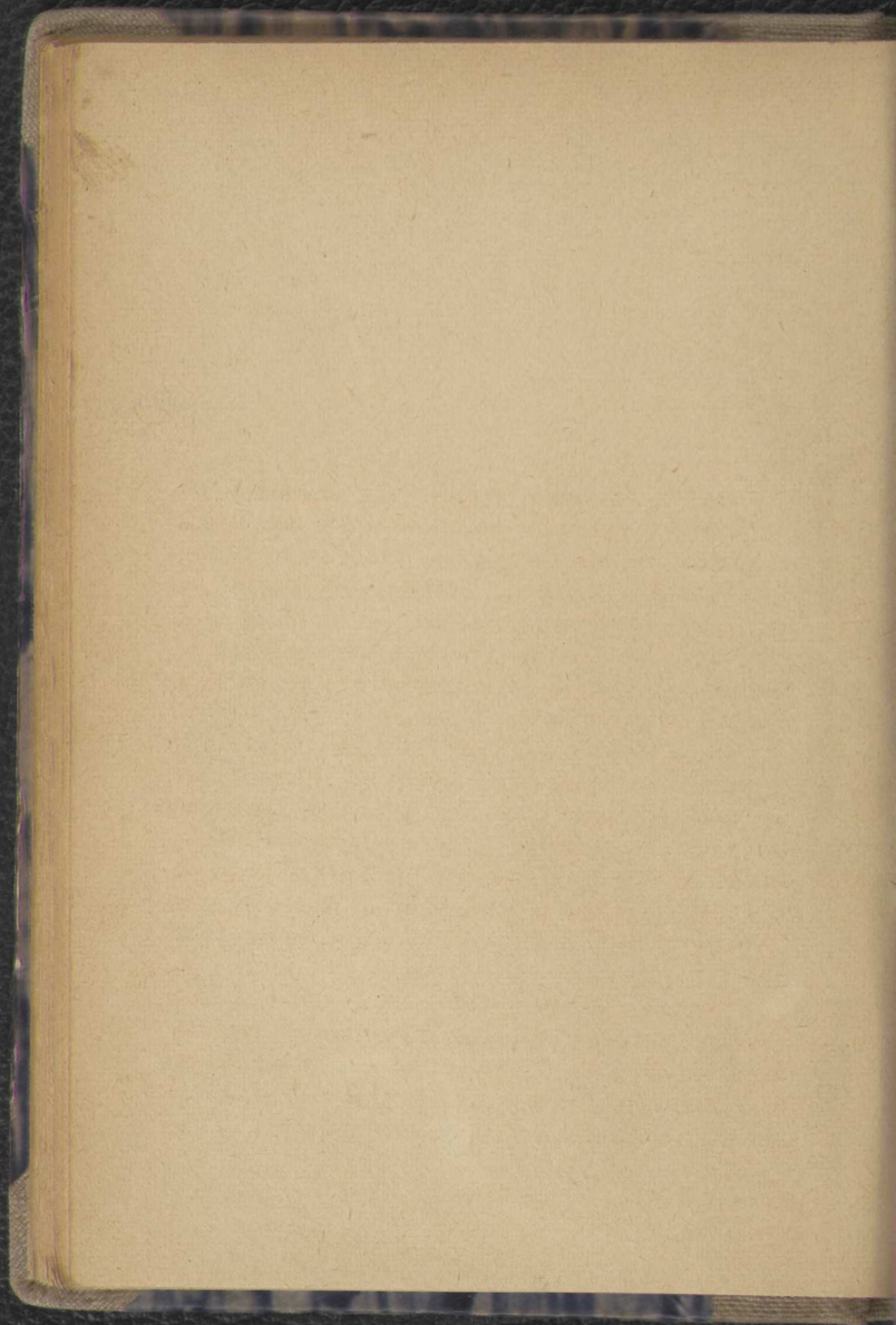
morze wzburzone, anizeli chodzić po niem. — I w wyobraźni jego utwarza się wielka przestrzeń wodna — szumiące morze, po którem idzie postać pełna majestatu i łagodności. Emeryk zmniejsza przestrzeń, dzielącą go od owej postaci i widzi tam siebie — tak, idzie sobie on — Emeryk Sobel — po powierzchni tej masy wodnej; jego buciki na wysokich obcasach suną po wodzie, jak po miękkim kobiercu. Emeryk płacze: łzy jego padają na pozostałe karty Ewangelji i tworzą tam plamy — na które Emeryk patrzy, uśmiechając się. A że park tętni pulsem życia i świeża zieleń trawy ciągnie na przechadzkę — więc Emeryk, przyciągany siłą niewytłumaczalną — zdejmuje futro, nakłada na suknie długi szlafrok niebieskiego koloru, poczem — z Ewangelją pod pachą lewej ręki — wychodzi, stąpając ostrożnie, ze swego pokoju na korytarz. Minął pokoje ze starcami meblami, — gdy przechodził koło kuchni, uszu jego dobiegł śpiew Janki, a nozdrzom dał się odczuć zapach pieczonego mięsa. Przeszedł więc szybko to niemiłe mu miejsce i stanął na progu domu. Przed sobą ma zalaną słońcem przestrzeń; wielkie pasmo stepu ciągnie się w rozslonecznioną dal. Na widnokregu ledwo rysują się ciemne smużki jakby: są to lasy odległe. Emeryk oddycha przeczystem powietrzem i myśli o morzu i o Chrystusie. Stoi w słońcu: — jakże żałośnie wygląda ta wątła postać, tak dziwacznie ubrana: nalaną, żółto-brudną twarz, okalają długie, w kosmykach na ramiona opadające włosy; —

z pod obszarpanego u dołu szlafroka wyglądają skoślawione buciki kobiece. Stoi Emeryk z Ewangelją pod pachą i marzy, patrząc w błękitne niebo. Lecz nagle skrzypce Fery orzeźwiają niemile Emeryka: okrąża dom mruczając coś i po chwili jest w parku. Idzie zapuszczoną, zarosłą aleją, a rozmokła, wiosenna ziemia wydaje mu się wodą morna — zieloną. Idzie naprzód — bez celu wyraźnego; — gdzieś między drzewami, w miejscach wilgotnych i pozbawionych słońca, leżą płyty topniejącego śniegu. Cisza jest tutaj i chłód. Raptem wylaniają się z gęstwiny krzaków kępy sitowia, a za nimi widać staw — staw nieruchomy, ciemno-zielony.

Twarz Emeryka płonie ekstazą — przyciska Ewangelję do piersi. — Więc w tem miejscu — tutaj zgi... utonęli — zalewając zimną wodą żar swoich ciał rozpalonych. Och, Floro, piękna Floro, czemużeś pogardziła mną, gdym cię tak kochał przed laty, czemużeś... ze mną nie zginęła?... Patrz... oto przejdę przez miejsce, które stało się... grobem waszym... Patrz! Emeryk idzie naprzód — wzniosłszy lewą rękę do góry — między sitowia. Nie czuje miękkości gruntu i chłodu wody przenikającej buciki. Idzie powoli i widzi siebie, stąpającego po powierzchni stawu, a naprzeciw zbliża się ona, Flora — w pokorze i zdumieniu. — Jest już po pas w zimnej wodzie stawu — idzie: razem z Ewangelją zanurza się coraz głębiej, ramiona obejmuje chłodny uścisk — lecz daleki jest Eme-

ryk od odczucia tego: — On idzie przecież powierzchni, po grzbietach ryb trwających ławicą w podziwiewie najwyższym. — Lecz — co za dziwne uczucie — straszne: przez gardło, przez nos i uszy leje się woda — zimna, zła, słodkawa: — leje się do wnętrzości, dusząc, dławiąc... oh... ohh... ohhoch!! — krzyku nie można wydobyć. Przed rzwartemi szeroko oczyma — poprzez wodę, przesuwają się obrazy jakies dziwne: wyraźnie widzi Emeryk: elementarz z wielkimi literami — modlącą się babkę — Florę uśmiechniętą szyderczo — siebie tam, pod oknem. Przeróżne sceny z życia, z tego pomyłonego życia. Wszystko to kręci się, miesza, wiruje i wielka twarz Chrystusa patrzy na Emeryka łagodnie. Śmierć na dnie stawu, w mulę — usadowiła miękko zwłoki Emeryka Sobla.

UPADEK LOGIKI



Ucisk bezbrzeżnej tęsknoty za obszarem dali morskiej — granatowem sitem nieba iskrzącego się gwiazdami nocy letniej, za fantastycznymi cieniami gładów, lizanych falami przyływów, za owym słonym zapachem wietrznym, co płuca uczuciem absolutnej swobody przenika, wreszcie potwornie gorączkowa monotonja oczekiwania na sen, dręczyły więźnia celi numer sto pięć.

Przez kwadrat okienka we drzwiach ciężko okutych, wpadał do celi pas świetlny. Po pasie tym posuwał się tam i zpowrotem człowiek zgarbiony, z rękami, — na skutek przyzwyczajenia chyba — założonemi do tyłu. Na tym to kilkunastometrym szlaku, więzień przechodził w ciągu nocy całe obszary. Wokół panowała chłodna, stężała ciemność.

Wyczuciem, wysubtelnionem wyczuciem istoty pozbawionej możności władania przestrzenią i wymiany myśli z współbiesiadnikami cudownego stołu życia, więzień zdawał sobie sprawę z ilości godzin, co upłynęły od północy poprzedniej. Wie-

dział, że jest jedenasta i w istocie mylił się o kilka minut zaledwie. Skądże płynęły te prądy ożywcze, nie pozwalające nerwom zapaść w stan odrętwienia, w bezwład, z któregooby skorzystał sen, aby pogrążyć człowieka w swem pozaziemstwie? Od dziewięćdziesięciu sześciu godzin, to znaczy od chwili, kiedy się dowiedział, że póki serce jego bić, a myśl istnieć będzie, nie ujrzy nic poza wilgotnym sześcianem swej celi i posepną twarzą karmiącego manekina-dozorcy, — od chwili tej skazaniec uczuł w swej głowie jakiś terkotliwy aparat wizyjny, dostarczający oczom — wbrew woli — najpiękniejszych pejzaży minionego życia. Oh, bo czegoż tam nie było? Wargi tej, co mieszkała w sercu jego, uśmiech matki, chybotanie łodzi na falach szalejących w słońcu, obfity połów, nierealne działanie cierpkiego wina w towarzystwie najmilszych kompanów, ha! — szczęście dnia niedzielnego i pewien obłok czasu burzy, kształtem swym czarnego anioła przypominający. Najróżniejsze możliwości korzystania z tego, co już przeszło, rozwijał ów aparat przed wzrokiem skazańca. Wymyślne sytuacyjki, drobne uroki życia, których się podczas swobody nie zauważa, tutaj jaskrawo ukazywał ów szal imaginacyjny, co się w mózgu skazanego na dożywocie usadowił.

I chyba wszelkie narkotyki świata nie zdołałyby uspokoić tego niepotrzebnie twórczego rozpaśnięcia. Gdybyż mógł oszaleć, zapaść w otchłań niezrozumienia swej doli. Lecz nie. Gdzieś w jednym

z zawojów płata mózgowego chytrze ukrył się pewien czynnik regulujący wiry prądów nerwowych. Pracowicie rozdzielał je, rozplatał, jeżeli na chwilę zetknęły się ze sobą, pomieszały i poczyniły ulgę braku logiki, co nieubłaganie tętniła, silną dłońią trzymając cugle rozwydrzonych nonsensów.

Tam, za drzwiami zgrzytało żelazo podkutych butów strażnika. Kamienna posadzka żałośnie dźwięczała pod nieśpieszącemi się krokami. Potworny akompanjament do żałobnego śpiewu wolności skazańca.

Cisza jednak była tak wielka, że oddziaływała na nerwy z równym największemu hałasowi skutkiem. Więzień przysunął twarz, bladą bardzo, do okratowanego w drzwiach otworu i w posępnej poświacie tlejącej się gdzieś u sufitu korytarza lampki błysnęły oczy: niby dwa czarne, ruchliwe żuki. Patrzył na przeciwległą, zielonkawą pleśnią porośłą ścianę. Ale brunatna nierówność głazu nie odwróciła uwagi od płastycznych wizyj, co wychodziły z wnętrza głowy i kolorowemi płatami trwały przed oczami. Ha, przeciwnie! — Właśnie na wyłomie ukazał się pewien obraz radosny: oto rybacy sieci naprawiają, psotnik Jozue wsadził do kurty starego Mirona małą rybkę, co się między dwa oka sieci zaplątała. Pracują w słońcu. Tak, ooouhuu!! Czyż już wszystko się przeciw mnie sprzysięgło?!

Nagle obraz, wprawdzie inny nieco, wpakował się pod zamknięte powieki, i trwał tam. Chude

palce uchwyciły zardzewiałe pręty żelazne w okienku. Całe ciało zwisło i broda oparła się o zakurzone pobrzeże judasza. Oczy ujrzały coś, co już naprawdę nie było wizją.

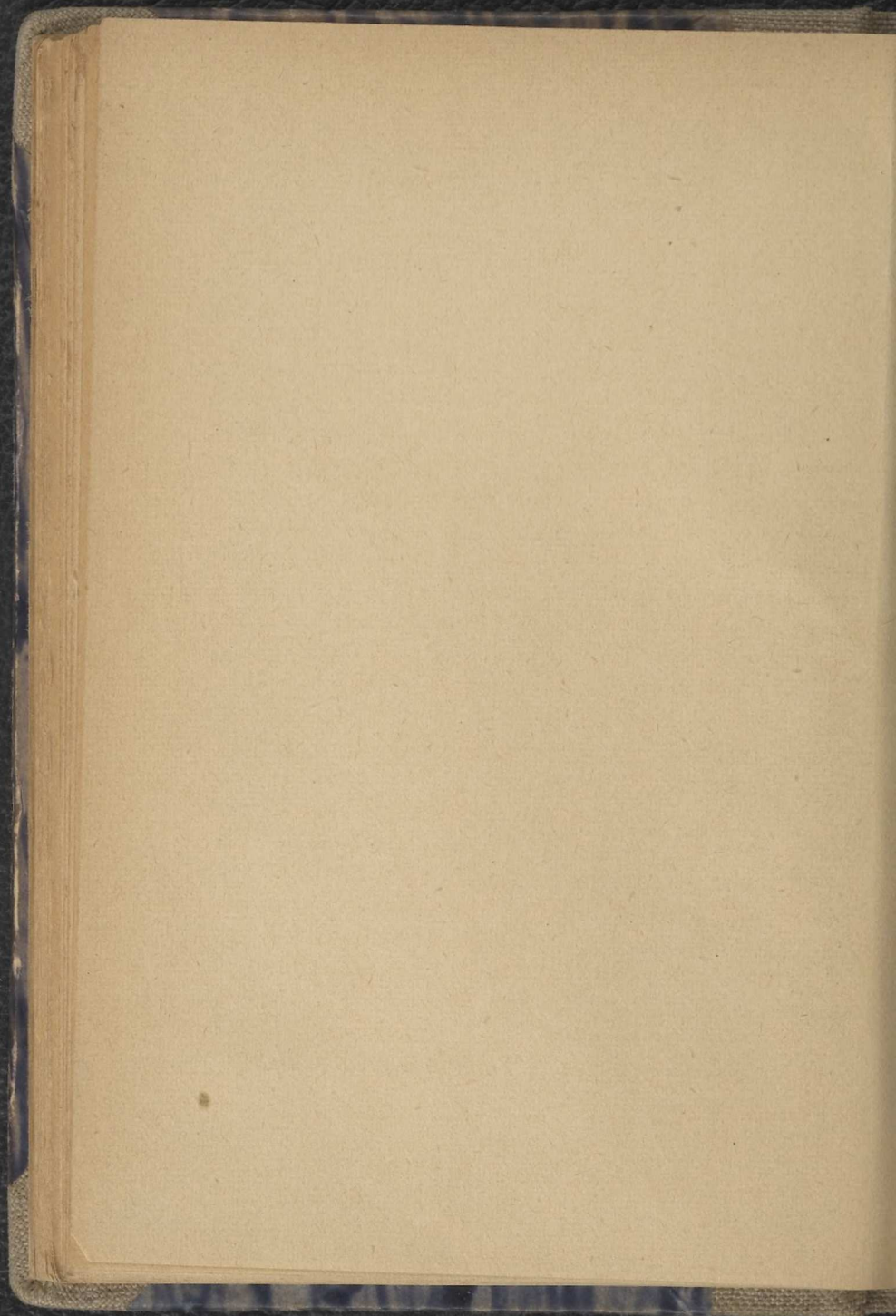
Akurat naprzeciw, przy brunatnej ścianie, stanął człowiek i oparł się o nią plecami. Był to strażnik więzienny, sprawujący dyżur nocny. Zmęczył go widać spacer po chłodnym i śmierdzącym wyziewami lochów korytarzu. Karabin postawił tuż obok i kamienna płyta posadzki jęknęła pod żelaznym trzewiczkiem kolby. Człowiek miał wesołą, pyzată twarz, słabym zarostem pokrytą. Tłuste policzki ostro rysowały się w oleistym świetle lampki. I, zdawaćby się mogło, że naskutek dziwnego załamania się promieni świetlnych, jedno oko błyszczało życiem wprost niesamowitem, podczas gdy drugie tkwiło martwo w oczodole. Stojąc tak, człowiek szpic zabłoconego buta oparł o posadzkę, mając jednocześnie lewą nogę wyprostowaną. Nie wiedział, że śledziły go przymglone od rozkoszy realizmu — oczy więźnia. Zdjął czapkę, z blachą otoczonym daszkiem, i powiesił ją na lufie karabina. Postrzępioną szmatą, wyjętą z kieszeni portek, wytarł czoło, odsuwając z niego sklezione w kosmyki włosy. Odsapnął głęboko i dłuższą chwilę stał nieruchomo z głową odchyloną w prawo i lekko opuszczoną ku ramieniu. Przemknęło mu nieco myśli przez głowę, dziwnych, dawnych, dawnych wspomnień, z czasów, kiedy to w wojnach różnych brał udział: tak, raniony przecież był

niejednokrotnie, kontuzjowany nawet, zato też dostał posadę w tem odludnem i ciężkiem więzieniu. W zamyśleniu dłuhał w nosie, ale raptem, jakby mu jakiś pomysł strzelił do głowy, przybliżył palce do owego tak martwo wyglądającego oka i spokojnym lecz wprawnym ruchem wyjął je i począł czyścić rękawem, poczem przyjrzał mu się, mrużąc drugie oko. Na twarzy jego ukazał się grymas człowieka, którego dręczy ponure wspomnienie. Trzymając w dalszym ciągu oko w trzech palcach prawej ręki, począł niem uderzać w czaszkę, coś tak, powyżej skroni. Słychać było wyraźnie stukanie, jakgdyby twardym przedmiotem, szkłem może, uderzał o metal jakiś. Przerwał owe pukanie, jął natomiast podrzucać w ręku swe oko, łapiąc je w powietrzu. Raptem usłyszał stłumiony krzyk i osunięcie się ciała. Spojrzał naprzeciw, ale nic nie ujrzał, zato oko mu wypadło z ręki i potoczyło się po posadzce. Niżej było ciemniej, więc gramolił się niezgrabnie, szurając butami po posadzce — pochylony. Szukał długą chwilę i wreszcie znalazł. Mianowicie zetknął się z tem okiem, następując nań swym podkutym butem. Rozległ się zgrzyt, bolesne dla nerwów piszczenie szkła przygniatanego do kamienia. Człowiek krzyknął głośno, zakrywając dłonią pusty oczodół. W dalszych celach słychać było poruszenie. Nałożył szybko czapkę i karabin przewiesił przez ramię. Pobiegnął do celi naprzeciw, przecie słyszał tam krzyk jakiś. Długo i nerwowo otwierał drzwi. Ujrzał

więźnia, leżącego na podłodze bez przytomności. Przyszedł jeszcze ktoś drugi, też z karabinem, kto pomógł mu przenieść ciało do sali dla chorych. Skazaniec celi sto pięć był długo nieprzytomny, ale nad ranem przyszedł zupełnie do siebie. Groził tylko wszystkim, że wyjmie sobie żołądek, sam do niego zupy naleje, i włoży go do środka. Gdy patrzył, mrużył oczy. Był spokojny, tylko nie mógł pojąć, że mu zmniejszono karę do lat dziesięciu. Gdy mu to mówiono, powiadał, że nic nie wie wogóle o żadnej karze, i niechaj mu życia nie zmieniają. Chciałby patrzeć na pewną ścianę, gdzie stał człowiek, który tak jak on potrafi z siebie wyjmować różne przedmioty. Tam w mózgu, wiele rzeczy zniszczył pewien widok, to też panowała cisza i spokój, — jak po burzy.

SYN MIRANDY LUBOCZA

Janowi Tarnowskiemu.



Z pod czerwonych dachów Lantory nie pójdziesz tam, gdzie ci się zechce. Są tylko dwie drogi: jedna prowadzi przez łańcuch gór — to dla śmiazków żądnych emocji wspinania. — Inną drogą idziesz prosto wdół, ku nizinom — po pochylym biuście dwu-kilometrowego wzgórza, co dzieli Lantorę od pasących się tam wdole owiec, małych domków różnie malowanych, szumiących łąnów zboża, czasu dojrzewania, oraz szeroko i kręto wiodącej swe łagodne nurty — rzeki, co zalotnie przyciąga uznojonych upałem mieszkańców Lantory nad swe urocze wybrzeże.

Jest więc miasteczko zawieszane tam wgórze — raczej wsunięte w bramę, jaką tworzą dwa tysiąc-metrowe głązy: Glogoard i Swonbe, — jak gniazdo ptaków górskich. Pastuszkowie zdołu, zasłuchani w leniwy bulgot dzwonek owczych, godzinami wpatrywali się w jaskrawą plamę domów Lantory — wtulonej między dwa prostopadłe głązy. Zdawać im się mogło, że wgórze zostanie coś poruszone, obsunie się i, całe miasteczko zleci ku

nim, — jak pudełka od zapalek, rzucone swawolną ręką dziecka.

Niewiele brakowało do południa. Wszystko starało się okazać radość; — w powietrzu pachniało ziołami. Rośliny drżały delikatnie w rozgrzanej jasności przeczystego nieba, a pyszne owady bzykały wśród kwiatnych oparów. Słońce pieściło ziemię, by za godzinę spiec ją w swym żarze. Od strony gór padały ostre cienie.

W połowie drogi między Lantorą a rzeką, otoczony kosodrzewiną i killkunastu drzewami, stał szeroki, drewniany dom Sędziego Hirfelda Luboacza. Okna od sypialnego pokoju zaciągnięto żółtymi zasłonami. Skądś słychać ciche kwilenie dziecka; brzmi słaby głosik jakgdyby zdaleka — rozlega się dziwnie świeżo w uciszonym wzmagającym się upale domu.

Zona Sędziego — pani Miranda, powiła syna. Leży oto z boleśnie zmienioną twarzą, z wyrazem udręki i dumy w grymasie warg. Policzki jej są blade bardzo i lśniąca czern włośów oddzielająca tę twarz od poduszki, pozwala ją rozeznąć wśród bieli. Pani Miranda leży nieruchomo. Czuje ulgę tak wielką, że obawia się poruszyć by nie doświadczyć iż owa lekkość jest złudzeniem. Tam, wewnątrz uczuwa jeszcze to ostrzejsze, to łagodniejsze przyplwy bólu — pozostałości po owym wielkim wstrząsie. Rozchodzą się one wzdłuż bioder i dalej, pobudzając dreszcze. Pani Miranda unosi powieki i jej wielkie o granatowem odcieniu oczy,

przesuwają się wolno po sprzętach, zatrzymują się chwilę na wychudłej dłoni o białych palcach. Wąski krążek złota, darowany przy ołtarzu, tkwi tutaj luźno. Na oczach zasuwają się ciężkie powieki i tylko dwa szpalery pysznych rzęs drżą lekko. Z matowej czerwieni, rzecz można: wesołych, obcych bólowi—warg, wymyka się ciche westchnienie. Płacz maleńkiej istotki wibruje w powietrzu. Pani Miranda otula się kołdrą, tak, iż haftowany brzeg zakrywa jej usta. Przez głowę przechodzą myśli, niedbale wplątane w mgliste wspomnienia. Dziecko — tyle niepożądanych, nieoczekiwanych męczarni. Ten płacz obco brzmiący z oddali, nie łaskocze radośnie, ni słodko uszu matki, — nie budzi tliwości. Jest tylko przypomnieniem brutalnie narzuconej przez naturę boleści. Pani Miranda nie pragnęła tego dziecka równie jak tego, który je począł. Z odrazą myślała teraz o swem upokorzeniu. Cóż wart będzie człowiek, co go nie matka w miłości urodziła, a sprytnie skonstruowana maszyna z ciała, krwi i kości. Boże — posłużyłeś się mną, bez mej woli...

Zasłony nie przepuszczały promieni słońca, tylko przez otwarte okna buchał żar z zewnątrz. W powietrzu trwała biała cisza i w ciszy tej stężała od upału rośliny tkwiły nieruchomo. Pod oknem zaszczekał pies metalicznie i ocknęły się kury zagrzebane w pyle pod płotem. Zaraz jednak wszystko ucichło i znieruchomiło w nowych przy-
pływach gorąca. Pani Miranda wolno przesunęła

się w łóżku i niezwykle pięknego kształtu ręko ma, odgarnęła sploty włosów za uszy. Natrętne wspomnienia zaatakowały wyobraźnię i cofnęły myśli o rok wstecz. Oto piękna willa na głównej ulicy Lantory. — Wizyty narzeczonego, Hirfela Luboacza. Trzy lub cztery razy w tygodniu odwiedzał dom jej rodziców ten piękny młodzieniec, patrzący na nią zwykle z czułym zachwytem. Jakże inny był wówczas. Spokojny, łagodny, zrównoważony. Czasem ucałował jej pòwieki i usta; czynił to rzadko, przytem sprawiały jej rozkosz te delikatne pieszczoty...

Drzwi otwarto energicznie i stanęła w nich niemłoda kobieta, szeroko roześmiana.

— No i co?... Cierpienie poszło w djably, a dziecko co zostało to zostało... Obstalunkowe dziecko, proszę pani. Zaraz go pani pokażę...

Pani Miranda uniosła głowę i powiedziała:

— Zostaw mnie moja droga Lero w spokoju. Zabierz je gdzieś dalej, żebym nie słyszała płaczu i zamknij drzwi. Wogóle nie chcę nikogo widzieć.

— Proszę pani, to jest chłopak i dlatego tak ryczy, jak bawół. Dobrze, obejrzy go sobie pani później... to nie dziecko, to smok...

— Dobrze już, dobrze... zamknij drzwi.

...A potem wszystko się zmieniło. Ślub. I ta ohydna noc, co urodziła nienawiść do niego. Frak, porywczó ciśnięty w kął zdawał się obnażyć innego Hirfela. Z poza sztywnego gorsu koszuli ukazały

się — czarnym włosem pokryte — piersi i musku-
larne, pożądlive ramiona. Jego czyste, mądre oczy
zaszły mgłą jakby. Jego tak chłodne dawniej, do
uśmiechu złożone usta przeistoczyły się nagle
w oszalałe zwierzątko ruchliwe niesłychanie, wcis-
kające się z gorącym oddechem w najskrytsze
miejsca jej bezwładnego ciała. Oo, jakimże wstrę-
tem przejął ją wówczas, kiedy nie bacząc na jej
błagania, na proszące pocałunki, co podniecały go
tylko, źle rozumiane, — przytulał ją namiętnie,
zgrzany, dziki, szepczący bezładnie niezrozumiałe
słowa. Czyż nie wyczuwał jak bardzo jest jej to
wstrętne i obce, skoro dawniej słowa jego i wzrok
znaczyły tylko miłość. Obejmował ją aż do utraty
tchu, rozdarł bolesnie i uciskał ciężarem swego
rozpalonego ciała. A potem te noce pełne lęku, by
nie żądał, by nie czynił tego, co obrzydzeniem bez-
miernem ją napełniało. Ranki wyrzutów i gorz-
kich narzekań na jej oziębłość. Pogarda, czyniąca
współzycie nie do zniesienia. I wreszcie, kiedy zde-
cydowała się opuścić go, uczuła dziecko. Radość
swą objawił w pobłażliwych słowach: — Ach, je-
steś przecie kobietą?... Dziękować Bogu choć za
tyle. Tak więc, musiała zostać. Czekwała cierpliwie
dnia uwolnienia. Nadszedł wreszcie. Teraz będzie
mogła wrócić tam wyżej, do Lantory, by nie spoj-
rzeć nigdy na mężczyznę. Zamieszka w swoim pa-
nieńskim pokoiku, skąd wywabiono ją podstępnie
i dozwolono poznać wstręt. Nie, nie czuje się mat-

ką, nie pozostawi w tym domu nic, prócz żalonych wspomnień i upokorzenia.

Smutno rozmyślając, pani Miranda skubała palcami brzeg kołdry. Na progu stanął Hirfel Lubocza z dzieckiem na ręku. Był zadyszany i oczy jego błyszczały radośnie. Czule patrzył na żonę. Nie miał więcej nad lat dwadzieścia pięć. W dobrze skrojonem, jasnem ubraniu, — smukły, drżący od szczęścia i wzruszenia, był piękny. Jego brwi zrosnięte u nasady nosa uniosły się teraz jak pyszne skrzydła nad uśmiechem. Na palcach, sądząc, że śpi może, podszedł i stanął u łóżka żony.

— Słuchaj, czy ty śpisz?... Popatrz, mamy syna, słowo daje.

Spojrzała na nie większą od pięści męża, główkę dziecka. Była różowa, niekształtna, z błyszczącymi jak paciorki, czarnymi, ruchliwymi oczkami. Powiedziała leniwie:

— Myślę, że teraz będzie tak, jakeśmy to omówili. Ja wracam do rodziców. Wiesz dobrze, że nie możemy być razem...

— Jakto, jeszcze teraz obstajesz przy tem? Nieznośna jesteś. A co z niem będzie?

— Zostanie u ciebie. Jest mi zupełnie obce. Lera ci je wykarmi... przestań nudzić, przecież to już dawno zostało załatwione.

— Był tak oburzony, że dziecko ujrawszy jego minę, zakwiliło. Począł mówić szybko i głośno:

— Bodajes ciężko przed Bogiem za to odpowiedziała... ty... ty oh-ydo... bez serca. Przecież to twoje pierwsze dziecko. Pomówimy o tem jutro.

I wyszedł.

Ale na drugi dzień rano pani Miranda już nie żyła. Leżała równie biała, jak dnia poprzedniego, kiedy po raz ostatni rozmawiał z nią tak krótko. Jej piękne usta wyrażały wzgardę. Może wzgardę dla życia na ziemi. Długo lkał Hirfel u bezwładnie opuszczonych rąk zmarłej.

* * *

Od Swonbe pada bezkształtny cień. Daleko wibruje szloch gitary. Ospała cisza błąka się po rozgrzanej ziemi.

— Ojczy, a matka... czy ona wiedziała, czy zdążyła dowiedzieć się jakiej płci było jej dziecko.

— Normalnie, u matki jest to pierwsze pytanie, lecz ona... ona doprawdy mogłaby tego nie wiedzieć. Chyba jednak wiedziała, zresztą ja jej to powiedziałem jeszcze tego samego dnia. Przysuń się bliżej mnie, Tespisie, i przestań już pytać wreszcie. Patrz jak tu cudnie. U stóp naszych rozciąga się przestrzeń aż po te błękitne plamy — to lasy na nizinach. Spójrz wdół. Na srebrzystym pasie rzeki posuwają się małe punkty — to łódki. Na łąkach pasą się owce; są tak małe, jakgdyby ktoś garść pereł rozsypał. Skala na której siedzimy ocieniona jest Swonbe, więc słońce nam nie dokucza, a przy-

jemnie jest patrzeć na tę jasność, co się przed nami roztacza. Słyszysz gitarę, to twój ukochany przyjaciel, słodki próżniak, Milet — gra tam wdole. To dziwne, że filozof ten lubi tak pospolity instrument. Przysuń się, oprzyj głowę na ramieniu, ot tak. Dobrze nam tak razem. Prawda?

— Tak. — Gdyby tu obok siedziała jeszcze matka. Czy piękna była — ojciec.

— Bardzo piękna — równie piękna, jak zła. Tęsknisz, skoro już o tem mówimy — posłuchaj. Masz przecież szesnaście lat i o wielu sprawach cię uświadomiłem. Miranda... ona wcale cię nie pragnęła. Wyrzekała na swą dolę, przeklinała cię w swem łonie. Nie znosiła mnie, domu mego, a myśl o dziecku była jej nieznośną... Bo... nawet chciała mnie opuścić w parę miesięcy po ślubie, tylko że ty jej przeszkodziłeś. A potem — nie zdążyła, bo umarła na drugi dzień po wydaniu cię na świat, — umarła przez ciebie. Cóż, była tak drobną. Otóż dziwnem jest dla mnie twoje interesowanie się matką, te ciągłe pytania już od wczesnego dzieciństwa. Przecież ty byłeś... ty byłeś głównym powodem jej śmierci.

— A jednak... często myślę o matce, mimo że jej nie znałem. Czuję ją w sobie. I wiesz ojciec... ona mówi we mnie takie różne rzeczy... takie rzeczy, których ja pojąć nie mogę. Wtedy jestem zły... wprost okrutny.

— Ale nie trząś mną, bo mnie zepchniesz. Istotnie oczy ci błyszczą niesamowicie. Wogóle od

dość dawna zauważyłem, że jesteś równie wrażliwy, jak matka. Te góry nastrajają cię tak nerwowo — samotność może. No, ale już niedługo, za rok może, pojedziesz między ludzi, na studia. Wszystko przejdzie. Tylko żał mi cię puścić, zostanę sam. Ach ty mój kochany chłopcze, jakże cię kocham. Nie patrz na mnie tak źle, pozwól — uściskam cię.

— Ojcie, nie ściskaj mnie tak często, mnie to denerwuje.

— Tak, często cię ściskam. Mój Boże! przecież jednak jesteś podobny do matki — zastępujesz mi ją. No, ale chodźmy do domu, pora zjeść obiad.

Schodzili stromą ścieżką, ojciec i syn: Hirfel i Tespis Lubocza. Zdaleka już, pośród zarośli błyszczał czerwony dach ich domu — jak wielki muchomor. Przechodzili wzgórze naukos; po lewej stronie widzieli zawieszoną wysoko Lantorę, z groźnie sterczącymi głazami — tam było cienisto; — po prawej biegła zielona, wesoła słońcem zalana dal, gdzie wszystko poruszało się, żyło, błogosławiąc dobry letni dzień.

— Jesteś głodny, Tespisie, bo i ja też. Dziś rano, zanim poszliśmy na spacer, miałem tam wgrze przykrą sprawę. Chodziło o ojcobójstwo: syn zabił ojca, broniąc matki przed jego brutalnością. Uniewinniliśmy syna. Ojciec był brutal i alkoholik. Tak więc spełniłem swój obowiązek i teraz mam prawo być głodny. Zadziwiające. — Ilekroć jestem z tobą, wszystko wydaje mi się proste i jasne —

zwłaszcza to co mówię, przechodzi mi przez gardło gładko, bez zafrasowania. Czyś skończył już książkę, którą ci dałem w zeszłym tygodniu.

— A, „Obronę Sokratesa“, — tak, kończę właśnie; właściwie boję się kończyć. Sokratesa przypomina mi Milet. — Ilekroć schodzę do niego wdół, nad rzekę, serce moje targa niepokój przed tem, co usłyszę. Milet mówi tak pięknie, prostym stylem, przytem zawsze operuje sofizmatami. I wszystko byłoby dobrze, gdyby zachowywał się spokojnie, lecz nie. — On zaraz musi dotykać mnie wszędzie rękoma, i, korzystając z mego zachwytu, popełnia różne nieprzystojności. Gdyby nie mój szacunek dla niego i dla jego wieku, stłukłbym go już niejednokrotnie. Ale chętnie bywam u Mileta.

Już wchodzili do domu, gdy Hirfel raptem się zatrzymał. Był wzburzony.

— Powiadasz, że pozwala sobie na nieprzystojności. Próbował całować cię może?

— I owszem. Ale ja do tego nie dopuszczam. Zresztą, śmiesz mi to zwykle.

— Dlaczegoś mi o tem wcześniej nie powiedział? Od dziś zabraniam ci odwiedzać Mileta! Tegom się po nim spodziewał, — wykorzystuje twój szacunek dla siebie. Ja z nim pomówię przy sposobności. Pójdźmy już jeść wreszcie.

Siedli na ganku, ocienionym dzikiem winem. Stara Lera podała im zupę. Pieściwym wzrokiem objęła Tespisa. Otworzyła usta by coś powiedzieć, ale

uśmiechnęła się tylko i wyszła. Pili z apetytem chłodną, owocową zupę. W gęstwie dzikiego winna ćwierkało i trzepotało ptactwo. Przelatując, furczały jak małe, kolorowe pociski. Tespis odsunął filiżankę.

— Ojczy, a co do Mileta, to proszę, zostaw go w spokoju. Wiesz, że nic złego mi nie zrobi, a przytem cóż — jest stary i samotny.

— Już ja to załatwię.

Lera wniosła pieczywo i sałatę. Ustawiając chleb, oliwę i sól patrzyła na Tespisa. Wreszcie rzekła:

— Wszyscy Święci! I poco ta matka umarła? Mówiłam przecie wyraźnie, pamiętam, powiedziałam tak: że szczęścia starczy na całe życie. Że też Panu Bogu nie szkoda dawać na ziemię takich śliczności jak panicz Tespis. To nie, ona sobie poszła. — Widać zamało była wierząca.

— Lero, Lero, proszę cię — nie mów tak wiele. Zostaw, o, już mamy wszystko, możesz odejść.

— Bo pan starszy nie lubi wspomnień. Aby już życie było nie dużo warte bez wspomnień; chociaż smutne, ale lepiej niech będą. Idę, idę, tylko jeszcze słodkie przyniosę.

Jedli w milczeniu. Ojciec marząco patrzył na syna. Tespis w zamyśleniu bawił się szklaną solniczką. Skończyli jeść i Hirfel powiedział:

— Chętnie się prześpię trochę, a ty co będziesz robił?

— Poszedłbym do Mileta, ale ponieważ zabroniłeś mi ojczyznę, więc zajmę się czemś, poczytam może.

— Wybij sobie z głowy Mileta. Przykro dotknęło mnie to, coś mi o nim powiedział. Rzeczywiście pójdę odpocząć trochę.

Ucałował czoło syna i powiedział jeszcze: wieczorem pójdziemy może do Lantory, odwiedzimy dziadków, poczem wyszedł.

Tespis obrócił się ku słońcu. Ciągłe myślał o matce. Tak, ojciec jest dobry, to prawda, ale matka — o, jak miłe brzmi to słowo. To dziwne, nigdy jej nie widział, nie słyszał jej głosu, a mimo to ciągle ją nosi w sobie. To tak, jakgdyby jej z tamtego świata zależało na czemś... żeby on o niej myślał, żeby raczej ona kierowała jego myślami.

Tespis siedział czas pewien na ganku, z wtuloną w dłonie głową. Raptem wstał i szybko przeszedł do pokoju ojca. Nie spał jeszcze, leżał na szeslongu i palił papierosa. Tespis usiadł przy nim i patrząc w twarz jego, spytał:

— Ojczyznę... a, czy matka cię kochała?

Hirfel drgnął — i nieodrazu odpowiedział.

— Widzisz, może nie powinienem ci tego mówić... zresztą... Czy ona mnie kochała. Nie, bo przecież przed tobą chciała mnie opuścić...

Pauza.

...Ona była oziębła dla mnie, a ja jej byłem zupełnie obojętny. Nie, źle się wyraziłem; ja dla

niej nie byłem obojętny, ona mnie nawet nienawidziła, nie mówiła mi tego (powiedziała kilka-krotnie: „musimy się rozstać, bo nie tak sobie wyobrażałam małżeństwo, jesteś mi daleki, — bo cię nie Kocham“) — ale ja to czułem.

— Nienawidziła cię?

— Tak, ciągle doznawałem wrażenia, że ona jest gościem u mnie, że nie czuje się jak u siebie w domu.

— Ale ojcze, powiedziałeś przecież poprzednio, kiedyśmy byli na spacerze, że ja byłem głównym powodem jej śmierci. Skoro ona cię nie kochała, nienawidziła nawet, jak sam mówisz, to przecież nie ja, a ty byłeś powodem, może nie głównym, ale byłeś powodem jej śmierci. Skoro cię nienawidziła, to nie chciała mnie mieć od ciebie... rozumiesz mnie.

— To są za trudne rzeczy, żeby je tak odrazu wytłumaczyć. Ona chyba nie mogła być wogóle żoną, nie nadawała się do małżeństwa.

— A tyś ją kochał?

— Okropne są te twoje pytania. Tak... tak. — No, ja naturalnie... bardzo nawet — może za bardzo. Byłem tak młody a ona tak piękna.

— Bo widzisz ojcze, — głos Trespisa stał się drżący i poważny — ja już dawno pragnę ci to powiedzieć... już nawet powiedziałem ci trochę dzisiaj, kiedyśmy siedzieli pod Swombe... że ja mam takie chwile, kiedy u mnie zanika miłość dla cie-

bie... a uczuwam straszną nienawiść dla ciebie... to przychodzi wtedy, kiedy nie czuję się sobą. — To tak, jakgdyby we mnie żyła moja matka... wtedy cię strasznie nienawidzę.

— Och, nie męcz mnie już... dość mam tego. Co ty mówisz, co ty mówisz... skąd ty przychodzisz do tych rzeczy. To przecież okropne. Proszę cię, zostaw mnie samego... stajesz się niemożliwy. Potom cię chował, żeby teraz takie rzeczy słyszeć.

Tespis wyszedł cicho.

* * *

Nie było piękniejszego podczas całego lata, jak ów poranek niedzielny. Na nizinach soczyste łąki uniosły z wdziękiem kielichy swoich kwiatów ku posępnym złomom skalnym. Całe podgórze, ustrojone srebrem łagodnie toczącej się rzeki, trwało radośnie w upalnym uścisku słońca. Zazdrośnie ukryta w cieniu gór Lantora, spoglądała oknami swych kolorowych domów wdół, gdzie życie wszystkiego co ziemskie, w upojeniu dosięgło kuluminacyjnego punktu. Wszystko zdawało się mówić: dnia tego nikt i nie krzywdy nie doświadczy.

Właśnie dźwięki sygnaturki z kościoła Lontary posypały się ku dołowi, kiedy przed dom swój wyszli dwaj Lubocza. Hirfel oceniając dłonią oczy, spojrzął na rzekę, potem odezwał się do syna:

— Istotnie, widzę, że dzień nam się uda. Do-

zachodu będziemy mogli leżeć na trawie, grzać się w słońcu i używać kąpeli. Tylko chodźmy szybko, szkoda każdej chwili. Chodź, Tespisie.

Z troskliwie wypełnionym przez Lerę krągłym koszykiem pod pachą, szedł Topsis w milczeniu za ojcem. Miłą mu była myśl o orzeźwiającej kąpeli, mimo to chętniejby jednak pozostał w domu. Żałował teraz, że tak lekkomyślnie, przed kilku dniami, powiedział ojcu to, z czego sam sobie jeszcze dokładnie sprawy nie zdawał, czego nie był pewien. I oto wyrządził ojcu krzywdę istotnie wielką; całe szczęście, że umysł ojca nie znosi żadnych komplikacji psychicznych, że nie cierpi zawiłości myślowych. Na pewno już zapomniał o tem; jest przecież tak wesół. Jednak źle uczynił, że powiedział; — chodzi nietylko o ojca. — Wydał z siebie tę myśl, wyraził ją słowami, i teraz dręczy go ona z zewnątrz. Ciągłe słyszy to, co powiedział, i to wszystko jest jakgdyby realniejsze... prawdziwsze. Ale może lepiej, że nie został w domu; tam, — nad rzeką, pośród zieleni, — rozerwie się chyba. I już weselszy zwrócił się do ojca:

— Ciekaw jestem, czy też Lera nie zapomniała o moim przysmaku?

— Na pewno pokaźny kawałek znajdziesz w koszyku. Lera wie, że lubisz ciasto z jabłkami.

Stanęli nad rzeką.

— Przepawimy się na drugi brzeg. Widzisz, Tespisie, tę polankę w zaroślach, — tam będzie najmniej ludzi.

Przeszli nieco dalej, do miejsca, gdzie kołysała się na wodzie szeroka, wygodna łódź.

Opalony przewoźnik przepawił ich na przeciwległy brzeg. Biegając, dotarli do polany, oioczonej gęstwiną. Tutaj poczęli się rozbierać.

Tespis odrazu wskoczył do wody, mimo upomnień ojca, aby przedtem nieco ochłonał. W prześwietlonej wodzie prężyło się i kurczyło jego smukłe ciało. Pływał, wydając co chwila okrzyki zachwytu. Małeńkie fale ogarniały mu ramiona i szyję; woda spływała bez śladu po lśniącej skórze, zmoczywszy tylko jasne kędziory włosów na karku. Hirfel również zanurzył się na płytszem nieco miejscu, potem popłynął: miarowo i powoli.

Mieli dość. Tespis — jak naga rzeźba — stanął na brzegu, dysząc lekko i błyszcząc w słońcu kropkami wody. Gładkie, gibkie ciało wyprężył, a mokremi palcami odgarnął rozfalowaną czuprynę z czoła. Jasne włosy pociemniały miejscami od wilgoci. Był piękny; — uwydatniała się delikatna muskulatura, gdy stał tak z wyciągniętymi ramionami. Począł biec w lekkich podskokach, pochylony naprzód. Wreszcie wrócił nad brzeg i podał rękę wychodzącemu z wody ojcu. Hirfel rzekł, patrząc na syna.

— Tęspisie, jakże zgrabny jesteś. Kiedy patrzę na ciebie, wspominam siebie, gdy miałem lat szesnaście. Byłem równie smukły i dobrze zbudowany. A teraz cóż? Tłusty jestem; moje piersi są jak piersi starej kobiety; duży brzuch wysunął

się naprzód, nogi straciły linję i łydki pokryły się guzami rozszerzonych żył. Ciało nie ma barwy, pokryte jest włosem, a przytem skłonny jestem do zadyszki. A przecież nie jestem stary, mam dopiero czterdziesty drugi rok. Brzydki jestem... brzydki, ale szczęśliwy, że mam tak pięknego syna. Chodź, rozłożymy pled i leżąc, będziemy gawędzić, grzejąc się na słońcu.

Nadzy, trochę znużeni, ułożyli się na plecach, poddając promieniom słońca twarze z przymkniętymi oczyma. Zdaleka, z nad obydwóch brzegów rzeki, dolatywały ich wesołe głosy kąpiących się ludzi. Wysoko, grzbiet gór ciągnął się brunatnem pasmem i ginął na horyzoncie. Pośrodku Glogoard i Swonbe błyszczwały małeńkie dachy Lantory, łaskawie ujęte słońcem. W powietrzu pachniało niedzielą i odpoczynkiem. Od Lantory biegł wdół, aż tu, do rzeki, wąski, popielaty pasek drogi. Dom sędziego Lubocza wyłaniał się z pośród minjaturowych zarośli. Daleko pasące się owce dzwoniły monotonna i cicho dzwonkami. Błogość i leniwe rozmarzenie ogarniało mieszkańców tego szczęśliwego zakątka. Wszelkie głosy rozpierzchały się, nie przerywając ciszy letniego, niedzielnego rana.

Hirfel obrócił się na bok. Tęskpis rozchylił czerwone wargi, niby kielich o dnie z nieskazitelnie białych zębów, ściągający do wnętrza słodkie, jasne powietrze. Ojciec począł gładzić swą dużą, pulchną dłonią ramiona syna. Przesuwał rękę wzdłuż ciała chłopca, pieszcząc kolana jego i lędź-

wia. Tespis odwrócił głowę i patrzył na ojca z poza zmrużonych powiek, wreszcie Hirfel ucałował policzek syna i wrócił do poprzedniej pozycji.

— Słuchaj, Tespisie. — Masz już przecież lat szesnaście. Czy nie doznawałeś takiego dziwnego uczucia na widok ładnej, zgrabnej dziewczyny? Nic cię ku niej nie parło, nie miałaś względem niej żadnych chęci?

— Wiesz, ojcze — specjalnie nie. — Prawda, na piękną dziewczynę patrzę zwykle dłużej niż na każdą inną. Wiem jednak, co masz na myśli. Raczej mężczy mnie to w nocy i sprowadza bezsenność. Wówczas to ogarnia mnie niepokój i przed oczami przechodzą najróżniejsze zjawy. Przeważnie właśnie dziewczęta i to nagie — wkońcu wreszcie usypiam, ale rano jestem zmęczony i przynajmniej do południa chodzę napół zamroczony.

— Widziałeś kiedy nagą dziewczynę?

— Nie, w naturze nigdy. Chyba akty w albumie malarzy z twego gabinetu. Wyobrażam sobie nagą dziewczynę, to coś czarownego.

Pauza.

— Pójdź, Tespisie, do wody. Słońce już piecze dość silnie. Po kąpieli zjemy nasz obiad.

Zanurzyli w wodzie swe rozgrzane ciała. Głowy ich owiewał łagodny wiatr. Wokół pluskały drobne fale; odgłos ten dziwnie harmonizował z żarem słońca i poszumem wiatru, co cicho łkał w trzcinach i ścigał się z prądem rzeki. Ci dwaj nie mówili do siebie. Mijali się, kiedy jeden płynął

z prądem, a drugi wolno brnął w górę. Potem — zmęczeni, siadali na piaszczystych wysepkach, i osuszali karki na słońcu i wietrze, by znów je oddać orzeźwiającej pieszczocie fal.

Gdzieś w górze rzeki, grano na mandolinach smętną, żalowaną melodię, co błąkała się po łąkach i wybrzeżach.

Wyskoczyli na brzeg parszając i otrząsając wokół krople wody. Hirfel uchwycił Tespisa za barki, starając się przewrócić go na trawę. Chwilę trwali w natężeniu, aż wreszcie Tespis zwinnie wykręcił się, objął ojca w pół i, śmiejąc się, obaj runęli na ziemię. Spleceni, toczyli się po soczystej zieleni w stronę krzaków. Zdyszani, czas jakiś leżeli w miejscu. W szeroko rozwartych oczach Tespisa przelatywały małe, złe ognie. Zamajaczyła mu blisko, szeroka, biała szyja ojca. Wpatrywał się w rozedrganą grdykę, aż wreszcie z przyduszoną skowytą zanurzył cienkie palce w fałdach tłuszczu. Z wyszczerzonymi od skurczu twarzy zębami, uciskał jak najmocniej chrapliwą masę mięsna kleszczami rąk. Syczał uparcie jedno słowo: Matka... matka... maa-tkaa.

Z początku duszący się od śmiechu głos Hirfela:

— Tespis... no już... dość tej zabawy... puśćże.

Pauza.

Później bełkot i wytrzeszczone oczy.

— Pu... uszczaj... łotrze, — czyś oszalał?

Głuche rżenie.

— Matka... to matka... to za matkę.

Hirfel wypiął się brzuchem do góry. Szybkim ruchem chwycił przeguby dłoni Tespisa i oderwał je od swej szyi. Już miał poderwać się z ziemi, kiedy ostre ukłucie jakby przeszło mu serce. Poczł straszliwy ciężar w piersiach i szum w głowie. Otworzył oczy. Nad nim stał Tespis z grymasem przerażenia na twarzy. Hirfel zdążył jeszcze wyrzucić z siebie:

— Serce... atak... to już... już koniec. — Oby ci Bóg tego nie zapomniał... ty... przeklęty synu... swej...

Potem uniósł jeszcze głowę do góry, purpurową twarzą ku słońcu, stężałą i groźną. Ciężko opadł i tak już pozostał z podwiniętą pod biodro ręką.

Tespis stał w miejscu, drząc na całym ciele. Pośród wścieklej kipieli rozjuszonych nerwów targało się niby skorpjon w ogniu jakieś mgłą oczy zalewające pragnienie. *Jeszcze jedno.* Z miejsca skręcił w bok, kilkoma skokami przesadził krzaki i zaczął biec przez otwartą łąkę. Na jego wargach ukazała się biała, gęsta ślina. Zdaleka ujrzał w cieniu wielkiego drzewa leżącą nawznak postać. W przejrzystej, kolorowej sukience bez rękawów, w pozie pełnej niewinnego wdzięku, spała młoda dziewczyna. Jej nagie ramiona uniesione były do góry, a dłonie podłożone pod głowę. Tespis utkwiał

przymglony pragnieniem wzrok w jej zaledwie dziewiczej, nierozwiniętej jeszcze figurce. Opadł na nią jakoś niezdarnie, za gwałtownie, dygocąc. Ujrzał tuż przed swemi, jej przerażone oczy i jakiś krzyk tępo zabrzmiał mu w uszach. Poczul w dłoniach ciepłe, drgające biodra i słonawy smak jej ust pod swemi wargami. Gorąca rozkosz wstrząsnęła nim i mdłe osłabienie rozlało się jak oliwa po członkach. W uszy wciskał mu się cieniutki głosik dziewczyny niby odgłos dzwoneczków kuglarza wędrownego. Podniósł się. Patrzył na nią, jak — krzycząc ciągle — zakrywała sukienką swą nagość. Stał tak, wśród tego krzyku, nie wiedząc co począć — osłupiały. Z pobliskich zarośli wyłoniła się grupa nagich wyrostków. Zatrzymali się nasłuchując, jak stado łań. Ujrzeni. Poruszając ramionami biegli w stronę tej pary. Tęspis poczuł, jak przerażenie dławi mu oddech. Byleby nie schwytali. Wyrwał naprzód. Z pochylonym do przodu torsem, z rozwianym to tyłu włosem, lśniący potem, dyszący pragnieniem ucieczki, parł naprzód brzegiem rzeki. O uszy jego ocierało się gęste powietrze, pachnące rzeką i pełne dźwięków mandolin. Posłyszał za sobą wściekłe wrzaski i odgłos wielu nóg. Obejrzał się. Gnali za nim i klęli. Przyśpieszył, dudniąc głucho bosem stopami po gliniastem wybrzeżu. Ich głosy słyszał coraz wyraźniej. Czuł jak nogi jego wolniej i wolniej tną powietrze. Nieco w prawo rzeka gwałtownie skręcała. Na przeciwległym brzegu stał do-

mek Mileta. Ominie go i pobiegnie w górę, byleby tylko dopaść kosodrzewiny, tam już niewidoczny, łatwo dobiegnie domu. Ze złożonemi nad głową rękoma, jak ostrze włóczni, odbił się od brzegu i skrył się pod wodą. Wypłynął tuż przed samym brzegiem. Z trudem wylazł na stromy brzeg. Ubiegł kilkadziesiąt kroków i obejrzał się. Wskakiwali. Potworne zmęczenie rozrywało mu serce. Przed zielonym domkiem, w ogródku, stał wielki, siwowłosy starzec, w kamizelce, z konewką w ręku. Przymrużył oczy w stronę biegnącego Tespisa. Poznał i szybko zabiegł mu drogę. Tespis wpadł w szerokie ramiona Mileta.

— A dokąd to, ptaszku? Ho... no, dawnom cię nie miał u siebie. Ale cóżes to nagi i oczy ci z przeżalenia mało nie wyskoczą na piasek. Cich...cho, nie wrywaj się, no mów-że coś, nie krztuś się. Co to widzę? Zakrwawiony jesteś, czyś się zranił w brzuch?

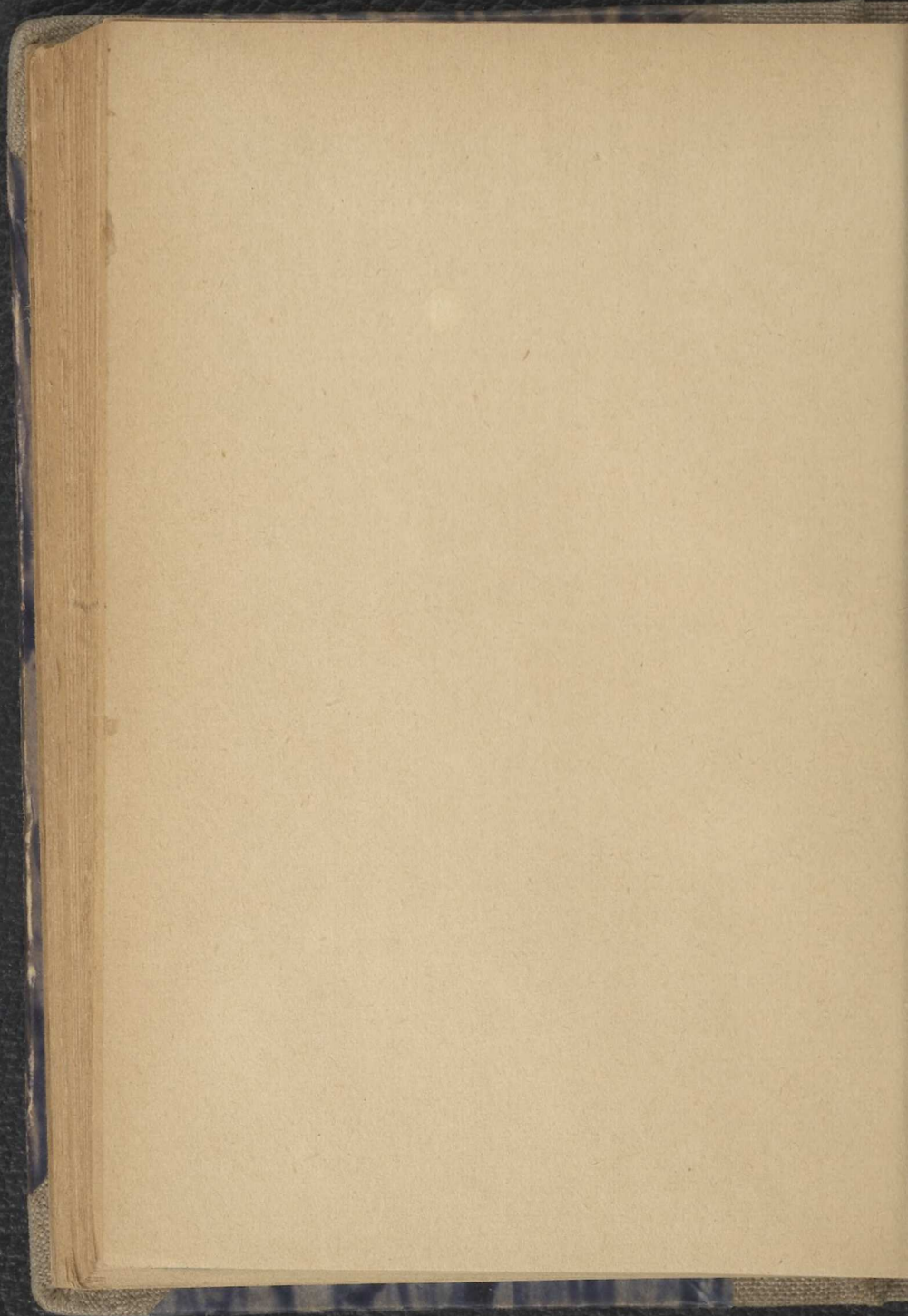
— Nie trzymaj mnie! puść mnie! puść! Oj, gonią mnie, chcą mnie zabić, puść!

— Chłopie, tyś naprawdę zbzikował. Gdzie cię będę puszczał, nie ubiegiesz pięciu kroków, takiś zziajany. Kto cię goni? Biegnie tu kilku nagusów, ale my ich już zatrzymamy.

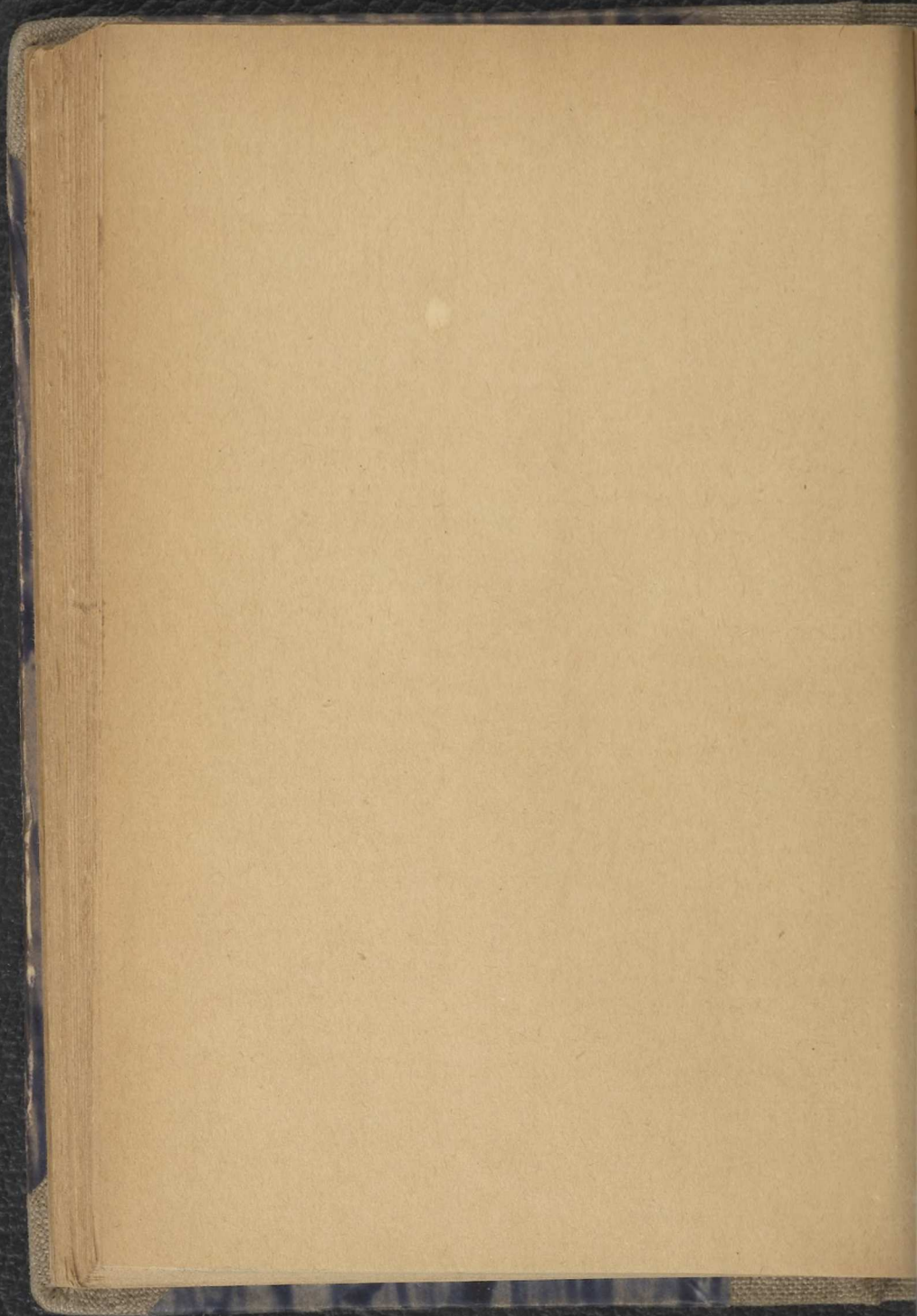
— Puść, oj, puść! Już są blisko. — Ochhhh!

Kilku młodych, silnych chłopaków zatrzymało się przed nimi. Nie pozwolili Miletowi dojść do słowa, a kiedy ten nie chciał wypuścić Tespisa ze

swych ramion, powalili go między grządki narcyzów i liilj, poczem uchwycili Tespisa za ramiona, lekko wykręcając mu je ku tyłowi. Prowadzili go tak zlanego potem, bez możności wykrztuszenia słowa z wyschniętego gardła, ni jęku co go rodził w piersiach ból wykręcanych ramion. Prowadzili go wdół rzeki — między ludzi.



STARY ZEGAR



Pan Floppe, jak zwykle, powrócił do domu o godzinie 5-ej po południu; — jak zwykle przed wejściem do pokoju otworzył skrzyneczkę do listów, przymocowaną do drzwi i wsadził do wnętrza całą rękę, aby upewnić się że jest pusta, — następnie pan Floppe zdjął z siebie obsypane śniegiem palto, kapelusz i kalosze, — pierwsze i drugie położył na ławeczce, która stała w rogu klatki schodowej. Kalosze zaś na posadzce. Następnie, w szaliku na szyi, dobył z kieszeni od kamizelki małego kluczyka i otworzył drzwi swego pokoju; — buchnęło ciepło z rozgrzanego pieca, to też pan Floppe, aby go nie tracić, wszedł tam szybko i zamknął drzwi za sobą, — lecz po chwili wrócił w czapeczce z czarnej mory na głowie i z szczotkami w ręku.

Teraz pan Floppe oczyścił dokładnie ze śniegu swój pilśniowy, zielonego koloru kapelusz, palto z aksamitnym kołnierzem i kalosze, wszystko to złożył sobie na rękę i wszedł do pokoju.

Czerwone blaski z niedomkniętych drzwiczek

od popielnika rozpalonego, kaflowego pieca, oświetlały część pokoju; to też pan Floppe nie zapalał światła, umieściwszy gdzie należy swoją garderobę, zdjął jeszcze marynarkę, włożył na siebie miękki, szamerowany kaftan, stanął przed piecem i wyciągnął przed siebie ręce z rozczapierzonymi palcami.

W tej chwili pan Floppe nie jest łysy, ponieważ na głowie ma perukę, ale za chwilę ją zdejmie i będzie łysy. Pan Floppe jest średniego wzrostu i ma dobroduszną, zawsze starannie wygoloną twarz. Pan Floppe jest akurat w tym wieku, w którym powinien zajmować takie stanowisko, jakie zajmuje, t. j. stanowisko kasjera w Towarzystwie Ubezpieczeń. Przytem pan Floppe jest kawalerem i lubi po dobrym obiedzie w kasynie urzędników ubezpieczeniowych, przesiadywać przed pójściem do kawiarni, w swym małym, przytulnym pokoiku.

A pokój ten jest rzeczywiście przyjemny; — na ścianach wiszą stare sztychy i parę obrazów przedstawiających zimowe pejzaże, — bo pan Floppe lubi właśnie takie obrazy. W kącie koło okna stoi biurko z pięknymi, również starymi przyrządami do pisania i różnemi pamiątkowemi drobiazgami. Naprzeciwko biurka znajduje się szerokie, wygodne łóżko z wystającym nieco brzuchem miękkiego materaca, nakrytego aksamitną kapą, koloru bordo, z wyszytymi na niej kwiatami. Dalej stoi biblioteczka, umywalnia, na posadzce leży

miękki dywanik, a koło drzwi na ścianie wisi duży, owalnego kształtu, pięknie ornamentowany, pozłacany zegar.

Właśnie pan Floppe odwrócił się tyłem do pieca i rozmiłowany wzrok jego spoczął na tym zegarze. Ten sprzęt niewątpliwie wielką rolę odgrywał w życiu pana Floppe. Rozkochany był w jego dźwięcznym tikaniu, rozkosznem było codzienne nakręcanie go przed udaniem się na spoczynek. Dla pana Floppe była to czynność równie błoga, jak spożywanie obiadu w kasynie urzędników ubezpieczeniowych.

Pan Floppe podszedł do zegara, ujął go obiema rękoma za brzegi, tak jak się ujmuje za ramiona swego przyjaciela, i popatrzył tak na żółtą cyferblat, jak się patrzy w oczy swego przyjaciela.

Teraz jednak pan Floppe znowu skierował się w stronę pieca, postął tam chwilę, następnie zdjął obuwie, nałożył na nogi piękne, błękitnego koloru pantofle ze srebrnymi wyszywaniami na nich gwiazdkami. Usadowił się wygodnie w wielkim, głębokim fotelu i pogрузzył się w cichej kontemplacji, patrząc na rozedrgane na ścianie purpurowe blaski z pieca, zasłuchany w lekkie tikanie swego ulubieńca.

Było bardzo cicho, — płynęły miękkie, leniwe minuty. Za oknem powietrze było pełne wato-
wych płatków śniegu, czasem gdzieś tam zdołu,

z ulicy, doleciał sygnał automobilu lub dzwonek tramwaju. W pewnej chwili rozsypały się z pod wprawnej ręki dźwięki pianina; dochodziły one słabo do uszu pana Floppe, lecz sprawiały mu przyjemność. W sąsiednim oknie, o piętro wyżej, zapalono światło i promienie jego wpadły do pokoju. Pan Floppe wówczas wstał i zasunął ciężkie story, poczem usiadł zpowrotem.

Teraz zrobiło się jeszcze ciszej, dźwięki pianina zmieszane z tikanem zegara, były jak odgłos pereł spadających po marmurowych stopniach wyobraźni. Daleko na korytarzu rozległy się brutalne i ciężkie kroki, — potem trzask drzwi, — i znowuż cisza.

Panu Floppe nic teraz nie brakowało, — nic absolutnie; — było cicho, ciepło, a żołądek trawił spokojnie kąski doskonałej baraniny i jarzyn obiadu w kasynie urzędników ubezpieczeniowych.

Było cicho, — za godzinę pan Floppe spotka się z kolegami w kawiarni i będzie mówił o polityce, polisach i klauzulach; — ale teraz jest spokój.

Lecz wtem stało się coś strasznego, — coś nieprzewidzianego i coś, w co pan Floppe nie mógł uwierzyć.

Zegar przestał tikać.

Pan Floppe z początku znieruchomiał, purpurowe blaski oświecały stężałą z przerażenia twarz. Początkowo błysnęła rozpaczna myśl, że ogłuchł —

lecz nie, — wszak słychać trzeszczenie węgla w piecu.

— Tak, — zegar przestał chodzić, — w pokoju zrobiło się chłodno i ponuro, pan Floppe pytając spojrział w kąt pokoju, jakgdyby ktoś tam był, następnie osłupiały wzrok skierował na zegar, — teraz powieki pana Floppe zadrgały, — teraz widział, — widział nieruchome wahadło.

Szalonym ruchem, — skokiem prawie, znalazł się przy zegarze. Oderwał go od ściany i jął tarmosić — potrząsać i nasłuchiwać; — w pewnej chwili twarz mu zajaśniała zadowoleniem, zegar tikał, — lecz trwało to krótko, — znowuż cisza.

Otworzył drzwiczki umieszczone ztyłu zegara i począł nerwowo coś tam przekręcać, popychać, odzywały się co chwila dźwięki i pobrzękiwania, ale, — ale zegar przestał chodzić. Pan Floppe usiadł zpowrotem w fotelu, opuścił ręce bezradnie i bezmyślnie patrzył na swe kolana. Teraz każdy dźwięk drażnił pana Floppe; — a na pianinie ktoś ostro bębnił idjotyczną melodję z ostatniej rewji, na korytarzu ktoś trzepał garderobę i sufit trzeszczał od mocnych kroków spacerującego na wyższym piętrze lokatora. Poczęły trzeszczeć meble, obsunął się węgiel w piecu i serce w piersiach pana Floppe biło mocno.

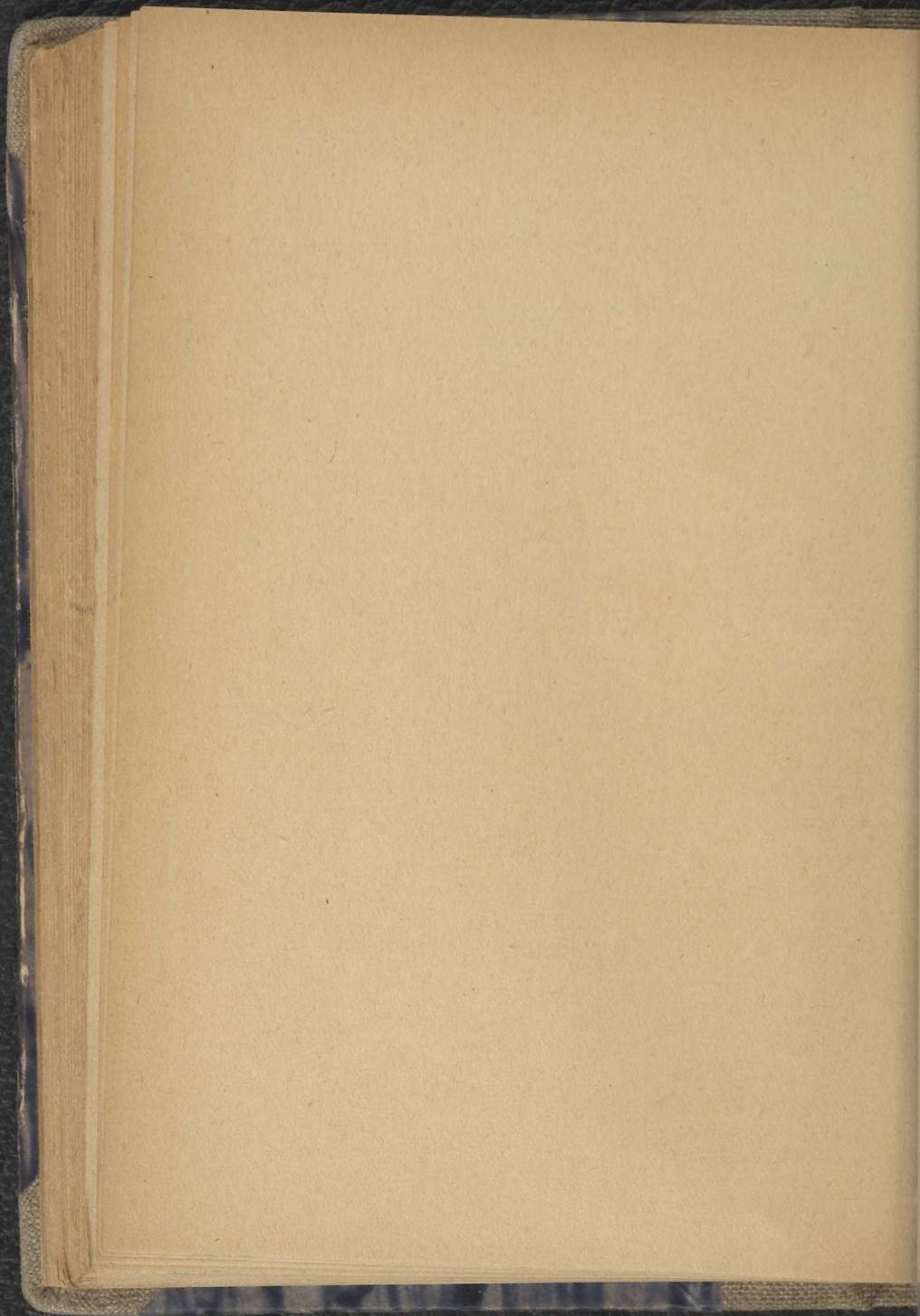
I nagle z wnętrza drewnianego ciała zegara, dobył się długi, żalony jęk, który długo brzmiał w uszach pana Floppe; — i smutno było i zimno w pokoju, a na łóżku z wykręconem wahadłem

leżała martwa cząstka smutnego życia pana Floppe.

A potem pan Floppe wyciągnął przed siebie swoje ręce i długo patrzył na nie: były pomarszczone, z pozółkami paznokciami i trzęsły się. Tak, — pan Floppe już nie był młody.

DOBRODZIEJSTWO CSON-TEN.

Karolowi Szymanowskiemu.



W obramowaniu słonecznych promieni i szczytów seledynowych drzew, na wyniosłości, — pośród traw soczystych — stał lśniący pałac o smutnem wnętrzu, koloru ciała scytyjek smukłoudych.

Był owalnego kształtu i należał do perfidnego staruszka imieniem Blef.

Czy to nocą wonną i rosistą, czy to dniem rozgrzanym poważnem całowaniem słońca i nabrzmiałym poszmerem owadów i ptaków niefrasobliwieśpiwnemi gwizdami, — z pałacu dobywały się jęki i wzdychania męczennicze — ostudzając zapał pszczół pracowitych i przeszkadzając konikom polnym w graniach ich beztroskich.

Szły jęki wraz z traw poszumem przez łąki kwietno-kolorowe, przerywając sen zajęczkom włośchatym, i przechodziły przez mrowiska ruchliwe aż do lasu chłodnego. — Tu ustawały; rozbijały się o pnie stare i marły.

A wokół pałacu, ścieżką wydeptaną już od lat wielu, spacerował perfidny staruszek Blef i, zatr-

wajac muszki male i bzykajace swym oddechem nieczystym, — gniotl jednocześnie kosturem sękatym jaszczurki prazkowane, wygrzewajace sie na sloncju i zabki niewielkie, — zielone.

A, ze celny byl koniec kostura staruszkowego, wiec ginely myszki bure i zuki buczone i krowki nakrapiane i weze i pasikoniki i motyle i nawet grzyby niewinne a bezradne.

I tak sie stalo, ze znienawidzily staruszka wszystkie stworzenia okoliczne od turkucia-podjadka, do niedzwiedzia ociężalego nawet. Do tego doszlo, ze pszczoły ceniace zycie, kaszaly go, umierajac momentalnie. Ale staruszek byl bardzo wysuszony i ządla pszczol lamaly sie o kości, nie czyniac mu bolu wcale.

Od switu poziomkowego, az do zmierzchu kosmatego, chodzil staruszek wokol palacu swego, mruzac brzydko i niszczac stworzenia. Za nim sunal sie jego cien, malejac i wydłużajac sie na przemian. Gdy juz cichlo wszystko i slonce opuszczalo ziemie senną, staruszek wracal do palacu, patrzal chwile na ofiary swoje, poczem kladl sie na poslaniu z szyszek i igliwa, nakrywajac sie własnym cieniem.

* * *

Przez srodek wnętrza palacu ciagnal sie korytarz, rozdzielajac go na dwie polowy. Po prawej stronie, w wielkiej i wilgotnej sali, lezaly zielone cienie na lozach z dębowej kory. Poniewaz ani

słońce, ani księżyc, ani żadne inne światło nie miało tutaj dostępu, więc leżały cienie nieruchomo, dręczone męką tęsknoty. Jęki ich były głośnie i boleści pełne.

Z lewej strony pałacu, po sali pełnej światła chodziły ciała bez cieni. Wzdychały i łkały przytem głośno, bowiem posadzka była zalana światłem i ciała pozbawione towarzystwa cieni, męczyły się bardzo.

Korytarzem długim i kamiennym, pośród krzyków i zawodzeń, przechodziły w obie strony cztery szczury w turkusowych zawojach na łebkach, — były chude i wygłodniałe. Pełniły straż w pałacu perfidnego Blefa.

* * *

Wszystko to nie podobało się bardzo maleńkiemu Chińczykowi Cson-Ten. Maleńki Chińczyk Cson-Ten w dzień spał w dziupli, którą kupił od pewnej kłótlivej niezmiernie wiewiórki za osiem orzechów, — w nocy zaś siedział na gałęzi olbrzymiego buka i jadł księżycowe promienie. Gdy zdarzało się, że księżyc — stary hulaka — pił gdzieś i nie było go na niebie granatowem, wówczas Cson-Ten zmuszony był pić rosę zwykłą. — Ale to zdarzało się doprawdy rzadko, zwłaszcza od czasu, gdy księżyc zachorował bardzo poważnie na nerki (co się zdarza wszystkim pijakom) i stał się bardzo czerwony.

Cson-Ten już dawno miał na oku staruszka Blefa. Z wielu powodów. Staruszek, który nie czyścił sobie zębów niczem, nawet porzeczkami, jak to czynił Cson-Ten, — spacerując raz po swojej ścieżce, chuchnął — nieświadomie może — w dziupłę, gdzie spał mały Cson-Ten. Było to straszne: wszystkie robaczki drzewne pozdychały natychmiast, a Cson-Ten stracił zupełnie na wiele, wiele dni węż. — Przytem nie mógł siadywać na gałęzi buka, bo miewał częste zawroty głowy. Ale z czasem to minęło i Cson-Ten powrócił do zdrowia. Poza tem jednak, jęki więzionych w pałacu, budziły w nocy ptaki — zarówno młode, jak i stare; bolało to bardzo małego Cson-Ten, bo był przyjacielem ptaków, a zwłaszcza szpaków, z którymi rozmawiał nader często. Głównym zaś powodem nienawiści Cson-Ten do perfidnego Blefa był sam fakt więzienia biednych ciał i cieni oraz sposób traktowania ich. Cson-Ten miał bardzo dobre serce (nie otłuszczone) i jęki więźniów zatruwały mu życie i promienie księżyca czyniły gorzkiemi. Wiele nocy przemyślał Cson-Ten nad sposobem ukarania Blefa, aż wreszcie znalazł: — Był to okres, w którym księżyc przestał już naprawdę upijać się i kolor jego był jasny i zdrowy. W porze, kiedy ziemia zdradza słońce z księżycem, Cson-Ten zbliżył się do pałacu Blefa z kawałkiem miodu w ręku. Wywabiwszy jednego szczura z pałacu, wdał się z nim w pogawędkę, — chwając jego piękny ogon i podrzucając przytem w powietrzu kawałek

miodu. Szczur, który był bardzo dumny ze swego ogona i lubił, kiedy go podziwiano, baczniejszą jednak uwagę zwracał na to, czem bawił się Cson-Ten. Dowiedziawszy się wielu ważnych rzeczy, Cson-Ten powiedział:

— Masz bardzo piękny ogon, tylko niezbyt długi.

— Co! on nie jest długi? — wykrzyknął szczur. — Mogę nim opasać to drzewo dwa razy.

— He, opasać. — Ciekaw jestem, czy, gdybym włożył na tę gałąź, dosięgnąłbyś mnie swym ogonem?

— Naturalnie, niedowiarku!

— A więc czekaj, zaraz spróbujemy. Jeśli zrobisz to rzeczywiście, wówczas dostaniesz w nagrodę ten kawałek miodu. To mówiąc, Cson-Ten szybko włożył na gałąź i zawołał:

— Proszę cię bardzo, przyślij tu swój ogon!

Szczur nie stanął nawet na przednich łapkach. Odrazu czubek ogona znalazł się pod nosem Cson-Ten, który chwycił go i zrzucił nadół kawałek miodu, wołając:

— Ja cię będę trzymał za ogon, a ty zjedz swoją nagrodę. Zobaczymy, czy potrafisz to zrobić?

Teraz Cson-Ten przeczekał, aż szczur zjadł swój miód, następnie trzymając się ogona skoczył na drugą stronę gałęzi, tak, że szczur zawisł w powietrzu, dotykając pyszczkiem ziemi.

— Hej, co robisz! Oszalałeś! — wykrzyknął szczur, oblizując się po resztkach miodu. — Przecież cięższy jesteś ode mnie.

— Nie zabardzo! W sam raz, żeby cię potrzy-
mać tak długo w powietrzu jak zechcę, nędzny
sługo nędznego...

Nie mógł dokończyć Cson-Ten, bo straszny pisk
szczura zagłuszył dalsze jego słowa. Natychmiast
z pałacu wybiegły trzy szczury i dalejże okładać
ogonami maleńkiego, dobrego Cson-Ten. Niedługo
to jednak trwało, bo na wrzask, jaki się wytworzył,
wybiegł z pałacu sam Blef w białym.

Na to tylko czekał Cson-Ten. Momentalnie zsu-
nął się po ogonie szczura na ziemię, porwał cień
staruszka pod pachę i szybko począł umykać.

Szczęście mu sprzyjało, bo gdy przebiegał ko-
ło jeziora i szczury już, już miały go schwytać —
z wody wyskoczył duży szczupak, aby wykąpać
się w księżycowym powietrzu. Wtedy Cson-Ten
dał dużego susa i znalazł się na grzbiecie szczupa-
ka wraz z wrzeszczącym cieniem staruszka. Szczu-
pak zrozumiał sytuację (szczupaki wcale nie są
takie złe) i zaczął płynąć, ale tak, że Cson-Ten
wraz z cieniem znajdowali się na powierzchni wo-
dy. Tak przepłynęli na przeciwległy brzeg.

*

*

*

Minęło wiele czasu. O, jakże smutne było te-
raz życie staruszka Blefa. Nie mógł już w dzień

spacerować po swojej ścieżce wokół pałacu, bo jakże być na słońcu bez cienia? To samo działo się w nocy, chyba że księżycy nie było, ale on tak rzadko teraz się upijał. Szczury włóczyły się po pałacu jak strute, bo perfidny Blef poucinał im ze złości ich długie, wspaniałe ogony.

Okropne.

A daleko, w gąszczu traw, Cson-Ten wziął cień staruszka. Pilnowały go żabki i jaszczurki, udreżane tak niegdyś przez Blefa.

Wreszcie Blef doszedł do przekonania, że życie jego jest nie do zniesienia. Posłał więc dwa szczury w posły do Cson-Ten, z zapytaniem, czego żąda za oddanie cienia.

Szczury mało nie skończyły ze wstydu, gdy stały przed Cson-Ten. Bo niema większej hańby dla szanującego się szczura, jak strata ogona. Po wysłuchaniu, Cson-Ten nie dał szczurom odpowiedzi, lecz powiedział, żeby następnego dnia w południe Blef sam do niego przyszedł.

O, szczycie upokorzenia! Potężny ongiś Blef, męczyciel cieni i władca różowego pałacu — nie licząc szczurów i ich ogonów, — szedł w skwarne południe, bez cienia, do maleńkiego Chińczyka Cson-Ten, żywiącego się Bóg wie czem. Szedł pośród traw kwiatnych i pachnących, a wszelkie stworzenia i żuki i myszy uśmiechały się ironicznie.

Skończyło się panowanie naturalisty-sadysty.

Kiedy Blef zbliżył się do dziupli, w której siedział Cson-Ten, ten powiedział, zatykając sobie nos:

— Proszę oddalić się o kroków dziesięć i rzucić mi stamtąd różę, — tylko białą, bo nie znoszę koloru czerwonego.

Słońce i ptaki wogóle tak drwiły z Blefa, że podał szybko żadaną różę, aby skończyć wreszcie rozmowę. Zapytał:

— Czego żądasz za mój cień, księżycowy złodzieju?

Cson-Ten nie obraził się, bowiem był zbyt wielkoduszny. Odpowiedział:

— Oddasz mi pałac wraz z cieniami, a sam pójdziesz sobie precz.

Staruszek Blef zemdlął i upadł na ziemię. Ocuły go mrówki. Podniósł się więc szybko i powiedział głosem zdławionym:

— Zgadzam się. Przyjdź jutro wraz z cieniem moim, pod drzwi pałacu mego.

* * *

Gdy Cson-Ten stanął na gałęzi drzewa rosnącego w pobliżu pałacu — wraz z cieniem Blefa pod pachą, — tam już czekano na niego. Staruszek Blef siedział pod krzakiem porzeczek. Skoro zobaczył Cson-Ten, powiedział żywo:

— No dawaj.

— Zaraz, zaraz, — niech ci się tak nie śpieszy. Gdzie są szczury?

— A co ci do moich szcurów? Są tam, w środku, w pałacu!

— Acha, w pałacu. Niechno one wyjdą z niego i przejdą się tam, o, het, daleko, na tę polanę pod lasem. Nie jestem znów tak głupi, mój Blefie.

Staruszek zacharczał z wściekłości. Nierad wołał szcury i kazał im pójść na polankę pod lasem.

Kiedy szcury oddaliły się znacznie, Cson-Ten powiedział do Blefa:

— A teraz wypuść ciała i cienie z pałacu i niechaj w moich oczach się połączą.

Po chwili wesole okrzyki rozbrzmiewały przed pałacem. To uwolnione ciała witały i łączyły się z cieniami.

Teraz Cson-Ten zeskoczył na ziemię i krzyknął łobuzersko do Blefa:

— No, znikaj z moich oczu, bezradna kanaljo!

— Jakto, a mój cień?

— Nie dostaniesz żadnego cienia, — utopi się go.

Twarz staruszka stała się koloru lilji. Rozpacz i zdumienie nie pozwoliły mu dojść do słowa. Trwało milczenie. Wreszcie wyrzekł przez łyzy:

— Moje łotrostwa... są niczem... w porównaniu z twojemi... Cson-Ten. Dobry Bóg odpuści mi wszystkie winy... za męczeństwo, którego ty jesteś przyczyną.

Ale Cson-Ten nie wzruszyły słowa skruszone-

go staruszka, począł krzyżeć, a nawet raz kopnął lekko Blefa.

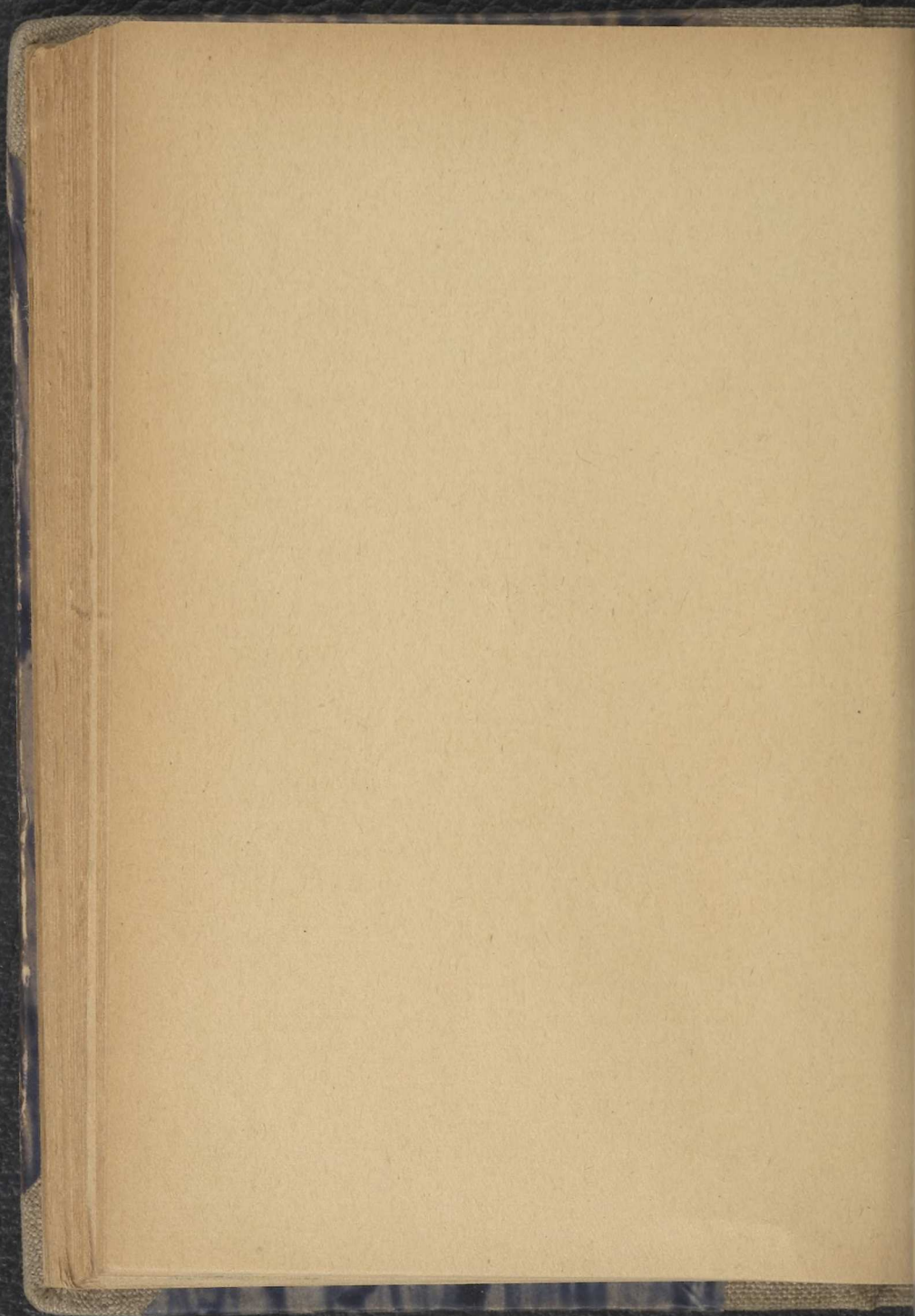
— No, już wszystko w porządku, uciekaj, uciekaj!

A kiedy staruszek Blef zniknął we mgle, zstąpił z nieba duży bardzo anioł i wielkim młotem rozbił i zniszczył pałac doszczętnie.

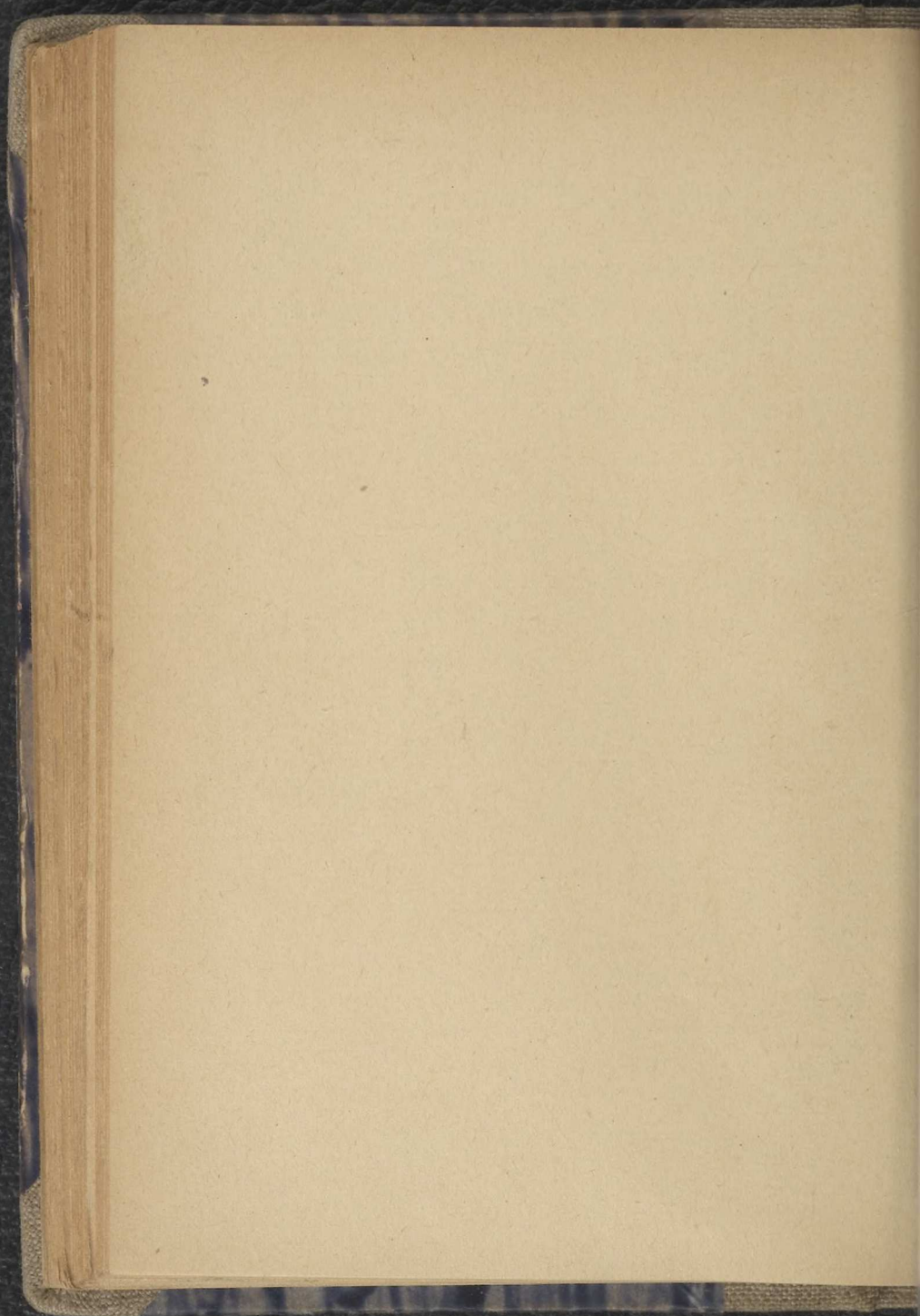
A ciała pomaszerowały w swoją stronę przy dźwiękach marsza koników polnych, któremi dyrygował maleńki Chińczyk Cson-Ten.

Słońce prażyło i cienie wyraźnie odbijały się na trawie i kwiatkach.

GROTESKI.



SALON PANI LAMMEMI.



Stary kawaler, Piotr Sojusz, wyszedł z szaletu i ziewnął. — Wokół liście drzew kasztanowatych, kapały się w świetle lamp łukowych i księżyc hulał po niebie. — Ciepły wietrzyk zaczepiał ogony koni dorożkarskich, a Sojusz medytował i uśmiechał się głupawo.

A teraz cofniemy się o trzy godziny wstecz i wytłumaczymy sobie dlaczego stary kawaler Piotr Sojusz medytował i uśmiechał się głupawo.

W porze kiedy sklepy uwalniają blade panny i wystrojonych ekspedjentów, Piotr Sojusz miał szczęście spotkać na przystanku tramwajowym przeciwnego kompana, pijaka i niezgorszego kpiarza, Augusta Nerwala i, co zatem idzie, miał przeżyć pewną historję, która stała się przyczyną medytacji i głupawego uśmiechania się przed szaletem.

— Hej! — Piotruś to ci traf, — klnę się na księżycowe promienie, że spotkałem cię w samą porę, — chodźże, chodźże stary mizantropie, — zaprowadzę cię do pewnego domu, ujrzysz parę małą
Człowiek w oknie — 6.

nader osobliwych, — tylko miej gospodynię na względzie — jest to baba o dość osobliwej właściwości, mianowicie wróży, — tak mruku — może ci co wywróży, tja.

Sojusz się wzbraniał, ale Newral tęgi chłop, przemocą wpakował go do taksówki i po kilkunastu minutach naciskał zżółkły guziczek od dzwonka, a Sojusz stał zbliska i drżał.

Kobieta, która zjawiła się w przedpokoju aby ich powitać, uczyniła na Sojuszu tak niesamowite wrażenie, że począł się szarpać za lewe ucho, co oznaczało u niego silne zaniepokojenie. — Tak, Pani Lammemi chodziła na paluszkach, trzymając swe pulchne rączki w sposób przypominający bożka chińskiego, — nie kiwała jednak głową, swą wspaniałą głową, otoczoną gęstą mgłą włosów, których koloru określić nie możemy. — To się tylko jeszcze powie, że jej biała twarzączka, z oczkami jak dwa miętowe cukierki, była maleńką plamą na tle tych właśnie włosów.

Śmiała bestja i bywalec z tego Newrała, — jak to poufale trzyma za rękę panią Lammemi i woła kawy, — a jakże, kawy — dla mnie i dla mojego przyjaciela.

Sojusz został przedstawiony niezwykle ponuremu panu, o błędnem spojrzeniu, który ścisnął mu rękę i odrzucił tak, jak to się czyni ze szmatką od kurzu. Potem kazano mu usiąść i pić kawę.

Wdzięcznie wyglądała pani Lammemi z rącz-

ką niedbale opartą na pozłacanej ornamentacji kanapki, z dwoma zachwyconemi po obu stronach panami i z nieruchomo siedzącym Sojuszem naprzeciwko. — Teraz jednak, gdy ci troje zajęci są rozmową o właściwościach leczniczych surowej wątróbki, Sojusz rozgląda się po salonie.

— Otóż przedewszystkiem siedzi przy stole długim i wąskim, nakrytym fioletowym obrusem w kształcie wielkiej gwiazdy. Przez środek i długość stołu stoją długim rzędem kwiaty i liście w doniczkach poobwijanych karbowaną bibułką, na drutowanych talerzykach. Po obu krawędziach stołu leżą książki, które Sojusz począł właśnie oglądać; wszystkie były opatrzone dedykacjami osób prywatnych, — znaczy, że pani Lammemi otrzymała je od ludzi sobie życzliwych. Jedna z dedykacji na romansie kryminalno-erotycznym P. F. J. Pszczółkierewielicza tak brzmiała: „Pani Lammemi od lubiącego ją człowieka, który ma życzenie żeby czytała tę powieść wieczorami, kiedy jego niema, Jana Paradyza“. — Sojusz czytał te dedykacje i myślał o przenikliwości ich autorów. Kiedy doszedł do połowy stołu, tam gdzie stała największa doniczka; zobaczył niewielką książeczkę, obłożoną fiołkami, na okładce której widniała markiza wachająca nać. W tej chwili zamarł ze wrzuszenia; pod markizą przeczytał nazwisko autorki: Lucylla Lammemi, — a wyżej tytuł: — „Pietruszki w sadzie, czyli erotyki botaniczne“ — a u samego dołu: sumptem autorki. — Sojusz spoj-

rzał na panią Lammemi, — patrzyli na niego wszyscy troje z pobłażliwym uśmiechem, mówiącym — no widzisz profanie. — Zaś ona, autorka właśnie, przymrużyła swe miętowe cukierki i rozděła nozdrza, grając najwidoczniej tą mimiką na zmysłach Sojusza. — Przesunął parę kartek i znalazł tam wiersz, po którym westchnął i spojrział z zachwytem na czoło napiętnowane genjuszem, na nozdrza, włosy i usiadł. Następnie wodził z zachłyśniętym zdumieniem wzrokiem po ścianach salonu. Niezwykle pięknie odbijały się od złoto-zielonej tapety kolorowe reprodukcje, przypominane sprytnie pinezkami.

Nad kanapą chytrze nakrytą kocem w zwierzęce desenie wisiał portret pani Lammemi, rysowany ceglastą kredką i opatrzony znakomitem nazwiskiem: Ryłłopireley Alonzo. — Stało tam również w kącie pianino, stały krzesła i wszędzie można było znaleźć jakiś miły drobiazg do obejrzenia.

Pan o błędnem spojrzeniu nazywa się Leon Rozmach i mówi tak, jakby wydawał rozkazy: — co do pomidorów to mam pewne zastrzeżenie, jednego... lecz w tej chwili zadzwoniono dwa razy i uwaga została skierowana w stronę przybyszów, a pani Lammemi wyszła do przedpokoju.

— O! — radca Trubiłko — poznaję po głosie.

Newral z obojętną miną poprawił sobie krawat.

Rzeczywiście wszedł pan radca Trubiłko ze swą narzeczoną,—wspaniała para. — Sojusz przedstawił się tym ludziom z przyjemnością. Odrazu widać było, że są to ludzie świetnie obcy towarzysko; — ona w zielonej sukni mrużyła oczy, gdy paliła papierosa, a on miał koralową szpilkę w krawacie i gdy mówił, z dystynkcją poprawiał wdzięcznie wystające z rękawów brązowej marynarki mankiety.

I rozmowa przybrała rześki obrót.

Panna Ilona, bo takie imię nosiła narzeczona pana radcy, mówiła o doskonałej kuchni państwa Kwaśniewskich w Zgoranach, gdzie spędzała letni urlop.

Gdy podano pierożki z mięsem, to one tak pachniały. Okropnie lubię pierożki z mięsem.

— Pierożki z kapustą są również doskonałe, — powiedziała pani Lammemi.

— Obbu!-tak!... Rozmach przymrószył oczy i wąchał coś z lubością, układając wargi nakształt ryjka. — Tak!

Radca zaczął:

— Mojem zdaniem, ludzie wogóle za dużo jedzą, a sztuki piękne pozostają gdzieś wtyle. Za granicą dzieje się inaczej, naprzykład...

— Czy Michał przyjdzie dzisiaj, pani Lucylo? — przerwał Trybik.

— Właśnie telefonował że przyjdzie, musi czekać na ubranie, które dał do odświeżenia.

— W Szwecji...

— Widziałem dzisiaj pana Bąbolka; cóż to za przemyły człowiek.

— Ilonko! — zdaje ci się. Pan Bąbolka nazywał mnie kiedyś wróżką. — Niewiadomo dlaczego, — ja przecież wszystko na podstawie nauki.

— Pan Bąbolka rozrósł się tak potwornie, że rozmawiając z nim, trzeba patrzeć na niego przez szkła pomniejszające. Ho-ho-ho. Rozmach znowuż powąchał górną wargę.

— Chi, chichi, — dowcipniś z pana, nie! — nie jest znów tak miły pan Bąbolka.

— Mój przyjaciel, którego tu przyprowadziłem, posiada ciekawy sposób zabijania czasu; gra sam ze sobą w kości. To powiedział Newral i kiwnął głową na Sojusza.

— Cho, ho, ho, — hi — chi.

Teraz wszyscy skierowali wzrok w stronę Sojusza; — siedział, kręcąc w palcach zapałkę. Śmiał się przytem.

— W Budapeszcie pewien dentysta grał ze sobą w szachy, — wypowiedział szybko radca.

Zapanowała cisza — palono papierosy i pito kawę.

Poczęto mówić o różnych rzeczach: o literaturze, gatunkach tytoniu, polityce, alkoholu, mroźcach w zeszłym roku i paskarstwie. Wszyscy mówili tak, jak na dobrze wychowanych ludzi przystało. Sojusz usiadł z książką w ręku na kana-

pie i obserwował narzeczonych; — pożerali się wzajemnie wzrokiem. Ileż męki i buzującego ognia namiętności biło z ich oczu, gdy na siebie patrzyli.

Tak, widać nie mogli się pobrać z powodu głodu mieszkaniowego i ckliwy z natury Sojusz współczuł im serdecznie.

Wtem w podskokach i z piskiem wpadła do salonu córka pani Lammemi.

Panowie wstali i poczęli mówić pannie różne przyjemności.

— Ależ pani się poprawiła!

— Gdzieto — w Świdrze?

— Jeden mój znajomy...

— No, a teraz zamąż.

— A nauka, to co!?

— E! — kobiecie.

— Moja kuzynka...

— Proszę sobie usiąść. Gdy się panna ze wszystkimi przywitała, rozmowa zbiegła znowuż na inne tory. Pan radca klepał ręką po rękę, patrząc zamglonym wzrokiem na wijącą się z pożądania narzeczoną. Newral myślał o nich, jako niewolnikach przesądów staroświeckich.

Panna Henia siadła koło Sojusza i wszczęła rozmowę. — Sprytna to dziewczyna — wiadoma rzecz — Sojusz, — stary kawaler i urzędnik państwowy, człowiek miły i ułożony.

Rozmowa została przerwana wejściem Michała, cichego blondyna, który wszedł chyłkiem w

świeżo odnowionym garniturze, skrzypiących lakierkach, z zaczerwienionymi powiekami i po przywitaniu usiadł w kąciku i zapalił papierosa. Sojusz przyglądał się panie Heni; była w biodrach trochę nie w porządku, — nos wielki i krzywy, na powiece jednego oka nie miała rzęs, włosy krótko obcięte i świeżo zmoczone przylepiły się do głowy. Paznokcie brudne, lecz lśniące od lakieru, — poruszała szybko dwoma sznureczkami białych warg, plując na krawat Sojusza. Szepleniła.

— Takie miałam powodzenie u chłopców w Świdrze, że nie mogłam się opędzić. Jeden to mnie tak pocałował, — ale dostał w pysk! Żeby pan wiedział. Ja to strasznie nie lubię, jak kto bez mego pozwolenia — żeby pan wiedział. — A teraz jak nie zdam matury, to sobie odbiorę życie, — nie zna pan jakiej trucizny?

— Amonjak!

— Uj, to piecze — nie, lepiej kwiatami się otruć — tuberozy!

— Amonjak!

— Nie, — czy pan żartuje. Mój ojciec, jak się raz upił, to mu mama dała amonjaku do powąchania, ale mnie poco?

— Amonjak pani radzę, tylko amonjak.

— Co pan zwarjował, ciągle pan jedno wkrótce powtarza.

— Amonjakiem otruło się paru moich znajomych i dlatego pani radzę, jako skuteczną truciznę.

— Co z pana za figlarz, ja się nie chcę otruć, chciałam pana przestraszyć.

Panna Henia gryzła paznokcie i Sojusz wstał aby się napić wody. Nie zdążył dopić szklanki, gdy rozległy się dwa ostre dzwonki. Pani Lammemi wyszła znowuż do przedpokoju, a Michał począł nerwowo spoglądać w stronę drzwi. Dobiegały głosy:

— Kochana, tak dawno!

— Co za śliczny kapelusik.

— Chcesz to ci dam adres!

Na progu stanęło uosobienie finezji, które najbardziej niedbale przywitało się z Michałem. Panna Hanka, ona to — kobieta-demon, o ruchach rasowej, zmysłowo-namiętnej kotki i południowym żarem w oczach.

Momentalnie zawojowała towarzystwo, — ta dogaressa. Spacerowała pośrodku salonu, z lewą ręką opartą na biodrze, z prawą wzniesioną do góry z papierosem w palcach. Tańczyła chodząc. — Na ramionach miała szal czerwony w czarne grochy, o tym szalu zaczęła mówić:

— Proszę sobie wyobrazić, że Jontyz chodził w tym szalu przez dwie godziny, po moim pokoju. — Jego ostatnie karykatury dyplomatyczne wzbudziły zachwyt ogólny. — Gdy się ze mną wita — całuje mą rękę i czule patrzy w oczy, ten tak wielki artysta.

Mężczyźni kiwają głowami; — rzeczywiście—

ta Hanka — Bóg wie co potrafiłaby uwieść. — Rtęć — dziewczyna!

Sojusz patrzy na Hanę z zachwytem — zupełnie hiszpanka, gdyby nie pewne drobne szczegóły: — przedewszystkiem panna Hanka jest blondynką i rzęsy jej są również jasne. Jej twarz nie jest twarzą palącej córki Andaluzji, a nozdrza kopytkowego nosa, nie drgają zmysłowo. Może w jej figurce możnaby coś takiego odnaleźć, lecz — to — nie. Czy widział kto, aby południowe dziecko miało podobnie nieforemne nogi, obute w dodatku w lakiery z nikłowemi klamrami. Ale wewnątrz tej dziewczyny było pełne żaru. Jak bąk kręciła się po salonie w różne strony. — Zaczepiała mężczyzn i obrażała kobiety. — O! — to żarty oczywiście. — Lecz w pewnej chwili uchwyciła lekko swą pulchną rączką ucho pana radcy i, wywołała tym, w gruncie rzeczy niewinnym żartem, gorące westchnienie i rumieniec na licach panny Ilonki. — Lecz po chwili wszystko się uspokoiło i panna Hanka zaproponowała, aby coś zagrać. — Wówczas pani Lammemi z głową wzniesioną do góry, acz z oczyma skromnie nakrytymi powiekami, skierowała się w stronę pianina. Już podniosła dłoń aby uderzyć w klawisze, gdy hipnotyzer Rozmach wrzasnął:

— Cóż to za granie teraz — jeść mi się chce, jak piorun jasny! — Lucylko! — zakrzętnij się koło stołu! — z graniem tam — grrrom!

— A potem zagramy wszyscy w Mefistofelesa, powiedziała Henia i wypluła resztki paznokci.

Poczęto chodzić, krzątać się i oglądać obrazki. Pani Lammemi smutną miała twarz z powodu owego pianina, a goście zadowoleni z takiego obrotu sprawy, starali się swą radość zatuszować obojętnem oglądaniem drobiazgów.

Michał jeno stał oparty o piec kaflowy i wzdychał, a rzeził okrutnie. Wszyscy to wiedzieli doskonale, że Michał jest zakochany beznadziejnie w Hance. — Oj! — ta Hanka. — Wystrzegać się takich kobiet. Michał był dla niej za szczupły, za blady, za urzędnik, za blondyn i t. d. — I tak oto sechł z nieodwzajemnianej miłości, najzdolniejszy buchalter firmy „Selcer“. Rozmach, któremu nadzieja kolacji rozjaśniła twarz, począł pokazywać Newralowi różne sztuczki z palcami. Chichotał przytem i gdzieś tam ze spodni wyjmował przeróżne przedmioty. — Henię uchwycił za rękę i zapytał czy chciałaby być sową, — nie! — dlaczego to nie chciałaby być sową? he— he — ha hę.

Przy kolacji mówiono, że wszystko co jedzą, jest doskonałe i śmiano się z ponurych dowcipów Rozmacha. — Opowiadał, że zahipnotyzował raz pewnego żydka i kazał sobie zwrócić pieniądze, które mu wręczył dnia poprzedniego za weksel.

Zrobił to oczywiście żartem — ha — ha — ha.

Tak, — wielkie moce posiadał w sobie ten Rozmach. Hipnotyzer!

Alkoholu nie pito.

Gdy wstano od stołu, poczęto znowuż palić

i pić kawę. Pani Lammemi znikła w drugim pokoju z Rozmachem i Newral szczypany przez Henię, widział przez uchylone drzwi, że nad czemś się tam naradzają.

Tak, — będzie seans hipnotyzerski, a jako medjum, wybrano Newrala, z powodu, jakoby — jego błękitnych oczu.

Pod ścianami, w półkole, rozsiadło się całe towarzystwo. Pan radca i Ilonka, przytuleni do siebie, dyszeli ciężko. Zgaszono duże światło i zapalono jeno maleńką lampkę nocną z czerwonym abażurem.

Zrobiło się cicho i tylko Michał raz kichnął, patrząc na Hankę.

Trybik i Rozmach usiedli naprzeciwko siebie, bokiem do towarzystwa. Newral w pewnej chwili mrugnął dziko w stronę Sojusza i uśmiechnął się zjadliwie, ale ten tego nie zrozumiał.

Było bardzo cicho i Rozmach wpatrywał się ostro w oczy Newrala. Panna Hanka dostała czkawki i uczyniła trochę hałasu pijąc wodę.

Po kilkunastu minutach takiego wpatrywania, Rozmach począł machać rękoma koło twarzy medjum, fukać na niego i dmuchać, aż wreszcie szelma Newral, widać tem zniecierpliwiony, nibyto usnął.

Wtedy Rozmach powąchał górną wargę, wstał i zaczął przemyśliwać, coby tu zrobić ze swoją ofiarą.

Wziął rękę Newrala, wyprostował ją poziomo i począł głaskać. — Potem zwrócił się do towarzysztwa:

— Naskutek moich ostatnich doświadczeń, ręka powinna stać się zupełnie sztywna.

— Rzeczywiście ręka stała się sztywną i zgiąć jej nie było sposobu.

Lecz w tej chwili medjum zaczęło charczeć i oddychać niezwykle szybko, szepcząc coś niewyraźnie. — I po chwili wszyscy już mogli słyszeć co mówiło.

— Będę, — będę — mówił o przyszłości i różnych wadach obecnych tu osób. Głos był jakby z za grobu i brzmiał niezwykle tajemniczo.

Dopiero wszyscy spojrzeli na siebie z przerażeniem i ruch się wszczął ogromny: — O!, tego, to nam nie potrzeba, nie! — zaczęli krzyczeć: panie Rozmach — zechciej pan obudzić medjum.

Ale Rozmach sam był bardzo przerażony i potrząsnął parę razy medjum, lecz ono krzyczało coraz głośniej.

Wówczas to Rozmach powiedział, że zaszedł bardzo ciekawy wypadek, którego on nie przewidywał i medjum musi swoje powiedzieć, gdyż inaczej się nie obudzi.

— Zależy o kim będzie mówił — pisnęła Henia.

Medjum wodziło długo zamkniętymi ślepiami po wszystkich, aż wreszcie utkwilo je w panu radcy.

— Ten pan — powiada — był kiedyś poetą i robił różne plagjaty.

Radca skamieniał.

— Widzę — widzę, w tylnej kieszeni radcy, płaską butelkę z wódką. Wypija ten alkoholik kieliszek na godzinę.

Zdumieli wszyscy ogromnie, a Henia poma- cała pana radcę gdzie należy, — a jakże — butel- ka była, i Ilonka odsunęła się nabok.

Medjum ciągnęło:

— Skąpy jest bardzo i sam sobie pierze skar- petki. Nie ożeni się nigdy, a szpilka, którą ma w krawacie, nie jest prawdziwa.

Medjum westchnęło głęboko i mówiło dalej:

— Panna Hanka ma trzy zęby sztuczne i lubi w łóżku oglądać pornograficzne rysunki, jedząc jabłka. — Żyje na wiarę z pewnym przodowni- kiem, a oprócz tego całuje się nocami z różnymi ludźmi koło wodociągu na placu Wiecznej Na- dziei. — Wystrzegać się jej należy bardzo, ponie- waż kradnie przyrządy do manicure.

Ledwie zdążyli ocucić pannę Hanke, medjum już krzyczało głośno o Rozmachu.

— Szarlatan to i oszust pierwszej wody. Nie potrafi on hipnotyzować zupełnie. Przytem jakiś czas żył z kotem i zniewalał smutne staruszki. — Kółnierzyki i mankiety przewraca na drugą stro- nę, a spodniej bielizny wogóle wcale nie nno...

Zaczęli potrzasać medjum, a nawet kopać. Pa-

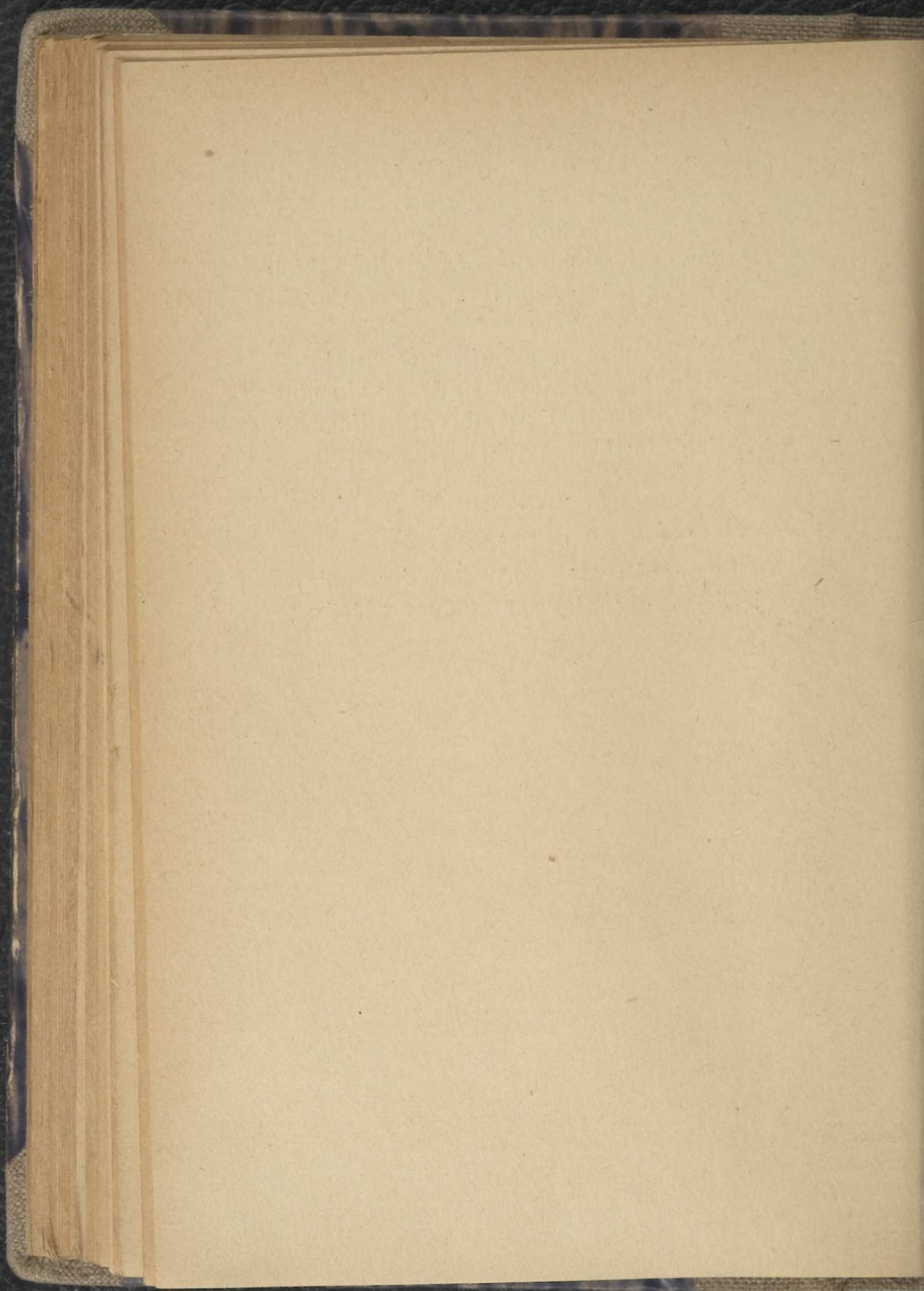
ni Lammemi otwierała drzwi naoscież, lecz medjum, wyrzucane w stanie śpiącym, krzychało:

— A Lammemi — hohoho — namawiała raz pewnego młodego człowieka do różnych brzydkich rzeczy, — jej córka też nie lepsza — ma farbowane włosy. — Ilonka — hehem — hoj — joj.

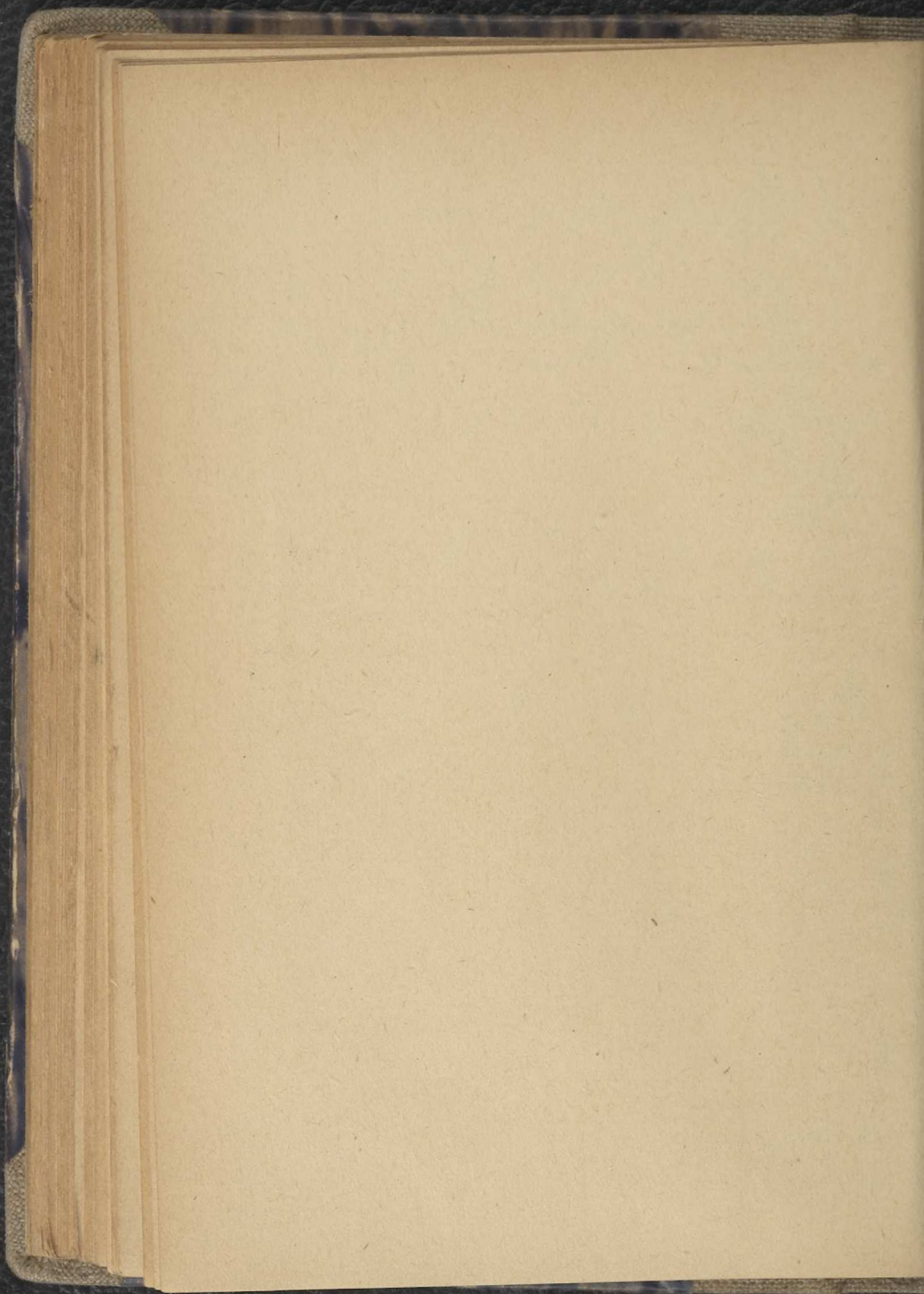
Gdy go już wyrzucono, a Sojusz również wymknął się pocichutku, — Newral odrazu się obudził, — śmiał się ten spryciarz na całą ulicę, ha, ha, ha, a tom ich ubrał.

* * *

Stary kawaler — Piotr Sojusz — medytował jeszcze chwilę przed szaletem, następnie machnął ręką i gwizdząc, zniknął za ponurym różańcem taksówek.



NAJPIERW IDZIE SZTUKA KULINARNA.



— Cóż to — na Boga — za pożyteczne stworzenie z takiej kury — powiedział pan Ceres, wyszedłszy przed swój dom, — tubalnym głosem, trzymając w olbrzymich palcach świeżo znalezione w trawie jajko. — Pożyteczne to ptaszę należy do przyjaciół człowieka i żywiąc się byle czem, składa mu w darze tak piękne i smaczne prezenta. — Cóż to za kształt — na Boga — przedziwny tego oto jaja — jest świeżo zniesione i kolor posiada nieco — ale w gruncie rzeczy jest białe, — nieco brunatny i powierzchnia jego wydaje się być chropowatą. — Hej! — Kaciu — na Boga — usmaż mi te oto znalezione przeze mnie jaja. I pan Ceres zbliżył się do swojej gospodyni, z rękoma wzniesionymi do ramion, z czterema jajami w każdej.

— A to się pan tam wiele nie naszukał, — dwa! — lepiejby pan dał spokój codziennie z temi jajami, — bo jak przyjdzie ciasto jakie upiec, to muszę latać po sąsiadach i pożyczać, albo i czasem kupować, — chociaż pieniądz się w domu nie

przelewa. — Nie mógłby pan to zjeść kaszy ze słoniną na te drugie, czy jak tam, śniadanie, — albowym panu boczką przysmażyła, bo wisi od Bożego Narodzenia i jełczeje, — albo czy to nie mógłby pan wcale nie jeść tego śniadania i tak, — Bogu dziękować, — brzuch ma pan niezgorszy, a i niewiele tam czasu przejdzie od tego pierwszego śniadania do obiadu, w...

— Hejże, hejże — Kaciu — na Boga! — przestań, złotko, tak wiele mówić i, przepraszam, że ci przerywam — ale usmaż mi te jaja ze szczypiorkiem — wiesz, tak drobniutko, — a ja je zjem.

Pan Ceres położył jaja na stole i myjąc ręce mówił dalej:

— Jeśli — moja droga Kaciu — umysł swój przeciążam zbyt czytaniem dzieł filozoficznych, — to lubię i wolno mi chyba — na Boga — udać się na maleńką przechadzkę i uzbierawszy sobie te parę jaj, prosić cię o spreparowanie ich — tak, aby tkanki wycieńczone tą przechadzką i schyłaniem się po jaja — odpowiednio przygotować do dalszych wysiłków. — Cóż to — na Boga — masz przeciw drugiemu śniadaniu? — Cóż masz, pytam? — pierwsze śniadanie złożone z kawy, z białej kawy ze śmietanką, którą tak lubię niezmiernie, bułek, masła i boczką — swoją drogą — drugie śniadanie swoją drogą, — a obiad?! — Cóż ma obiad — na Boga — do śniadań? — Obiad obiadem. — Chciałabyś może, abym żołądek przecią-

zał kaszą i boczkiem — dość boczku na pierwsze śniadanie. — Muszę się szanować — na Boga!

Teraz, gdy już wytarł ręce ręcznikiem z napisem „czystość to zdrowie“, pan Ceres udał się do swego pokoju o dość niskim suficie, pokoju zawalonego książkami, tak że z trudem olbrzymia postać pana Ceresa mogła się przecisnąć do zielonego fotela, stojącego przy oknie, w którym zasiadł wygodnie, oparł olbrzymią książkę o kolana i począł czytać, przysłuchując się jednocześnie skwierczeniu skwarek na patelni i trzeszczeniu skorup od jajek, tłuczonych o brzeg garnka przez Kacię tam, w kuchni.

Po kilku minutach Kacia wniosła talerz z pachnącą szczypiorkiem jajecznicą z ośmiu jaj, — i pan Ceres począł ją spożywać, mruczając co pewien czas pod swemi olbrzymiemi wąsami.

— Hm — na Boga — cóż to za nabiął — tak smaczny niezwykle, — hm — kurka, — przemile stworzenie.

Pan Ceres dość szybko zjadł jajecznicę i zawoławszy na Kacię: — Kaciu, złotko — sprzątnijże naczynie po mojej przekąsce, zagłębił się w czytaniu nader skomplikowanego dzieła, p. t. „O wielości rzeczywistości“.

Obiad jadł pan Ceres razem ze swoją gospodynią Kacią. Był kawalerem starszym już sobie, tak grubo po pięćdziesiątce panem i mieszkał z Kacią od lat dziesięciu w tym (własnym zresztą) małym, na zielono pomalowanym domu, o trzech

niewielkich pokoikach i kuchni dość obszernej. Przytem pan Ceres był czerstwym zupełnie mężczyzną, wąsy jego i broda miały kolor miedziany, zaś na głowie trudnoby znaleźć choć jeden włos siwy, ponieważ pan Ceres był ich w tem miejscu zupełnie pozbawiony.

Teraz pan Ceres zasiadł do stołu i zatykał sobie serwetkę za gumowy kołnierzyk, zerkając pożądliwie na wazę z dymiącą zupą. Naprzeciwno usiadła Kacia, czerstwa, o czerwonej twarzy, z czarnemi węsami nad górną wargą, ze czterdzieści lat sobie licząca kobieta.

— Cóż to za zupa wyśmienita! — zazdroszczę ci, Kaciu, tej szlachetnej umiejętności przyrządzania wszelkich potraw, a zwłaszcza zup. — Na Boga! — nektar, w nader subtelny sposób zaprawiony czosnkiem. Hej — złotko! — przysuń mi jeszcze tę wazę i rącz ukrajać chleba, bo go już tutaj nie widzę na stole, a zupa bez chleba, to doprawdy traci wiele.

Kacia przysunęła wazę, nakrajała chleba i wyszła do kuchni aby przygotować drugie danie, zaś pan Ceres patrzył przez okno na skaczące po gałęziach wróble i mówił poprzez uchylone do kuchni drzwi.

— Wiesz, te wróbelki — na Boga — smaczne stworzonka, tylko oczywista należy je spożywać masowo, — gdyż — cóż to, — drobiazg. — Gdy byłem razu pewnego u swego przyjaciela w majątku, w Lubomskim powiecie, — to nocami łowiliśmy te

ptaszki z gniazd, z pod strzech, — oczywista, cóż to — na Boga — służyły jako jedna z zakąsek do wódek. Nawet nie żał zabijać tego, bo tak wiele jest... Cóż to — na Boga — za zapach przemiły unosi się z wnętrza naczynia, które — Kaciu — niesiesz, — cóż to, baranina — jeśli mnie wzrok i powonienie nie myli, — na Boga — buraczki są nieco przybladłe, ale zrehabilitują cię, Kaciu kartofelki, o dość powabnym wyglądzie. Ogromnie lubię, mówił dalej pan Ceres nakładając sobie na talerz, — gdy kartofelki mają kształt owalny i zdaleka wydaje się, jakby były twarde, — natomiast, to przywidzenie — oczywista, — naciska się widelcem i tłuszcz z powierzchni wraz ze skwarkami dostaje się do wnętrza kartofelka. — Baranina daje mi zawsze — ilekroć ją jem — wyobrażenie, — ukraj chleba, — perło mego domu, — otóż baranina daje mi wyobrażenie jakiejś dzikości, życia — powiedziałbym koczowniczego — cóż to — na Boga — już nie jesz, — pozwól, że ja tę resztę złożę na swój talerz, abyś nie miała kłopotu, bo wiem, że zbyt tłuste talerze jest nieprzyjemnie zmywać. — Cho, cho, cóż to, — Chiny — na Boga, — ryż z cynamonem i ze śmietaną, — podaj złotko — to pomaga trawieniu i dosyca. Cóż — zdaje mi się, że masz tam jeszcze parę butelek tego piwa domowego wyrobu — racz podać jedną — znakomicie smakuje po baraninie — notabene — jadę dziś przecież do miasta, więc zgóry muszę mieć pewną rekompensatę za trudy podróży. A propos — złotko, — w ce-

ratową torbę, którą zwykle używam do podróży, włożysz mi nieco nabiału i chleba, przytem boczek nie zawadzi. — Wszak trudno — na Boga — tłuc się całą godzinę w pociągu i nie mieć coś przegryźć. — Racz wykonać—Kaciu — te drobne polecenia i podaj mi kawę do gabinetu. — Uh! — na Boga — sen mię morzy, — do kanapki podaj mi tę kawę, złotko, zazwyczaj—zauważyłem, sypiam po kawie lżej i czujniej, cóż to za obiad był tak znakomity, na Boga! — a obudź mię Kaciu, o 4-ej, — dwie godziny snu pokrzepią mnie niewątpliwie.

Co miesiąc, w oznaczonym terminie, pan Ceres jeździł do miasta, celem podjęcia niewielkiej sumy. Była to renta dożywotnia; rentę tę otrzymywał pan Ceres o godzinie 5-ej i tego samego dnia wieczorem wracał do domu. I dziś więc pan Ceres gotował się do podróży. — Włożył spodnie w paski i żakiet, — czarnym krawatem w białe grochy przyozdobił śnieżny gors koszuli, wyczyścił binokle i na głowie umieścił okrągły tabaczkowy kapelusz. Wychodził właśnie z tomem pod pachą lewej ręki i w tejże ręce trzymając ceratową torbę z żywnością, w prawej zaś parasol, gdy Kacia zapytała.

— A poco pan bierze parasol? — Słońce świeci, a taki parasol może pan gdzieś zgubić po drodze.

— Cóż z tego — na Boga, — że teraz słońce świeci, wieczorem nie będzie świeciło, a miasto — że tak powiem — lubi sobie urządzać kpiny z prze-

jezdnych. — Biorę parasol, bo nuż deszcz, albo jakiś opryszek mnie spotka, — he, — dowidzenia — dowidzenia Kaciu, kolację — oczywista — hm, hm — dowidzenia złotko.

Pan Ceres pospacerował jeszcze trochę po peronie na stacji, zjadł gruszkę i gdy pociąg nadszedł wsiadł do wagonu, usadowił się na ławce i sięgając co chwila do torby, czytał z tomu i poruszając wąsami, dojechał po godzinie do celu.

Szaro już się robiło w mieście, gdy pan Ceres wyszedł z domu, gdzie pobrał pieniądze, i szedł wolno, dźwigając pustą torbę, tom i parasol. Właśnie stanął przed wystawą pewnej pasztecjarni, gdy mały, rudy mężczyzna podszedł do niego z okrzykami.

— Albinie kochany — to ty chyba, czy co?! Nie udzielasz się ostatnio zupełnie, — dawniej to chociaż przyjeżdżałeś na domino, a ostatnio to już zupełnie zarzuciłeś przyjaciół, — jak ja...

— Ach — na Boga — kogo widzę! — tyżeś to, ty — Rozbicki, — kogóż to dzisiaj spotkałem — na Boga, — co za niezwykle radosny uśmiech losu, no cóż — może ulokujesz mnie gdziekolwiek — o, bo dajby tutaj w tej pasztecjarni, widzę proszę na zimno, z prześlicznie zarumienioną skórką. Cóż, będziesz mi opowiadał, a ja przekąszę cośkolwiek. Oczywista, — kwestja płacenia nie robi różnicy — ty zapłacisz, — no chodź mój drogi, bo nawet nie wypada tak stać na ulicy.

— Ale Albinie — nic podobnego, — wybacz — ale dzisiaj są imieniny Dominika, ktoby tam obja-
dał się przedtem — też...

— Co słyszę — na Boga! — imieniny Domini-
ka? — Idę z tobą, mój drogi, — naturalnie, — też
coś, — stary przyjaciel.

— No, więc wsiadamy do jakiegoś wehikułu
i jedziemy.

Na imieninach Dominika byli sami mężczyźni.
Gdy gospodarz zobaczył pana Ceresa powitał go
serdecznie, lecz baczny obserwator mógłby jedno-
cześnie spostrzedz na jego twarzy jakieś nerwowe
drgawki i pochwycić gorączkowe spojrzenia, rzu-
cane w stronę kuchni.

Po wprowadzeniu gości do salonu Dominik
z jękiem wpadł do kuchni: — Jezus Marja! — a to
mnie Bóg pokarał. — Marto wal szybko — masz tu
pieniądze — i dokup z dziesięć puszek konserw,
ze dwadzieścia butelek piwa, wędliny, sera i t. d.—
Gdybyś zauważyła, że czegoś brakuje, to weź je-
szcze w restauracji. Też los!!

Po złożeniu życzeń solenizantowi wszyscy udali
się do stołu. Pan Ceres prowadząc Dominika pod
rękę powiedział:

— Zobaczmy, — cóż to — na Boga — za kuch-
nię masz Dominiczku.

— Radbym, aby ci odpowiadała. — I Dominik
uśmiechnął się ponuro.

Początkowo wszyscy wesoło rozmawiali i gwar

był przy stole, lecz w parę minut później zahuczał bas pana Ceresa i wszyscy umilkli.

— Co widzę — na Boga — węgorz, o dziękuję bardzo — ja sobie odrazu wezmę parę dzwoneczków, żeby nie fatygować sąsiada, — uhhh, doskonały — rozplywa się w ustach, oczywista — cytryną należy neutralizować zbytnią monotonność smaku. — Fenomenalny! — A cóż to za wódeczka, tak w przelyku przemiła — oczywista mrożona odpowiednio. — Nie przepadam wprawdzie za marynatami, lecz pozwól pan — o, na Boga, — te moskali, — o, wystarczy — nie trzeba drugiej puszkii — to mi prawdopodobnie odpowiednio przygotuje żołądek na przyjęcie sardynek, które wygląd mają dość wdzięczny, ohm.

Jedzono w milczeniu i śledzono ruchy pana Ceresa, na wszystkich padło jakieś przygnębienie. Alkohol działał bardzo słabo.

Pan Ceres jadł.

— Cóż to niesiesz — dziecinko, roladę, — pozwól parę plasterków — wystarczy, o, i kawałek pulardy — czekaj, czekaj złotko — galaretki, ot taak. — Muszę panom powiedzieć, że ostatnio straciłem apetyt, a to z powodu zbytniego przemęczenia umysłu zagadnieniami natury nader delikatnej. — Obserwuję teraz młodego i dość dobrze mającego w głowie filozofa, nazwiskiem Chwostek, — piję twoje zdrowie, Dominiczku, sercu memu bliski — ogromnie — panowie, — lubię czytać filozo-

ficzne dzieła, zwłaszcza po dobrym obiedzie, — cóż to — na Boga — już gorące podajesz, — przepraszam, jeszcze kwiczołka na zimno, to jest tak delikatna ptaszyna — o tak, teraz piwa z przyjemnością.

— Dlaczego nic nie piszesz, Albinie? — zapytał Dominik patrząc na talerz pana Ceresa.

— Oh — na Boga — panowie i towarzysze mili, — cóż to — pisać — he, — cała sztuka właśnie w tem, żeby się powstrzymać od pisania, — cóż to, dzielić się wiedzą z obcymi ludźmi, i, że tak powiem, rozwadniać tę wiedzę, — kacuszka co — zaraz, zaraz, nadzienie, o już, — to co umiem, sobie zatrzymuję, no i oczywista — dzielę się czasem w gronie najbliższych, — pisać — cóż to, — pisać rzecz nie trudna. — Nadzienie w tej kacuszce, którą jem w tej chwili — jest znakomite, nieco majeranku za wiele, ale to nie szkodzi, — doskonale pasuje jarzębiak do kaczkki, — twoje zdrowie Dominiczku, — cóż to — na Boga — panowie — takeście szybko zjedli, — otóż jeszcze jedno danie, — co widzę — na Boga — pstrągi! Zechciej pan przysunąć — o to, to bardzo lubię — tylko ona za późno podała, ale to nic — winka — owszem można, proszę bardzo. — O, muszę nieco odpocząć, — cóż to — na Boga — za uprzejmy gospodarz.

Pan Ceres pił jeszcze wino, jadł torty i pił kawę. Towarzystwo grało w karty lub zabawiło się rozmową, a pan Ceres długo jeszcze siedział przy

stole. W pewnej chwili spojrział na zegarek i poderwał się z krzesła dość gwałtownie.

— Cóż, Dominiczku, znakomicie mnie nakarmiłeś, bardzo ci kotku — dziękuję, — niestety muszę wyjść wcześniej, ponieważ ostatni pociąg mam o jedenastej, — cóż, sądzę — na Boga — że byłeś mile zdziwiony moją niespodziewaną wizytą, — zawdzięczaj ją Rozbickiemu, bo mnie spotkał i zaciągnął tu. — Wiesz, ponieważ przykro jest tłuc się w nocy pociągiem i nie mieć coś przegryźć, to bądź łaskaw wydać polecenie tam, w kuchni, — jakies tam drobiazgi, — kaczuszka była fenomenalna, — piwka również wezmę, bo pragnienie mi już dokuca.

Po kilku minutach pan Ceres pożegnał się z Dominikiem i wyszedł z jego domu, trzymając w lewej ręce napełnioną torbę. W drodze jednak zjadł wszystko i przyszedł do domu jęcząc zcicha.

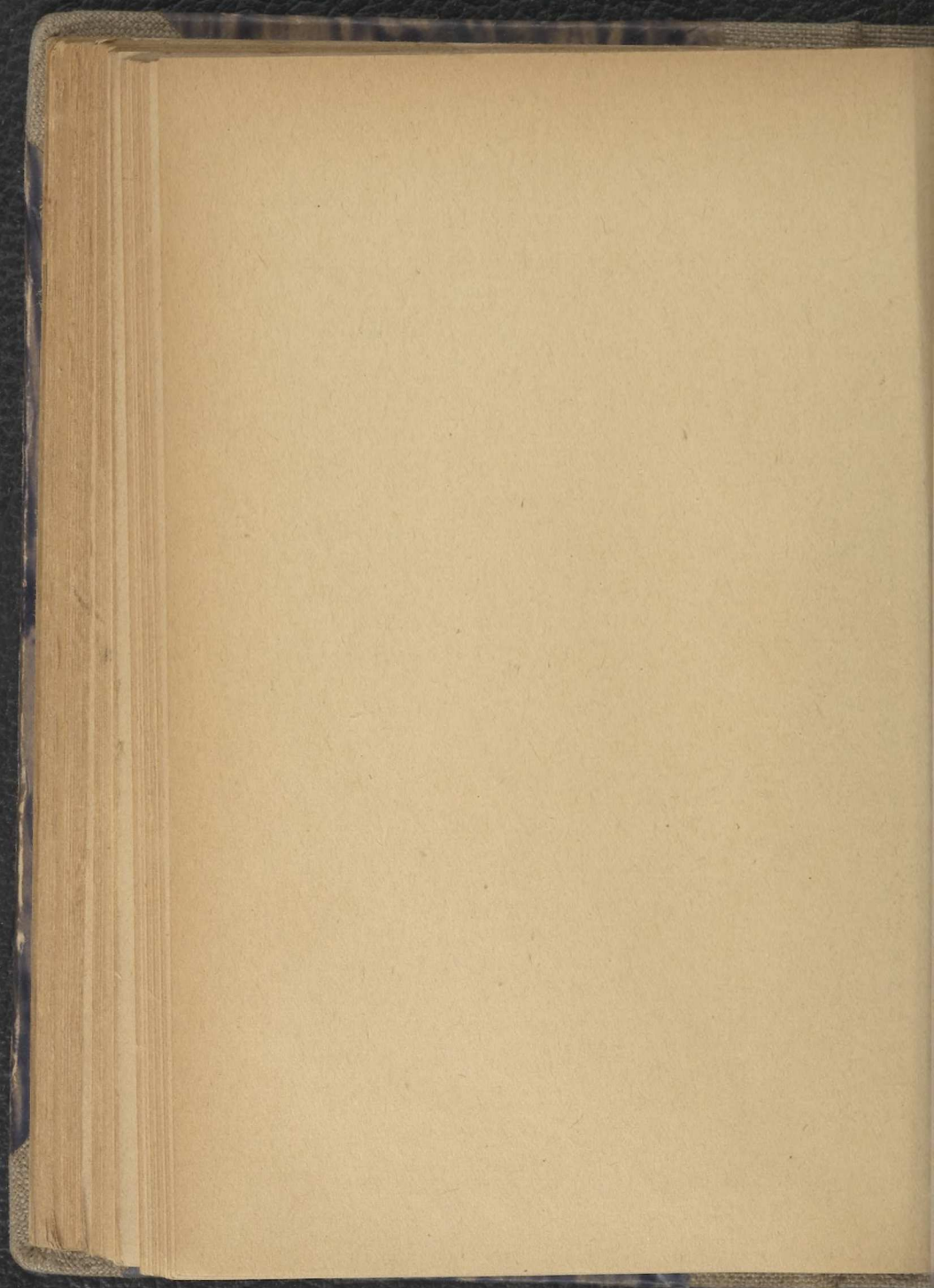
— Uhjoj — Kaciu — na Boga — czyżby mnie żołądek, przyjaciel mój najwierniejszy zawiódł?— Coś mnie ściska w brzuchu — widać kwasy źle działają. Cóż to—na Boga — uhjoj — za sosy były fenomenalne u tego łajdaka Dominika, — uhr — przygotuj mi kawy — Kaciu — to mi dobrze zrobi. — Cóż to za bydlę, ten Dominik, wyobraź sobie, Kaciu, że pstrągi podano po kacze. — Skandal! — Ale sosy,—sosy fenomenalne, — swoją drogą ten Dominik, to kanalja skończona, — dorabia się tak na spekulacjach, — uhjoj — na Boga, — Kaciu — istotnie czuję się niezbyt dobrze, — cóż to

złotko — było dziś na kolację — jeśli wolno wiedzieć, — chciałbym się zorientować.

— Kołduny z kapustą.

— Ohjej — na Boga — moja ulubiona potrawa, — przeszedł mi — złotko — ból żołądka, — odgrzej te kołduny. — Cóż to — na Boga, — nie położę się spać nie syty!

SAMOBÓJCA.



Wreszcie nadszedł ów dzień, w którym Idzi— jak zapewniał swoich przyjaciół — powinien był strzelić sobie w łeb; — dzień 22 sierpnia. Imienniny najdroższego Idziemiu człowieka, Symforjana— tego samego, co to wynalazł aparat przeciw skrzypleniu łózek, — samobójcy zapomocą fraka, wielu tuberoz oraz pewnej subtelnej trucizny.—Rzecz stała się akurat rok temu.

A teraz kolej na Idziego. Chiromantę z praktyką w Indjach.

Ów dzień 22 sierpnia — była to niedziela, — z marszem wojska przy dźwiękach orkiestry miejscowego pułku, z biciem dzwonów i mieszkańcami odświętnie poubieranymi, wracającymi z kościoła, mężczyźni: wysoko zawinięte nogawki spodni, tak, że widać brzeżki cielistych skarpetek, wdzięcznie się odcinających od lśniących lakierków, kobiety: w lewej ręce różne pobożne sprzęty, — prawa podtrzymuje brzeg sukni, ukazując w ten sposób ładne i mniej ładne nogi. Wszystko to, z powodu błota.

Człowiek w oknie — 8.

Idzi stał pośrodku pokoju w pięknych kalesonach — (białe w różowe paseczki) i patrzył marząco przez okno na psy, zabawiające się we właściwy sobie sposób. Idzi późno dzisiaj wstał, późnem ranem — i przed chwilą dopiero opuścił łóżko — można sprawdzić, jest jeszcze ciepłe. Idzi późno dzisiaj wstał, ponieważ wczoraj długo, do północy, a może i dłużej — spacerował z panną Gizią po alei, tej koło cmentarza, — i mówił o przyszłości, oczywiście o przyszłości ich obojga, a nie jej — panny Gizi. Czy Idzi, dlatego że był chiromantą, miał nawet sobie wróżyć? — Nie, tego się nie przypuszcza. — Idzi marzył i sam przypuszczał co to z tego wyjdzie, gdy się ożeni z panną Gizią — asystentką dentysty z ulicy Przydługiej. Z takich to oto przyczyn Idzi późno wstał i czuł się dobrze, tak, psychicznie czuł się dobrze, — raz, z powodu dżdżystej niedzieli, (bardzo lubił Idzi takie smętne niedziele) dwa, z powodu owej wczorajszej rozmowy. Nie będzie się wnikało w to, co tam mówili, w te szczegóły — fakt, — konsekwencje tej rozmowy widzi się na rozjaśnionej, acz zmęczonej snem twarzy Idziego.

W swoim pokoju Idzi wyglądał jako coś białego pośrodku czegoś ciemnego. No, bo stał w białźnie, a pokój był ciemny. Tajemniczy pokój chiromanty. — Tak się przedstawiał: łóżko zasłonięte kotarą, to jest sypialnia, — a cały salon jest niewielki. Okna tylko teraz są odsłonięte, bo tak, przez cały dzień zasłaniają je czarne, w gwiazdy

i księżyc haftowane firanki. Pod ścianą, pomiędzy dwoma oknami, stoi stół nakryty aż do samej ziemi długą, czarną materją, wyszywaną w ręce z rozczapierzonemi palcami, spojrzenia, nietoperze, karty i różne inne tego rodzaju czarodziejskie utensylja. Obok stołu stoją dwa plecione foteliki, pomalowane na czarno. Na ścianie pod sufitem wisi wypchana sowa, a wogóle na ścianach, także na czarno malowanych, wisi wiele niesamowitych obrazków. Cały pokój jest czarny i Idzi, gdy się ubierze, będzie czarny i duszę ma czarną, samobójczą.

A więc Idzi był zadowolony — szczęśliwy prawie: panna Gizia, kobieta zarobkująca, — dżdżyła niedziela, napływ klienteli, większy niż zazwyczaj, naskutek nastrojowej pogody.

Idzi umył pośpiesznie twarz, następnie wycmoczył nogi, i poobcinał u tychże paznokcie — zwykł był to czynić raz na tydzień. Po krótkim czasie stał przed zapstrzonym lustrem, w swoim czarnym, ponurym, wiele dającym do myślenia, garniturze — i czesał, obficie różaną pomadą namaszczone, włosy — na przedział. Gwizdał przytem marsza austriackiego, przytupując sobie nogą.

Po śniadaniu wyjął z szuflady stołu wielki tom encyklopedji, położył go na specjalnej podstawie, usiadł i począł czytać, zapaliwszy uprzednio dwie żółte, w ptaszki pomalowane, gromnice.

W pokoju chiromanty było mroczno jak w kaplicy, i tajemniczo. Z oddali dochodziły uszu

czytającego, kliwie tony „Serenady“ Schuberta, granej na okarynie.

W pewnej chwili, w sieni rozległ się tupot nóg, sapanie i zastukano ostro do drzwi pokoju Idziego.

Wsunęło się coś tak małego, że Idzi zastanowił się, skąd ta kupka ciała w szarem paltociku, była w stanie narobić tyle hałasu, tam w sieni. — Był to komiwojażer z podłużną kępką, miedzianego koloru wąsów pod ślicznym i kształtnym noskiem. Zatrzymał się on tutaj w przejeździe na parę dni i zaofiarowywał sklepom, począwszy od mydlarza, a skończywszy na mączarni, doskonale — jakoby — spreparowane, trwałe prezerwatywy o różnych intrygujących nazwach.

Dzisiaj była właśnie niedziela i chciałby się dowiedzieć coś nie coś o sobie — zwrócił się do Idziego, który stał przed nim w pozie demonicznej, acz pełnej godności.

— Poleciał mi pana, — pan pisarz gminny, który wziął ode mnie trochę towaru. — W młodości, we wczesnej młodości, marzyło mi się, że będę człowiekiem na miarę Casanovy — pan czytał, prawda? — Otóż nie jestem jeszcze tak stary i pragnąłbym się dowiedzieć — a nuż, — żeby pan swoją wiedzą. — Nawet zawód sobie wybrałem miłosny — tylko panie! — kochany i drogi panie! — płacę towarem?!

— Cóż to za towar?

Komiwojażer wspiął się na palcach, do ucha Idziego, i coś tam szeptał, ale ten przy pierwszych słowach począł potrząsać głową.

— Co też pan — panie! — fantazja — nie używam — nie—niee—nieee!!

— Każdy mężczyzna dbający o hig...

— Nie-e! nieee!!

Nagle Idzi poczuł, że mu jest bardzo nudno, pewne niewyraźne przecucie poczęło go dręczyć, odezwał się do komiwojażera:

— No, dobrze! — przestań pan już tak wiele mówić, — zostaw pan, — daj pan rękę!

Idzi począł bezmyślnie przyglądać się linjom małej, trzęsącej się rączki komiwojażera. Miał dźył go takimi oto, monotennie wypowiedanemi słowami:

— Casanova — hmm! — jak to może być taki impotent, jak pan, człowiekiem na miarę Casanovy? — co się panu bzdurzy w tej głowinie? (Idzi dał mu prztyczka w czoło). — Jest pan sobie zwyczajnym małym żydkiem, handlującym morderczymi preparatami, używanemi przez lowelatorów w rodzaju pisarza gminnego. — Z tego, co widzę na pańskiej dłoni, życie pana potrwa zaledwie parę tygodni i radzę panu te ostatnie dni poświęcić skrusze, a nie handlowi, temi, naturę obrażającemi świństwami... Życie pośmiertne, też mi u pana, jakieś, nie tego!

Ale w tej chwili komiwojażer wstał z krzesła i wyszedł z płaczem. Idzi machnął za nim ręką.

Na stole pozostało pięć kolorowych etykiet ze znakami zapytania.

Idzi czuł się teraz bardzo źle, — gryzł ziarna słonecznikowe i palcami lewej ręki bębnił w serce, wyszyte na materji nakrywającej stół. Coś mu dolegało, ale nie wiedział co; podświadomie wyczuwał nader żywy niepokój. I w tej właśnie chwili, postanowił pójść do Ejlepela, właściciela paru karuzel i huśtawek, oraz znakomitego gracza w „Neurastenika“. Szybko zawinął nogawki od spodni, aby uchronić je od błota, — do kieszeni kamizelki wsunął jedną torebkę z gumową zawartością (uśmiechnął się przytem perfidnie), zgasił gromnice i wyszedł, nucąc coś niezrozumiałego.

A u Ejlepela towarzystwo było takie: Irmin Kaszel, socjalista, który napisał jedyny raz w życiu artykuł, drukowany w „Zewie Ojczyzny“, człowiek bardzo błady i wiecznie brązowo się noszący. — Surogat, właściciel składu trumien, pozatem nic ważnego. — Adaś Plus, były masażysta, obecnie zajmujący się hodowlą ogórków, — i, wreszcie Ejlepel, jegomość miły, sprawiający bliźnim wiele przyjemności swemi karuzelami. Piąty wszedł Idzi, i wszyscy odrazu przywitali go spojrzeniami pełnemi zdziwienia, i nawet, zwłaszcza zauważyć to można było w specjalnem skrzywieniu ust Irmina Kaszla, nawet pogardy. Trumniarz, Surogat, zapytał:

— Jakto?! — Żyjesz! — Idzi, bój się Pana Jezusa!!

Ale Idziemu nic już nie trzeba było tłumaczyć, — by gdy tylko wszedł do pokoju, wzrok zaćmiło mu wielkie, czerwone 22 i pod spodem: Symforjana. W głowie nieszczęsnego chiromanty zerwał się taki zamęt, że położył się na dywanie, nie odpowiadając na pytanie Surogata.

— Hmm, — jeszcze ma czas — do dwunastej, powiedział Plus.

— Wypij kieliszek piołunówki i zjedz pół jajeczka z chrzanem, — to ci dobrze zrobi — radził Ejlepel.

— Jak się będziesz strzelał, to tylko w usta — pojmujesz — to pewne — bo skroń i piersi, to błaża, — znamy te rzeczy, — Tylko lufę w usta, to już tam wcelujesz na pewno, i Plus zakręcił piruetą z tartinką w palcach.

Teraz Idzi oprzytomniał już prawie zupełnie i pił piołunówkę za piołunówką. — Przykro było patrzeć na intensywność urzynania się, tego subtelnego chiromanty. Mówił przytem i przerywał sobie tylko polykaniem połówek jaj z chrzanem.

— O, Wisznu! — panie tego z tym Symforjanem! — Pamiętacie rok i dwa dni temu?! — Był to żywiusi, czerwoniuteński człowiek. U tego samego Ejlepela jedliśmy duszone grzybki — pamiętam jakby to dziś było. Symforjan jadł jak zwykle — wytwornie i, — klnę się na Buddę — ktoby to przypuszczał. — Jadł duszone grzybki, a teraz pewnie gnije tam w ziemi i...

— E, gdzie tam gnije — przerwał Surogat — już dawno zgnił, zostały pewnie kości i resztki fraka, — a ten frak — pamiętacie co to było z tym frakiem? — Ileż to razy Symforjan jeździł do Osmętnicy, do miary, a potem, jak się pierwszy raz pokazał w nim u siostry tego suflera, co to lubił często mawiać swym chrapliwym głosem: br... jak zimno, jeśli by się coś wypilo, to możnaby się rozgrzać, — otóż jak się pokazał nasz Symforjan na przyjęciu, nie pamiętam już na jaką intencję wydanem, u siostry tego suflera, Panie nie niszczy mi wzroku!! — wyglądało to, jak jakieś attaché,— baby! — szalały, — ale on, zauważyłem, — niebardzo za kobietami — pamiętam...

— Za subtelnym był na to — powiedział Idzi cicho i marząco.

— Tak, tak, — ryknął Plus, pożerając sardynkę — wszyscy będziemy gnili, jak te moje ogórki w zeszłym roku, — a ty, Idzi, jak dobrze pójdzie — rozpoczniesz tę czynność już za trzy, cztery dni.— Tak, tak, — chiromancja nie pomoże — trachniesz sobie w gębę aż miło, — połkniesz ołowianą pigułkę.

Wszyscy mieli zadowolone twarze, a Surogat poradził uprzejmie Idziemu:

— Słyszałem, że gdzieś istnieje towarzystwo, mające na celu skupowanie szkieletów u ludzi żywych, aby po śmierci zabrać je sobie na własność. — Podobno dobrze płacą — czyby pan może?

— Nie mam już czasu.

Poczęto pić i żegnać się z przyjacielem; całowano go i pocieszano. — Surogat zaczął mówić o życiu pozagrobowym i dał mu dziesięć procent rabatu na trumnie. Ejlepel z Kaszlem grali w „Oko“, a Plus w dalszym ciągu jadł.

Kiedy Idzi pisał testament, odezwała się żona Ejlepela, która przez cały czas siedziała w kącie pokoju i czytała sprośnego Aretina.

— Czy koniecznie musi się pan zastrzelić? — Nie lepiej to żyć?!

Idzi miał minę bardzo zafrasowaną.

Ejlepelowa podeszła do Idziego i delikatnie usiadła mu na kolanach.

— Właściwie dlaczego ma pan zamiar popełnić samobójstwo?

— Bo ja wiem, moja pani!

A po paru godzinach:

— Wiecie, panowie — rozmyśliłem się, — Symforjan — prawdę mówiąc — nie jest wart krwi mojej i — wiecie — życia mego. Przecież przez niego o mało, o mało nie popełniłem samobójstwa, a tak ożenię się z Gizią. — Tak, ten Symforjan, to drań.

I długo jeszcze Idzi opowiadał przyjaciołom o perfidnych sztuczках Symforjana.

Pointe'a

HAPPY END.

Na drugi dzień, w słoneczne popołudnie, Idzi, wychodząc ze sklepu, gdzie kupował szelki, zobaczył po przeciwległej stronie ulicy pannę Gizię z wiszącym u jej lewego ramienia komiwojażerem. — Dogał ich z błędnem spojrzeniem i popatrzył w jasne, przezyste źrenice Gizi — wyrażały nieubłaganą prawdę.

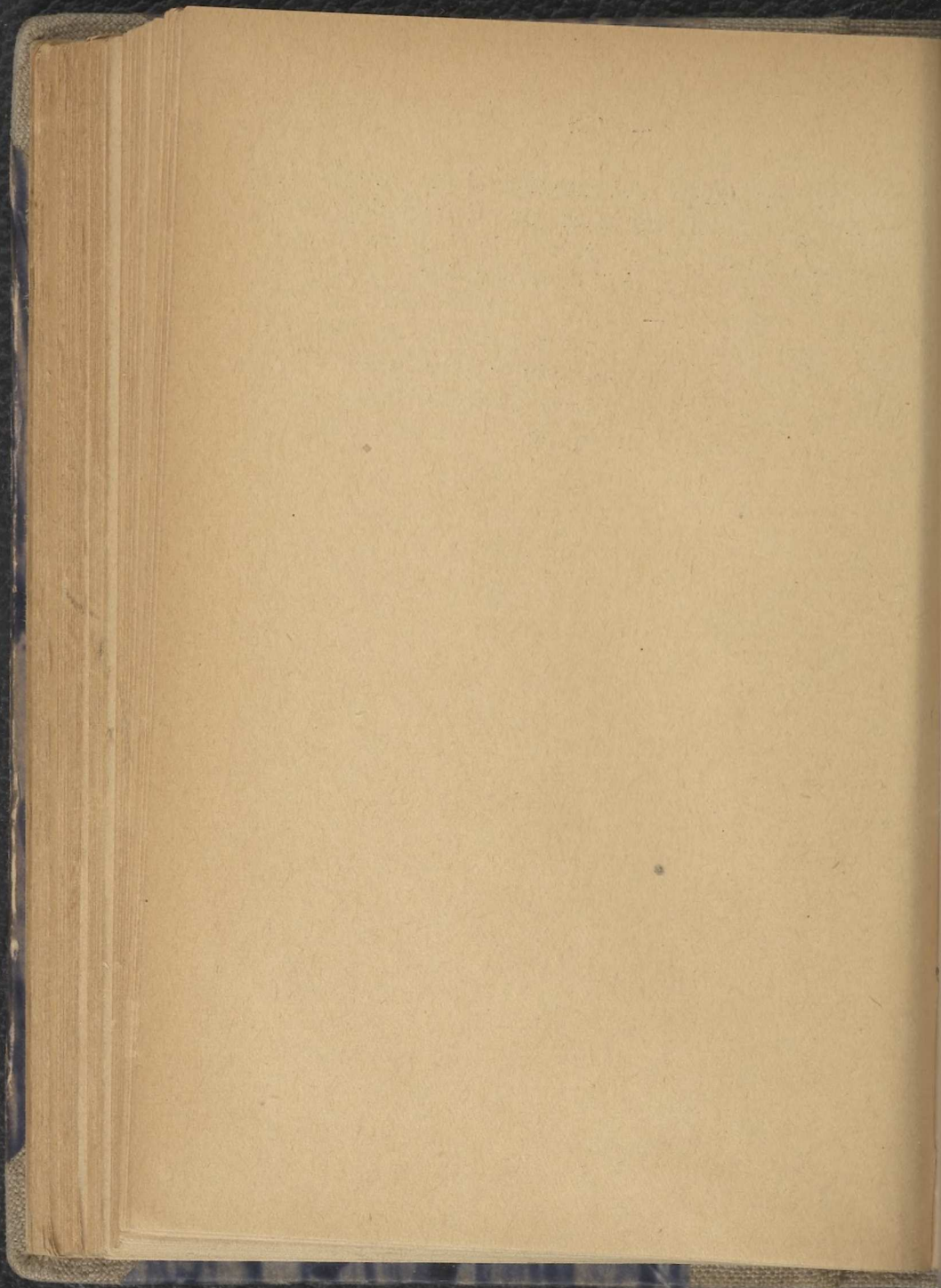
— No cóż?! — podoba mi się ten mały. Gizia ogarnęła czułym wzrokiem komiwojażera.

— To tak?!?!?!?!

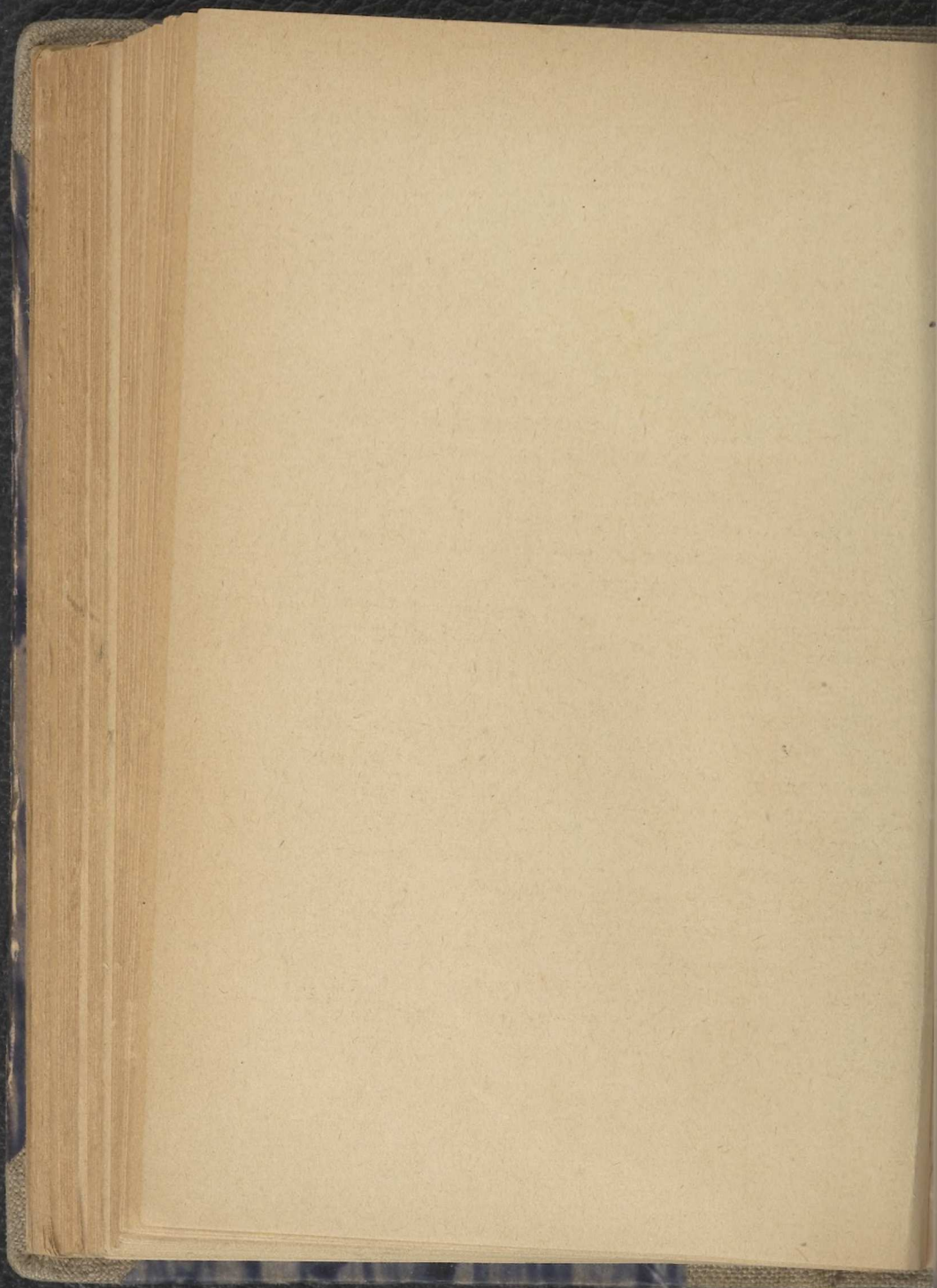
Komiwojażer chciał uciekać, lecz przytrzymało go energiczne ramię panny Gizi. Zdjęła mu kapelusz i poczęła głaskać po główce.

— Niech mi go pan nie straszy temi wściekłościami oczyma — on taki mały i wygląda teraz jak zraniony jelonek. Pan jest dla mnie za bardzo konspiracyjny, panie Idzi. — Nie podobają mi się te pańskie wieczorne rozmowy na migi z gwiazdami. Mam wrażenie, że będę szczęśliwa z Mondelkiem. Życzę panu wiele szczęścia — mimo, że mi pan wróżył wyjście zamąż, za referenta Papiera, pamięta pan? — Jeszcze w pierwszych dniach naszej znajomości, zanim mi się sam pan nie oświadczył — cały czas myślałam o Papierze, ale teraz wychodzę za Mondelka. — Mondelek, chodź! — i Gizia zniknęła za zakrętem ulicy, ciągnąc za rękę wystraszonego komiwojażera.

Wieczorem po alei cmentarnej przesuwaly się cicho, — słodko szepczące pary i pachniały pieczarki. Na murawie leżało ciało Gizi, po którym sycząc z rozkoszy, laził komiwojażer. A tam, u siebie, w pokoju — bujały się zwłoki Idziego, zawieszona za szyję, u sznura przymocowanego do haka w suficie. Zwłoki były w kalesonach, a kalesony były białe w różowe paseczki, te same, co w dniu imienin Symforjana.



OPIUM.



Wieloma ścieżkami można było zejść do owego miasta, położonego tam wdole. Często zgryźliwi starcy z góry, kierowali końce swych lasek w stronę czerwonych dachów i śpiczastych wieżyczek i mawiali: tylko ku upadkowi można dojść tak wygodnie i tak wieloma drogami.

A miasto było radosne i grzeszni i weseli mieszkali w nim ludzie; okna w zielonych domach były zawsze naościęz otwarte, a ulice w dzień były pełne gołębi, słońca i muszek, — w nocy zaś seledynu księżycy. Trudno byłoby spotkać tam człowieka o zamkniętych ustach, bowiem wszyscy ciągle się śmieli, ukazując swe piękne, białe zęby; — nie spotkalibyście tam również kobiet i starców, bowiem wesołość łączy się zazwyczaj z rozumem. Tak więc miasto owe zamieszkiwali tylko młodzieńcy o rozswawolonych wargach i wąskich biodrach, przepasanych materją, koloru dłoni błękitnookich Fenicjanek, — młodzieńcy, którzy pili ponsowy Cyll, tańczyli, myśleli leżąc i brzydzili się pracą.

Tego ranka odwiedził Bazyll poetę Pireley'a i powiedział szeptem, układając swe mokre jeszcze po kąpieli, brązowe ciało na posłaniu z konwalji i poczwórnych narcyzów.

— Słuchałem wczoraj słowika u Mileda, tego żyda, który przybył do nas z Konhilji; — śpiewali razem: słowik i on. Od pewnego czasu nie mogę usnąć nie słysząc śpiewu tych dwóch. — Obudziło mnie, — wiesz co? — słońce! — hahaha!

Pireley odwrócił głowę w stronę Bazylla i powiedział wolno, nie otwierając powiek:

— Ty się śmiejesz, a tu starcy z góry znowuż nas niepokoją. Przysłali wczoraj trzech teologów z żądaniem, abyśmy zaprzestali śpiewać nocami. — To straszne! — Czyż można śpiewać w dzień, kiedy upał pozwala tylko na westchnienia, — prześtań się już śmiać wreszcie — jakże będziemy żyć bez śpiewu?

— Oh... haha — śmiałbym się jeszcze dłużej, gdyby nie było tak gorąco. — Jakiś ty głupi, przestraszyłeś się trzech teologów. Starcy muszą ich przysyłać co pewien czas, — dla pozorów. — Czyż nie wiesz, że codziennie, gdy słońce zajdzie i kosmaty mrok przyczai się w naszej dolinie, starcy wyzbywszy się swych czarnych tużurków, sztywnych kapeluszy, ciężkich drewnianych sandałów i krzywych kosturów, schodzą do naszego miasta, aby pić razem z nami Cyll i patrzeć na nasze zdrowe, jędrne ciała, na sprężyste nogi i śpiewać razem z nami, starczemi, zwiotczaleni głosami, na-

sze piękne, melodyjne piosenki. — Czy to tak rzadko się zdarza, że kilku z nas musi o świcie wynosić na górę ich wymęczone śpiewem, osłabione Cylllem, ciała. Ty jesteś poetą i żyjesz zdala od nas, nie wiesz więc o niczem. Dlatego to do ciebie przysyłają starcy zazwyczaj swoich posłów, będąc pewni, że ich nie zdradzisz. — Posłuchaj teraz co ci powiem: dzisiaj wieczorem zacznie się noc u muzyka Tonpili'ego, przyjdę po ciebie wieczorem i zaprowadzę cię tam, — ułożymy się pod drzewem jarzębiny i zobaczysz wszystko. — A teraz idę karmić gołębie, — zatem do wieczora.

* * *

Musieli schodzić ostrożnie, ponieważ było już ciemno, a błyszczące robaczki słabe dawały oświetlenie. Szałas poety Pireley'a mieści się na szczycie starego buku i ostre sęki mogły poranić im uda. Po krótkim czasie byli u celu. Na wielkiej polanie było już jasno, ponieważ księżyc przed chwilą ogarnął ją swojemi promieniami; — kilkudziesięciu młodzieńców leżało na środku polany i stroiło instrumenty. Na małych, drewnianych kozłach ustawione były wydrążone pnie drzew, w których mienił się w poświacie księżyca, słodki, ponsowy Cyll. Muzyk Tonpili stał nieopodal zamyślony, oparłszy ramię o wielką złotą harfę. Wszyscy czekali na starców. Bazyll i Pireley leżeli obok siebie, gryząc żdźbła trawy. Wkrótce jednak wyłoniły się z krzaków dwie małe, zgarbione postacie;

byli to starcy; — dyszeli ciężko i uśmiechali się głupawo, zerkając dokoła. W chwilę potem zaczęło się ukazywać coraz więcej małych, zdyszanych figurek, które usadawiały się koło pni z Cyblem, patrząc pożądliwie na drewniane kubłaczki. Gdy zabrzmiały pierwsze trele słowika, Tonpili uniół rękę do góry: — młodzieńcy z instrumentami przestali je śpiewać i chwilę trwała cisza. — Wśląd za pierwszym słowikiem ozwały się kolejno, dwa z pobliskich gałęzi. Wkrótce potem kilkanaście gardziołków poczęło wydawać przeczyste tony. Natenczas Tonpili opuścił rękę i po polanie rozsypała się kaskada dźwięków. Słuchacze: młodzieńcy i starcy, poczęli pić Cyll. W pewnej chwili instrumenty ucichły i Tonpili zaczął grać na harfie; — słowiki wprost krzyczały jak oszalałe, głosy ich zlały się z instrumentami i rozkoszny gwar łączył się z odurzającym smakiem ponsowego Cyllu. Zaczęła się orgja: — po polanie turlały się ciała pijanych staruszków, starających się uchwycić trzeźwiejszych nieco młodzików za nogi. Nieco później wszyscy chodzili na czworakach. Perłowy świt i chłód poranka zakończył biesiadę. Rozeszli się wszyscy.

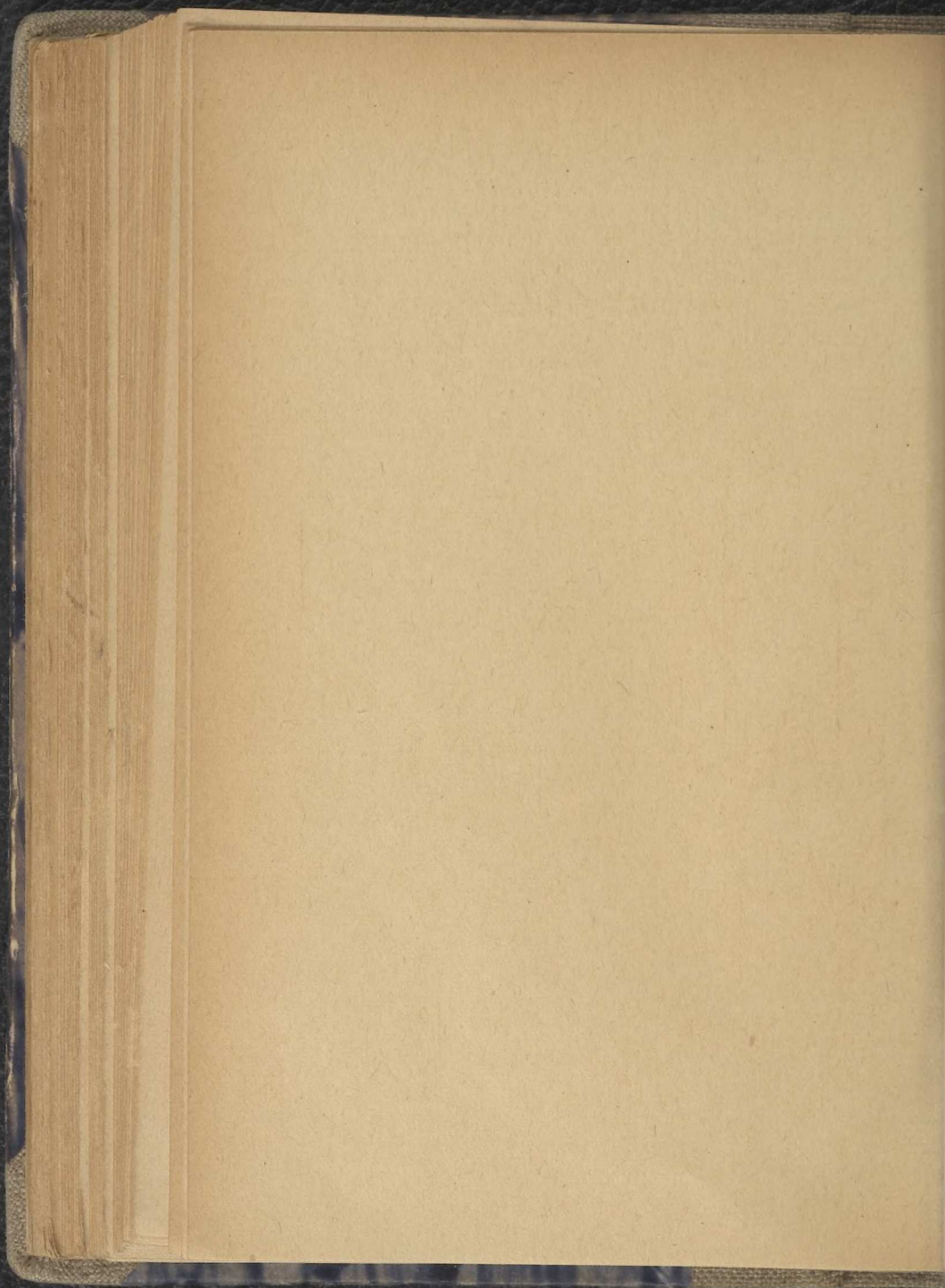
* * *

Po kilkunastu zachodach słońca trzech teologów wracało z inspekcji od sentymentalnego poety Pireley'a. Gdy już byli na górze, spotkali czterech starców, którzy stali patrząc wdół i trzyma-

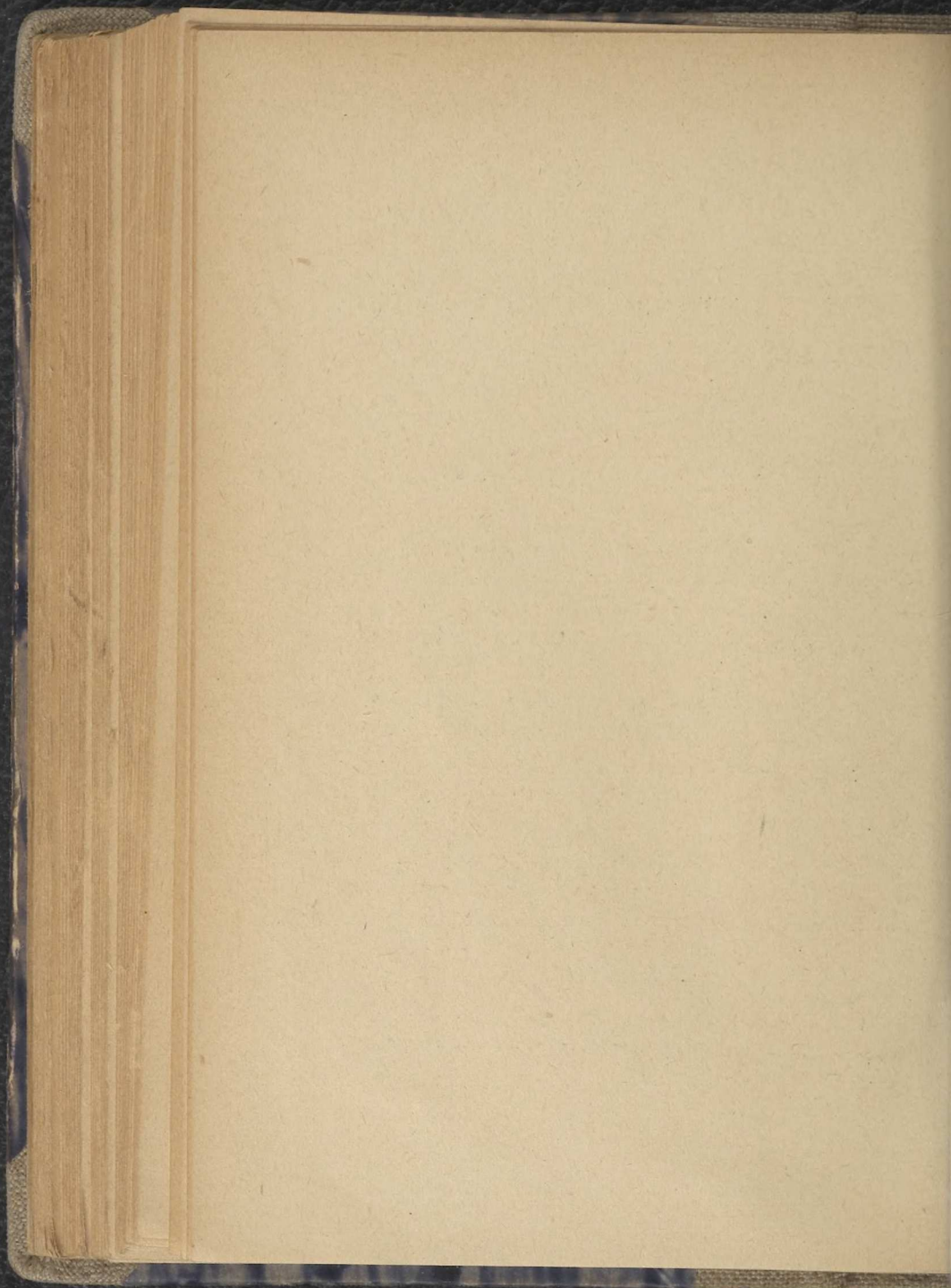
ąc kostury w trzęsących się rękach, wskazywali na niasto. Jeden z nich mówił głosem, jak zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku: — he... to... to... łajdaki, he... leniuchy... pijaki i nieroby skończone, ...rozpustniki... to... to... he... my... my was... panie święty... zlikwi... dujemy.

* * *

I zlikwidowali.



OPOWIADANIE ANTYSEMICKIE.



Z za węgła domu narożnego smużył się cień opryszka. Pokraczne domy kładły swe bezkształtne cienie na trotuary, seledynem księżycą i światłem lamp gazowych zalane. Wdół biegnąca jezdnia szerokiej ulicy spływała sinem korytem w tej poświacie. Od rzeki sunął chłód i ocierał się o posępną nagość czarnych latarń. Pustkę nocnej godziny przerywał co pewien czas pewien żałośnie nieudolny krok alkoholika. Na granatowym stropie świeciły gwiazdy, w swej tłocznej swobodzie. Kosmiczna cisza opadła na nędzną dzielnicę.

Na górnym wylocie ulicy ukazał się ksiądz. Środkiem jezdni schodził wdół. Jedwabne kokardy niby skrzydełka motyle poruszały się u pantofli jego dostojności. Nad podziwu godną i posłannictwem bożem napiętnowaną twarzą, unosiły się inne skrzydła — czarny kapelusz o szerokim owalu ronda. Lewa ręka kapłana pieściwie tuliła do piersi księgę, w czerwony safjan oprawioną. Szedł więc w poszumie szlachetnego sukna sutanny i gwiżdżał niefrasobliwie.

Zbliżał się do narożnego domu, za którego węglem stał przyczajony, drżący od chłodu, brodaty Żyd. Umączony chałat zwisał z wątych barków jego, a czarna jarmułka rzucała cień na bezbrzeżnie smutne oczy. Prawa ręka, wetknięta za pazuchę, ścisnęła coś kurczowo. Starzec na odgłos kroków księdza skurczył się w sobie, pochylił, jak do skoku.

I ostrze dużego noża kuchennego, lśniąca, świszcząca smugą wpłynęło w plecy kapłana. Tam wewnątrz, piękne, purpurowe serce nadziało się na szpic, sinemi centkami od cytryny, poplamiony. Ksiądz upadł, a zbrodniczy starzec ukląkł i począł przetrząsać kieszenie sutanny. W rękach Żyda gorzko zaszemrał cenny różaniec i razem z porbrękiem monet opadł na dno specjalnego parcia-nego woreczka. Dokonawszy rabunku, bandyta zwinnie wskoczył na kościstą szkapę, która ruszyła z kopyta. Rozwiane od pędu poły umączzonego chałata płynęły w powietrzu niby skrzydła demona występku. W ciemnościach zaułków zniknęła postać nędznika i ucichł tętent kopyt jego wierzchowca. A na tronie, nieruchomo tkwiącego w księżem ciele noża, usiadł błyszczący owad nocny i w radosnem zamyśleniu, zapatrzył się w wyiskrzzone niebiosa.

* * *

W izbie przepełnionej rodziną opryszka, paliła się mała lampka naftowa. Posklejane żółtym

papierem szyby matowiały w bladej siności świtu. Na pulchnej od brudu podłodze, pełzały — niby wstrętne kraby — dzieci starca. Przy stole, obok lampki, siedziała niemłoda, lecz piękna Żydówka w peruce i układała pasjanse. W samym rogu izby, przykuty masywnym łańcuchem do ściany, leżał olbrzymi tygrys bengalski. Okrutna bestja łakomie spozierała na czołgające się nieopodal dzieci, u których brak nóg lub rąk, wyraźnie wskazywał na krwiożerczość zwierza. Nieopodal w balji, do połowy napelnionej wodą, moczyła się para płaczących niemowląt chrześcijańskich, oraz pluskał się wielki, półżywy szczupak; wszystko to przeznaczone było na szabes.

Zaterkotał elektryczny dzwonek i Żydówka podeszła do drzwi, aby otworzyć kochankowi. Wszedł morderca księdza i ucałował jej odkryte piersi. Rzucił na ziemię parciany worek, pogładził pulchne ramionka niemowląt i usiadł przy stole.

— Czy on bardzo ryczał? — zapytał po chwili milczenia.

— Ryczeć nie ryczał, ale niedawno pożarł Menasze — odparła niewiasta.

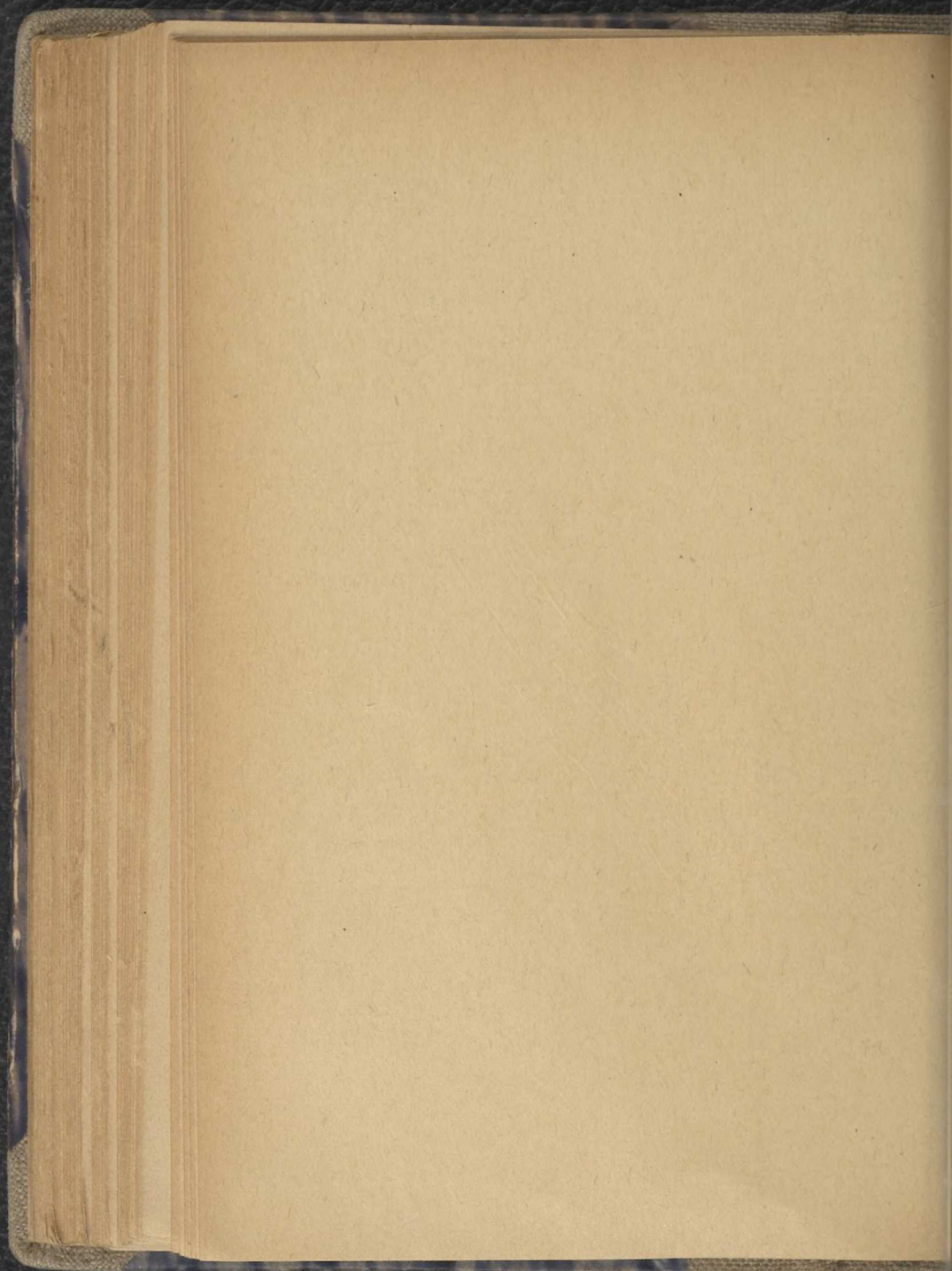
— Oby mu zęby wygniły, a ciało sparszywiało! Oby oślepl i długo zdychał w dole kloacznym! Nie-dość, że ciężko pracuję i narażam się, aby zarobić na jego utrzymanie, to on mnie jeszcze najmilsze dzieci zjada. Tygrys na utrzymaniu biednej rodziny żydowskiej... jakże nas Bóg pokarał!

Akurat słońce wystrzeliło miliardem promieni i w izbie pojaśniało. Stary Żyd rozebrał się donaga i rzekł do kochanki:

— Podaj mi mój kostjum kąpielowy i sama przebierz się w drugi, pójdziemy na piasek, nad rzekę.

Na gołe ciało włożyli jantzenowskie, wełniane kostjumy i ominąwszy tygrysa, wymknęli się tylnymi drzwiami na drewnianą kładkę, która prowadziła ku plaży. Kilkakrotnie przepłynąwszy szerokość rzeki, ułożyli się wreszcie na piaszczystym wybrzeżu i, słodko zmęczeni posnęli.

O MIŁOŚCI



Okutany w samotność i ciszę, siedzę na brzegu łóżka mojego współlokatora i wroga śmiertelnego. Zegar tika na pobliskiej ścianie, a ja czytam „Pałubę“ i jem pomidory. Do szczęścia brakuje mi tylko zrozumienia tego co czytam oraz soli do pomidorów.

Ale ponury realizm życia przerywa mi tę błogosławioną robotę; — bo nagle czuję w pokoju zapach vegetal'u i czyjąś obecność. Unoszę do góry brzemioną w metafizykę głowę i wzrok mój napotyka globalną postać przyjaciela mego Florena Podmucha. — Cmentarny ma wygląd; — niby to elegancki, — bo i spodnie — jak nigdy — wyprasowane ma akuratnie, i marynarka zapięta na oba guziki, w monstrualnej wielkości łapie trzyma nawet wiotki narcyz. — Ale to wszystko dodaje mu jeno niesamowitości. Stoi jak słup, przycisnąwszy brodą, wcale ładny — jak się później okazało — krawat i drażni wzrok mój precyzyjnym, pedantycznie spreparowanym przedziałem na gło-

wie, — rozdzielającym włosy na dwa lśniące, czarne platy; — tam się mieści vegetal.

— Co to — pytam, przeczytałeś Schopenhauer'a, czy masz ciasne obuwie, — spoglądam przytem na to obuwie, — aha — dodaję zjadliwie — Bata, hehe, — a nasi szewcy wieszają się po kątach izby, ty, — ę — hm, — snobie.

Uwalnia krawat od ciężaru brody i ukazuje swoją twarz, — przyjrzyjmy jej się, zanim pocznie poruszać ustami i mówić.

Nie będę blagował: — przyjaciel mój był kiedyś Eskimosem i nazywał się Pipak. — Na maleńkim kajaku podpłynął do pływalni Kozłowskiego na Wiśle, wdarł się podstępnie do cudzej kabiny, zabrał ubranie cywilne, zostawiając futra, zjadł znajdujące się tam mydło, zmienił nazwisko, nauczył się mówić po polsku, stał się moim przyjacielem i stoi teraz zatroskany przede mną. A racja! jeszcze twarz. Okrągła, różowa z nosem. Ohydny, wstrętny megaloman i wielbiciel patefonów.

— Zakochałem się — powiada — i cierpię jak foka na Saharze. Nie zapomniał, jak widzimy, przeszłości.

— Phiu! — gwizdnąłem jak łobuz skończony — a to ci traf!

— Cierpię okropnie, — bez wzajemności... poradz coś — oj.

Zacząłem indagować:

— Boli cię powyżej żołądka?

— Aha.

— I w piersiach coś zatyka?

— Ahaaha!

— I uda drzą, i spać nie możesz?

— Ahaha, tak, tak... ojoj!

— I ludzi unikasz?

— Oj, tak, tak — rzeczywiście, — chętnie przesiaduję na strychu.

— Czy napisałeś już wiersz? — nie, — no to napiszesz w dniach najbliższych. — 'Tek, — mruknąłem zamysłony — wszystko normalnie.

— Ohaj! — jakże jestem nieszczęśliwy, — rzekł mój przyjaciel i usiadł w roztargnieniu na mały stołeczek, miażdżąc go — co mówię — wciskając momentalnie w podłogę.

— A apetyt, jak tam? — zapytałem, myśląc w duchu o bezsensowności tego pytania.

— Co! — prawie żaden — rzekł, siadając na żelaznym kufrze — jadam tylko cztery razy dziennie i to, haj — szkoda mówić o tem — obiad normalny, tak jak wszyscy, jakieś tam dwa kotleciki, ot, widzisz, nieszczęście.

Przyjaciel mój zaczął płakać, — schowałem przezornie nocne pantofle do szafy i sam przeniosłem się na kanapę, — niema żartów, pomyślałem, gotów mi zatopić różne sprzęty znajdujące się na podłodze, poczem zacząłem obmyślać środki zaradcze. Po upływie kilku minut powiedziałem:

— Musisz się z tego wyleczyć, inaczej zwarujesz, albo zagłodzisz się na śmierć. — Przedewszystkiem musisz móc z nią mówić, ponieważ teraz pleciesz jej pewnie różne sentymentalne bzdury. Tedy więc słuchaj co masz robić: wynajdziesz jakiś zaciszny kącik, umaisz go i zwabiwszy tam przyczynę łez, które w tej chwili ronisz, dasz jej istotne dowody swojej miłości. Niech cię Bóg broni, żebyś teraz miał spacerować z nią przy księżycu i dawać jej kwiaty. — Wszystko to będziesz robił potem. W przeciwnym razie umrzesz i gorzko później wyrzucać będziesz sobie swoją lekko-myślność. A teraz idź już i pozwól mi wrócić do rzeczy wyższych, — to mówiąc spojrziałem czule na tom „Pałuby“.

Przyjaciel mój podbiegł do mnie z okrzykami radości, chciał mnie zdaje się uścisnąć, — ale ja żywo wskoczyłem na piec i w ten sposób uniknąłem zgniecenia klatki piersiowej. Z pieca pożegnałem go serdecznie i gdy wyszedł, zacząłem robić to, co na początku niniejszego opowiadania.

* * *

Minęło parę miesięcy; liście już opuściły drzewa i połączyły się z ziemią. Osłabłe promienie słońca, nie były już w stanie opalić policzków śmiejących się kobiet, — a ja, osiwiwały już trochę na skroniach, kończyłem czytać „Pałubę“. Pewnego niedzielnego ranka zjawił się mój przyjaciel.

Miał minę nieco zdziwioną i począł mówić z oburzeniem:

— Nie spodziewałem się, że z ciebie będzie taki drań. — Wyleczyłem się wprawdzie z miłości, ale za parę dni będę miał sprawę w sądzie i do dnia wczorajszego byłem pod obserwacją psychiatry. Historia tego wszystkiego jest krótka: — gdyś mi wtedy poradził — przekłeta niech będzie ta godzina — żeby dać jej „istotne dowody“ mej miłości, przypomniałem sobie, że w naszej rodzinnej wiosce Soskisoski był zwyczaj okazywania swej miłości zapomocą dawania pannie różnych przysmaków. Tak więc poszedłem w nocy do ogrodu zoologicznego, porwałem fokę, wydobyłem z niej serce i wątrobę, wykrajałem parę ładnych kawałków tłuszczu, kupiłem przytem parę świec i trochę pachnącego mydła i zaprosiłem pannę do zacisznego pokoiku, umaiwszy go poprzednio. Rzeczywiście przyszła bardzo chętnie, — wówczas ja wydobyłem swoje przysmaki i zacząłem ją częstować z uśmiechem szczęścia.

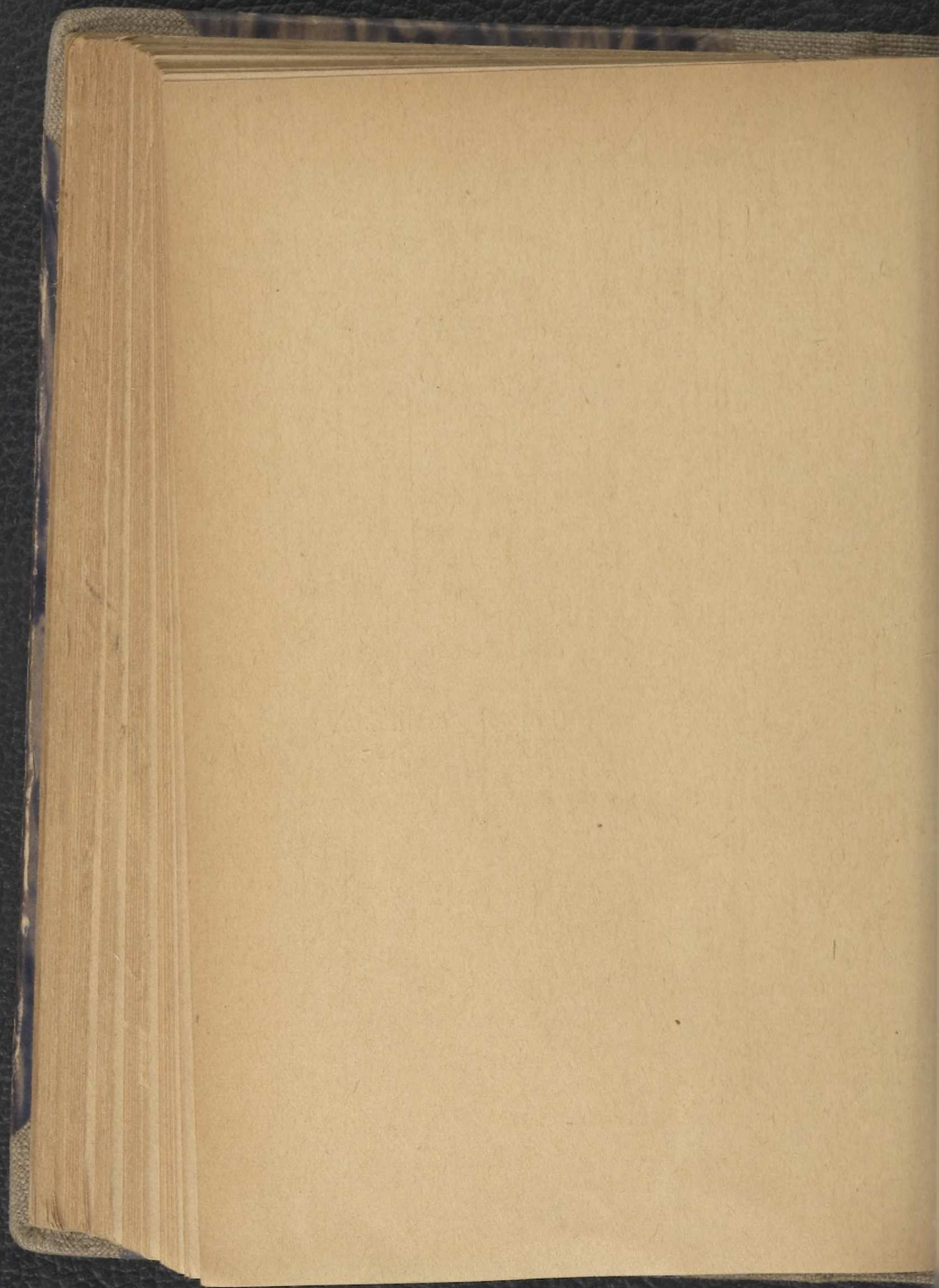
Ale ta głupia zaczęła krzyczeć i chciała czmychnąć. Drzwi jednak były zamknięte na klucz, dziwiła mnie trochę jej chęć do ucieczki, bo przecież widziała jak je zamykałem. Rozgniewał mnie jej upór, dość miałem tego wszystkiego, zacząłem jej pchać w usta wątrobę, a potem tłuszcz i serce foki. Ktoś wywalił drzwi, zabrano nas oboje do szpita-

la, każde na inny oddział. Dziwna kobieta, — zła była twoja rada, mój przyjacielu.

W kilka dni potem odbyła się rozprawa sądowa. Mego przyjaciela odesłano do jego rodzinnej wioski Soskisoski.

DWAJ POECI

Juljanowi Tuwimowi.



Poeta Karaif ułożył ciało swe na szerokim tapczanie i oparłszy głowę swoją o dwa śpiące, sjamskie koty, — zawołał donośnie na sługi; gdy się zjawili dwaj różowoocy albinosi, Karaif odezwał się do nich: — Słońce dzisiaj przesadziło w swem miłowaniu ziemi i upał jest niebывały; przeto — mimo, że brałem kąpiel przed chwilą, przynieście mi misę, zimną wodą do połowy napełnioną, abym mógł w niej — leżąc — nogi mieć zanurzone. Następnie przywołajcie pisarza mego, Pimone; niechaj zabierze ze sobą sprzęt zawodu swego. No, ruszajcie się żwawo! — a misa niech będzie — ta, wiecie — w sceny lesbijskie malowana. Słudzy odeszli, a Karaif, poruszając rękoma ogony śpiących kotów, zrzucił z nóg sandały seledynowe, przymrużył oczy i począł w myśli układać rymy.

Z ogrodu, wraz z tchnieniem łagodnego wietrzyka, dobiegały uszu Karaifa brzęczenia pszczoł, świegot ptaków, pobzyk muszek maleńkich i poszum drzew wysokich. Mimo wietrzyka, upał był istotnie nieznośny i co chwila gorące fale powietrza

przenikały ciało poety. Karaif jednak zbyt długo był zajęty tworzeniem nowego wiersza i nie zwracał na to uwagi. Po pewnym czasie przyszedł pisarz Pimona z przyrządami do pisania i usiadłszy nieopodal, czekał na słowa poety. Za Pimoną, słudzy przynieśli wielką, polerowaną misę i ustawivszy ją obok tapczana, zanurzyli w wodzie nogi pana i odeszli cicho.

Karaif począł dyktować: — Suńbo, gdy się obudzisz, ujrzysz spojrzenie me gorące, utkwione w ust twoich korale, — czekaj Pimonie — nie, tak będzie źle, — korale — zbyt to banalnie brzmi, ten partacz Tespis, może sobie pozwolić na to; użyjemy tu lepiej określenia — mgły różowe, — tak będzie lepiej: Suńbo, gdy się obudzisz — ujrzysz spojrzenie me gorące, utkwione w ust twoich mgły różowe. — Ach, czekaj, czekaj — to też zła metafora, — ust kobiety do mgły nie można przyrównać, — pamięć o nich — jeżeli się je kochało — jest zbyt trwała, — pozwól chwilę — ja to jakoś inaczej obmyślę.

W tej chwili do Karaifa podszedł odźwierny murzyn olbrzymiego wzrostu i powiedział chrapliwym głosem:

— Panie, poeta Tespis pragnie mówić z wami, — czy mam go wpuścić?

Karaif poruszył się niecierpliwie i zbudzone koty wyskoczyły z pod jego głowy. — Ach, jaka szkoda, że nie umiem kłamać, — chętnie powie-

działbym, że mnie niema w domu, — gorzej trafić nie mógł? — prawda Pimonie? — Jestem pełen natchnienia, — ale trudno, prosz go, lecz, — na łaskę mego protektora — nie nazywaj go poetą, — jego wiersze są, jak woda, w której w tej chwili nogi mam zanurzone, — prosz go więc — tego tam — Tespisa.

Tespis wszedł krokiem spokojnym i dumnie, lecz uprzejmie skłonił się Karaifowi. Sandały jego zakurzone były, a płaszcz poplamiony w miejscach wielu. Był to człowiek ubogi.

— Witaj szczęśliwy synu muz — powiedział Karaif. — Hej, czyż wczoraj spodziewałem się, że w dniu dzisiejszym powitam gościa, tak duszy mej bliskiego. — Siadaj wielki Tespisie obok mnie, na tapczanie i rozsyp perły wymowy swojej, a może ja się czegoś nauczę. — Ty zaś, Pimonie. — zostaw nas samych i poleć pacholom, aby przynieśli wino i brzoskwinie, oraz tkaninę miękką, dla wytarcia nóg moich. — Mów więc, Tespisie boski, bowiem przez gadulstwo wrodzone nie pozwoliłem Ci dojść do słowa.

Tespis usiadł skromnie na brzegu tapczana i patrząc na swe, zdarte nieco, sandały, — począł mówić:

— Przesyłam ci — Karaifie, swe poetyckie pozdrowienie, lecz, — nie jest ono głównym powodem mej wizyty, pragnę...

— Oh, pozwól, że ci przerwę; — słowa Twoje,

wielki Tespisie, zapładniają myśl moją i dlatego ci przerywam, pchany żądzą wymowy. — Czuję, drogi Tespisie, że zadowolisz dzisiaj ambicję moją, żądając czegoś ode mnie; rady jakiejś, lub też, — duma rozsadza mi pierś — sonet mi pragniesz dedykować swój?

— Nie, Karaifie, — niestety, rady twej nie potrzebuję, a i sonetu dedykować ci nie mogę, bo ani jeden z tych niewielu nie jest godny twego imienia. — Wiesz, że jestem ubogi?

— Tespisie! — co mówisz?! — Wychył tę czarę i zjedz brzoskwinię, a potem zastanów się nad tem, coś powiedział. Ty i ubogi! — haha, — nie lubię się zaklinać, lecz zaklnę się na Twą wielkość, że pragnąłbym posiadać jedną setną część bogactw twej duszy i talentu twego. — Jakżeż ja się mam nazwać, skoro ty siebie nazywasz ubogim?

— Nie zrozumiałeś mnie Karaifie, lub też nie pozwoliłeś dokończyć zdania. — Potrzeba mi pieniędzy.

— Ha, a ja sądziłem, że masz na myśli swoje ubóstwo duchowe — odparł Karaif zamyślony. Dlatego się tak zdziwiłem, — cóż, pieniądze — głupstwo, — wiesz, że ja rzadko myślę o pieniądzach. W tej chwili przypomniałeś mi właśnie...

— Potrzebuję pięćdziesięciu kampilów bitych, — czy możesz mi je pożyczyć — Karaifie?

— No właśnie, przerwałeś mi; — chciałem ci powiedzieć, że przypomniałeś mi o moich długach.

Nie lubię mówić o pieniądzach, to męczy mnie; — myślałem, że przyszedłeś do mnie na pogawędkę duchową, a ty o pieniądzach — to brzydko — Tesisie.

— Czy jednak będziesz mógł pożyczyć mi te pięćdziesiąt kampilów?

— Ach, skądże, — nie lubię pożyczać ludziom, którzy są mile sercu memu widziani, a zresztą nie mam ich.

— Nie masz pięćdziesięciu kampilów — Karaifie?

— Cóż to mówisz z takim powątpiewaniem w głosie? — rzeczywiście nie mam.

— Nie wierzę, abyś nie posiadał tak drobnej sumy, — jesteś tak bogaty! — nie chcesz mi pożyczyć poprostu!

— Hej! — ośmielasz się obrażać mnie, — nędzny wierszokleto! — nadużyłeś praw gościnności, — opuść dom mój natychmiast!!!

— Opuść go w towarzystwie pogardy dla ciebie — fałszywy wytwornisiu — to mówiąc, Tesis zabierał się do odejścia.

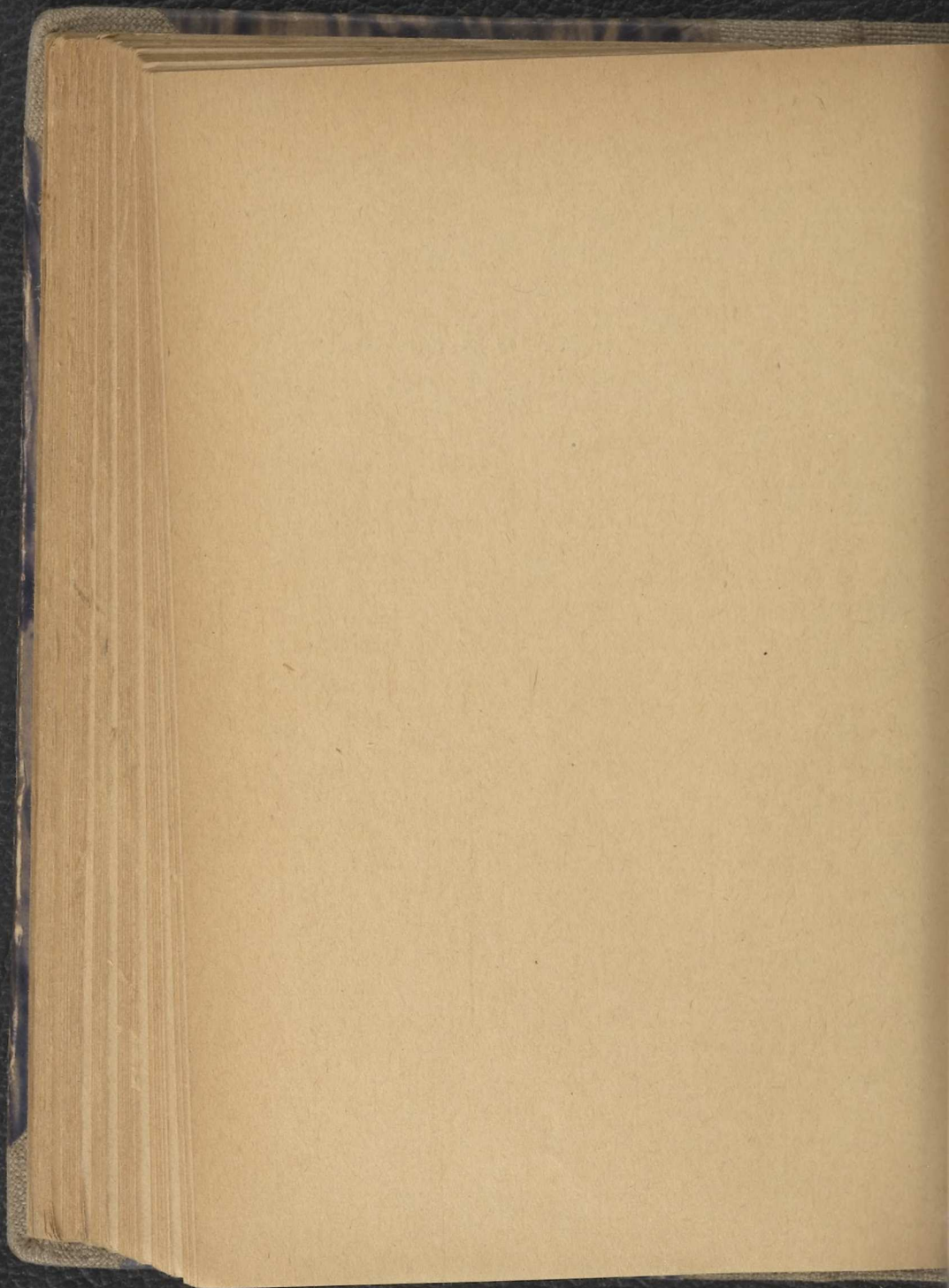
Karaif porwał się z tapczana i biegnąc mokremi stopami po posadzce, począł krzyżeć i klaskać na służbę.

— Wyrzucić mi tego psa bez talentu i przyłożyć mu parę kijów na drogę. A to bezczelna kreatura, hej!

Olbrzymi murzyn porwał Tespisa za ramiona i począł popychać go naprzód, po drodze dwóch albinosów tłukło go kijami, klnąc, na czem świat stoi.

Poturbowany, z głową ciężką od wina, czując w ustach smak doskonałych brzoskwiń, powlókł się Tespis do domu.

OJ, ŻYCIE... ŻYCIE!



Małeńka, drobna Jolka wcisnęła swój różowy nosek w kwadracik kratki, dzielącej ją od męża — rudowłosego olbrzyma Bazara, stojącego po przeciwległej stronie, a skazanego na karę śmierci przez powieszenie za zamordowanie inkasenta firmy „Strip“ — w celu rabunkowym.

Jolka miała na sobie białą sukienkę w zielone grochy i, stojąc, patrzyła swemi niebieskimi oczami na ziemistą twarz męża. W środku, pomiędzy niemi, wąskim korytarzykiem przechodził co chwila dozorca z rękoma założonemi w tył. Bazar począł mówić:

— Słuchaj, mała, — jutro o świcie koło głowy mojej będą przelatywały jaskółki, — skończy się wreszcie ta cała heca. — Zamiast twoich małych rączek, otuli moją szyję sznur; z tego wszystkiego wynika, że jutro przestanę żyć; nie masz się czego martwić — pomówmy rozsądnie. Żałuję życia i raduję się jednocześnie, umierając, ponieważ wiem, że byłaś mi wierną przez całe nasze wspólne życie i na pewno resztę twego życia wypełni pamięć

o mnie. Nie będę miał następcy, — nie pytam się nawet o to, bo wiem, że będzie tak, jak myślę, wiem, że byłem, jestem i po śmierci będę dla ciebie jedynym, — no, nie płacz, chociaż prawda, jesteś kobietą i żałujesz mnie, — więc płacz już sobie zresztą. Czekaaj, co to ci miałem powiedzieć, — a, żebyś odebrała zegar od zegarmistrza, bo chociaż zgubiłaś kwit, to na pewno ci odda, — to porządny chłop ten zegarmistrz. Nakręcaj zegar codziennie wieczór, bo jak nie będziesz robiła tego regularnie, to znowuż stanie i będzie wydatek, — pozatem nie bierz już nic u tego łotra, sklepisza Solki; on się do ciebie zawsze w głupi sposób zalecał, — idź parę kroków dalej, do Siemionowej, tam wszystko jest świeższe, — ach! — szkoda, że nie miałem czasu skuć gęby temu draniowi Solce. Co to jeszcze, — a, wszystkie rzeczy po mnie możesz sprzedać, zostaw sobie tylko cośkolwiek na pamiętkę, — pieniądze schowaj i nie trać — psiakrew — na różne fatalaszki. Fotografję moją zdejmij z nad komody i powieś sobie nad łóżkiem, — przestańże wreszcie płakać — co to jeszcze, — nie pożyczaj nic nigdy Zośce, co obok nas mieszka, bo ona lubi: — to cukru, to drzewa, — a potem nie oddaje, — jak kiedy zauważę, to... ach, mój Boże. Zakup, Jolka, mszę — od czasu do czasu — za moją duszę, na to nie żałuj pieniędzy, zawsze to lepiej, niż wydawać na byle co. Pocałowałbym cię chętnie, Jolka, ale te drańskie kraty, — sukinsyny, nawet nie pozwolą swojej żony uściskać przed śmiercią, — nie, ja tak

naumyślnie mówię, — wiesz co? — ja sam ich prosiłem, żeby nie widzieć cię zbliska, bo bałem się że cię zaduszę, — taki jestem o ciebie zazdrosny, — pamiętaj, Jolka, że tylko ja jeden, nigdy z żadnym — pamiętaj, bo to dranie.

— Nie...e

— No, dobrze, nie płacz już, bo szlag może człowieka trafić. Słuchaj, możesz co niedziela chodzić do matki na obiady, pozatem postaraj się o jakąś pracę, żebyś miała z czego żyć, bo tak, — to cię jeszcze coś skusi i...

-- Nie...e

— Nie ryczyć — do stu djabłów — co nieee?

— Ooojoj! — ja nie chcę... nie!

— No, trudno, moja droga, — trzeba się przenieść na tamten świat.

— Ale nie... ja nie chcę... żebyś ty... tego... nie zdradzać?

— Co?

— Ja będę cię... ojoj... zdradzała... bo ja go... ojajaj... tak... lubię... takie ma śliczne blond włosy i jest taki szczupły... ojaj... ja cię tak całe życie nienawidziałam... bo... bo... ty byłeś taki wielki i, i... taki ciężki... cham byłeś taki, a on taki jest delikatny... ja bałam się ciebie... oon... tam czeka na ulicy... aż ja wyjdę... ohhojoj!!

Po tamtej stronie kraty rozległ się łomot upadającego ciała. Jolka czekała aż się ukaze znowuż twarz męża, ale zamiast twarzy jego, widziała tylko przez kratki kręcące się postacie służby wię-

ziennej i słyszała jakieś gorączkowe głosy. Po kilku minutach, zbliżył się do Jolki sam naczelnik więzienia i powiedział patetycznie:

— Pani mąż zmarł na udar serca, — uniknął miecza sprawiedliwości, może pani odejść, a jutro po akt zejścia. Pa... szelmutko!

* * *

Jolka szybko przeszła na przeciwną stronę ulicy, podszedł do niej elegancki, młody mężczyzna.

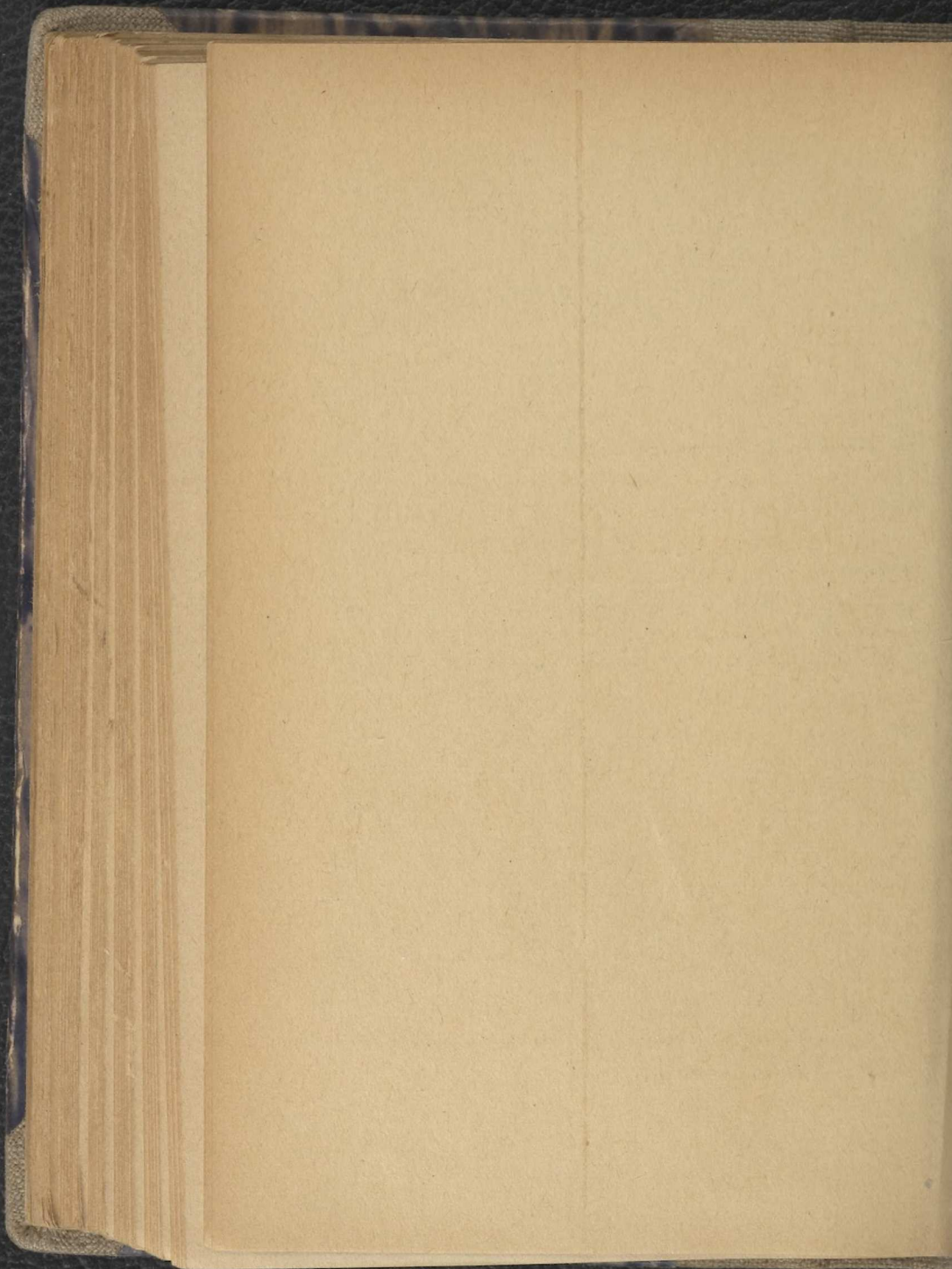
— No i co?

— Ach, umarł, — podobno na jakiś tam udar serca, — jakże cię kocham.

Jolka zarzuciła rączki na ramiona młodzieńca, a przechodzący gazeciarz krzyknął:

— Hohoho, — patrzcie państwo, w biały dzień się całują — to ci rozpusta, a w Aleje!

PODWÓJNA ŚMIERĆ.



Emeryt — Bartolomeo Edlahta, dogorywał. —
Leżał na wąskim, drewnianem łóżku i patrzył
przygasłemi oczyma na duży palec u prawej nogi;
— lewa znajdowała się pod kołdrą. Koło nogi wy-
stającej z pod kołdry uwijał się żwawo mały, czar-
ny kotek z białym ogonkiem; — łaskotał pazurka-
mi stopę umierającego emeryta, oraz gryzł drob-
nemi ząbkami wielki palec. Bartolomeo Edlahta
nie śmiał się jednak, — czuł się widać nieszczegół-
nie.

A za — napół otwartem oknem — wrzało ży-
cie i zdrowie, jasne lato prażyło słońcem grzbiety
bydła i skrzydła ptaków. Na szczycie topoli zakwi-
liła donośnie wilga i głos jej dobiegł do martwieją-
cych uszu Edlahty; — w tej chwili odezwał się sta-
ry przyjaciel Bartolomea, — garbaty woźny z mu-
zeum osobliwości — Panae, który siedział dotych-
czas w kącie pokoju na skórzanym zydlu, jadł go-
towany bób i milczał.

— Dobrze było żyć — Edlahta, słyszże, — co?
— Dobrze było... ja wiem.

Bartolomeo wyksztusił z siebie urywanym szeptem.

— Jeszcze... jeszcze... dobrze jest... żyć.

Panae jednak jakby nie zwrócił uwagi na to, co wymamrotał Edlahta, począł mówić szybko, obierając bób z łupinek i pożerając go łapczywie.

— Dobrze było. — Ja wiem że przykro jest zdychać jak się ma emeryturę i nie trzeba pracować. — Sambym nie mógł się z tem pogodzić. Hej, Bartolku! — czy pamiętasz, jaktośmy — będzie ze trzydzieści lat temu nazad — jaktośmy zalecali się razem do sióstr z Lantory, — jeździliśmy często we czwórkę łódkami po wesołej Tarte i śpiewaliśmy wzmacniające duszę piosenki, — he, he, — jak tośmy wysiadawali na przeciwnym brzegu i tam, — w krzakach, zapominaliśmy na małą godzinkę o błękanie nieba, dając go wzamian aż nadto do oglądania naszym dziewczynom, — he, he, — zdaje się, że powódź zabrała nam nasze pliszki, razem z ich gniazdkiem, tak, tak, — albo, czy to pamiętasz, jakżeś to zgrabnie wyrwał rękę temu poganiaczowi bydła, pożeraczowi śmierdzących serów, francuskiemu szczekaczowi — Merdinowi. — Ho-ho! — wtedy, to byłeś dziarski chłopak i ręce ci nie zwisały u ramion, jak frendzle żydowskiego cycele, — ciskałeś niezgorzej kamieniami do celu i skakałeś przez rowy jak pasikonik, — a teraz co.

Łóżko zatrzeszczało pod ciężarem obracającego się ciała i Panae mógł zobaczyć teraz twarz

Edlahty en face: była żółta i niemrawa, zwyczajnie, — jak to twarz umierającego człowieka. — Edlahta wysunął biały język i zwilżył nim wargi, poczem utkwiał w Panae swe szare oczy i powiedział raźniej, jak poprzednio.

— Wszystko... wszystko to pamiętam, a ty możebyś przestał kraczeć, jak zdychająca wrona i żarł swój bób. — Kończąc te słowa Edlahta kopnął nawet lekko kota, lecz sprowokował go tym ruchem do częstszych jeszcze zaczepek.

— Ha... haha, — wiedział co powiedział! — Możebyś mi lepiej powiedział jak wygląda piekło, bo go już pewnie widzisz trochę truposzu. — Czekajno, czekajno, — jeszcze ci coś przypomnę. — To wino, co to ci sprzedałem trzy lata temu, nie było cypryjskie, tylko zwyczajne świństwo z Palanty, — a tyś się na tem nie poznał, stary ośle... phiu... hem... czekajno, jeszcze coś — dziewczyna, którą ci narailem dwa lata temu, a z którążeś się ożenił i którą Bóg litościwy zabrał ci rok temu, stary sknero, — nie była moją kuzynką, tylko-tie... tie ty pomioście jaszczurczy — kochanką moją była, i wcale nie jesteśmy kuzynami, nie myśl sobie... wszyscy o tem wiedzieli, — tak... hm... no — i kiedyś mi przez cały rok pieniądze na msze za jej duszę dawał, żebym, niby je zanosił do kościoła w Kijoli, — to ja je znosiłem, owszem, ale do kasy oszczędnościowej, gdzie je zapisywali na moje nazwisko, — również... hem... dlatego dostawałeś tak często po mordzie w knajpie u Sawaka, bo podbu-

rzałem wszystkich i mówiłem, że jesteś żydem i, że kradniesz im po nocach melony, podczas gdy ja je kradłem.—Mogę ci to wszystko teraz powiedzieć, bo zdychasz i nic mi zrobić nie możesz, hehe... ty śmierdzący oddechu zdychającej świni... oohoha... mógłbym cię teraz obsikać, jak kozie łajno i wyjść sobie na świeże powietrze, ale tego nie zrobię bo mi szkoda moczu na takie ścierwo i jak się obliczyłem to już kipniesz lada minuta.

Bartolomeo Edlahta uniósł głowę do góry i popatrzał już zupełnie przytomnie na Panae'go, — poczem zapytał równym, spokojnym głosem: czy wszystko jest prawdą, to co mówisz, czy mógłbyś przysiąc, — Panae?

— Oj... bo ducha wyzionę ze śmiechu, ahaha — on się pyta, czy to prawda, — Panae porwał krucyfiks z komody.

— Patrz, — przysięgam, że wszystko, co mówiłem to prawda, patrz, — całuję, — hę, a teraz masz, ty zadku rybi, — to mówiąc, Panae rzucił na Edlahtę garść łupin z bobu.

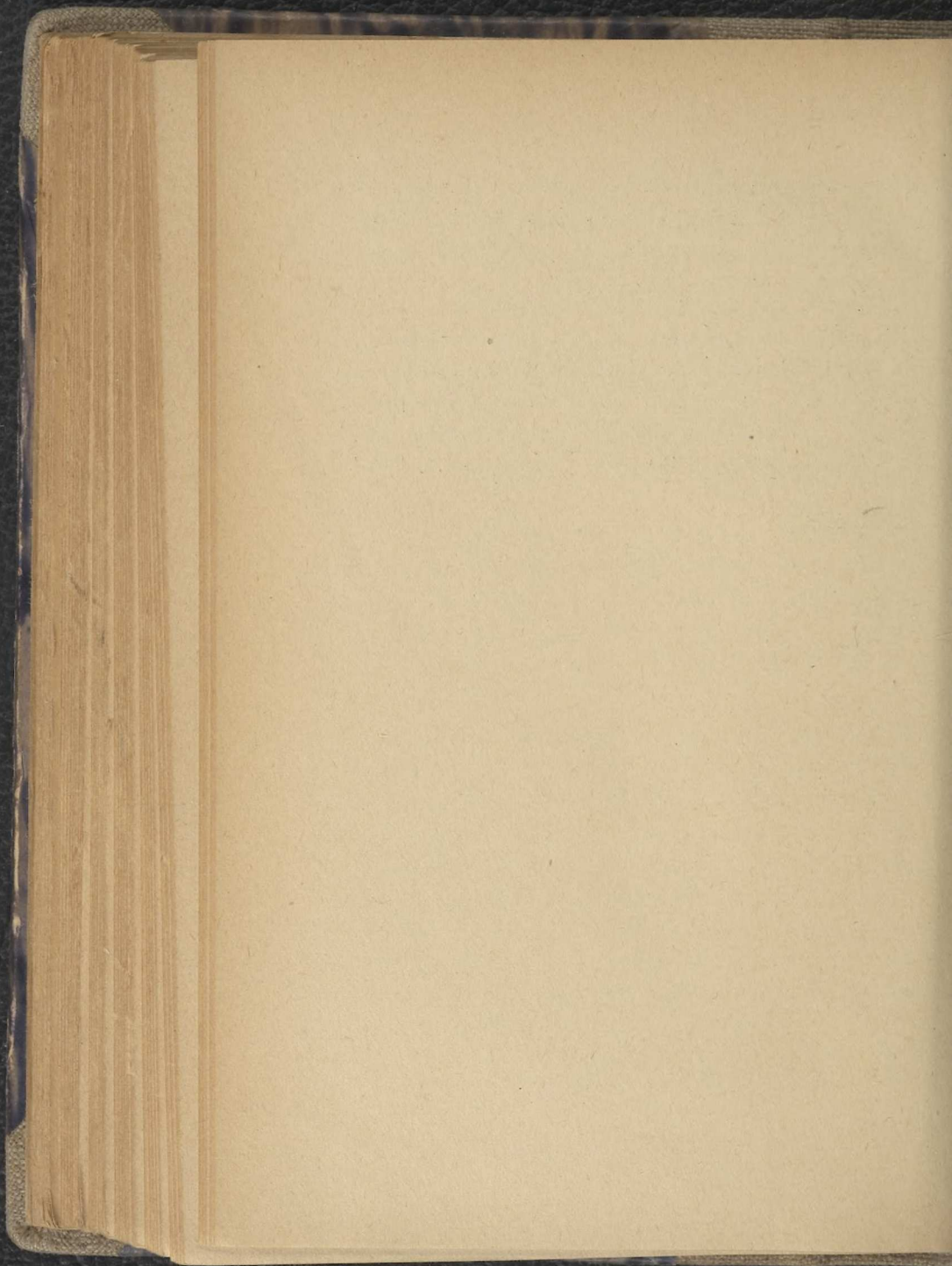
Teraz Bartolomeo Edlahta zeskoczył z wawo z łóżka, przewrócił Panae'go na podłogę i zaczął go dusić, następnie małym młoteczkiem począł go bić po głowie i po twarzy, aż nos mu zupełnie wbił do środka. Czyniłby to wszystko jeszcze dłużej, ale policjanci zwabieni krzykiem mordowanego Panae, przyjechali na czerwonych motocyklach i zabrali spokojnego zupełnie Edlahtę ze so-

bą, owinąwszy go uprzednio w koc, widocznie dlatego aby się nie przeziębził, bo przecież był w bieleźnie.

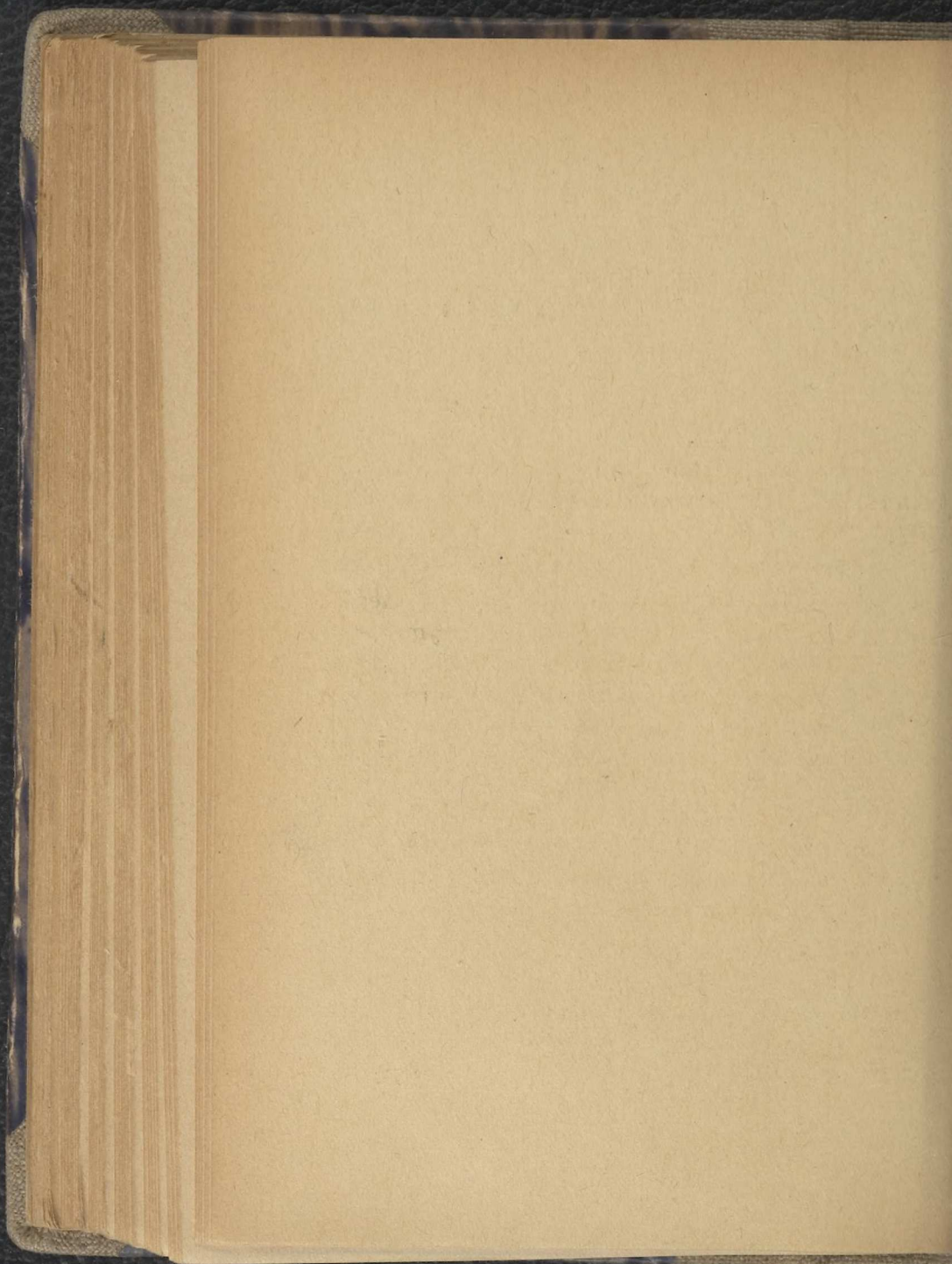
* * *

Bartolomeo Edlahta chodził po celi więziennej i wściekał się, że na ścianach nie ma ani jednego obrazka, — wreszcie, ponieważ był już późny wieczór — Bartolomeo położył się na pryczy, próbując zasnąć, ale nie mógł, bo właśnie zaczął umierać.

I umarł.



SCEPTYK.



Głos doktora Roneo huczał na ulicy starego miasta, jakgdyby olbrzym jakiś mówił przez megafon.

— Hoho! panie, — nic nie wiadomo, nic.

Obok latarni — człowiek wzrostu wysokiego, o szerokich barach — doktor Roneo, zatrzymał się, wyjął z kieszeni spodni masywny zegarek i przybliżył go do swej wielkiej twarzy: „Ot, i jedenaśta! — późny czas, późny czas“ — i doktor Roneo włożył zpowrotem zegarek do kieszeni, uniósł głowę do góry, jakby chciał spojrzeć w niebo, — lecz natychmiast opuścił ją, bowiem duże płaty śniegu jęły mu twarz pokrywać. Poczem wielkimi krokami szedł dalej, poruszając żółtą walizeczką, trzymaną prawą ręką za uszko.

Obok doktora Roneo biegł człeczyna maleńki, do pasa mu zaledwie sięgający. Kołnierz jego burej jesioneczki był podniesiony, głowa wtulona w ramiona, a ręce zwinięte w pięstki, jak dwa zmarznięte zwierzątka, wciśnięte były w przydługie rę-

kawy palta. Człeczyna biedz musiał, aby nadążyć za doktorem; co pewien czas wyprzedzał go nawet, i, wystawiając twarz na śnieg patrzył mu w oczy i zadawał pytania. Urzędnik poczty — Albin Wiek — odprowadzał ginekologa, doktora Roneo do domu. Jego żona urodziła dziecko, — cichym, zdyszczanym głósikiem pytał:

— A czy jej, — żonie mojej nic nie zagraża?

— Owszem, zagraża, wiele rzeczy zagraża, przeróżnych komplikacyj, których tłumaczyć panu nie będę, bo nic pan nie zrozumie. — Doktor odsapnął. — Żona pańska, Boże mój, chudziutkie to, zaharowane. Miedniczkę ma tak wąziutką, ciężki poród, ciężki poród, mój biedny panie.

— Ależ ona ma tylko takie drobne kości, a pozatem zawsze była zdrowa, jak rydz. Oddychała nawet wcale równo, jakeśmy wychodzili z domu.

— E, co tam oddychanie. Nikt nie wie, co się tam w środku dzieje.

— Boże drogi! — a dziecko jak — udane?

— Co to za dziecko takie — mój biedny panie! Waży toto z kilogram, słabiuchne, niemrawe.

Urzędnik biegł chwilę, nic nie mówiąc, wzdychał tylko. Doktor pogwizdywał. Gdy mijali aptekę, urzędnik wyrzekł:

— Panie doktorze kochany — dziecko wiadomo, słabiuchne, niemrawe, — przecież tylko co się urodziło.

— Ale to specjalnie, ale to specjalnie. Paniee, paniee, — tam pański ojciec — pamiętam — przecież go leczyłem, umarł nie tak dawno; alkoholik, kobieciarz, a matka też z sercem nie w porządku. He, cóżto! A pan? — Nikła budowa ciała, neura-stenja, — hehehe.

Urzędnik tak się pogrążył w swych smutnych myślach, że przez pewien czas pozostawał w tyle, ale zaraz dopędził doktora mówiąc znowuż:

— Żeby ją chociaż uratować, żeby ją — żonę moją.

— No, to co! przypuścimy, że wyżyje, to co pytam? Będzie panu latami chorowała — niedorajda skończona, he, też pomysł. Trzeba — mój biedny panie — mieć dane fizyczne, aby utrzymać się na powierzchni tego globu. Co pan będzie miał z żony, która prócz udręk nic panu w życiu nie da?

— Oj, co pan mówi takie rzeczy, panie doktorze, niech już żyje bylejaka.

— Właśnie. Ale logik z pana, cje, cje — tak!

Mijała ich pijana grupa żydowskich korporantów. Młodzi żydzi pchali się wzajemnie w kupy śniegu i klęli brzydko — po smarkacku.

Doktor zabrzmiął:

Rozpijają się dranie. Podła rasa. Tacy też nie pożyją długo.

Szli milcząc. Doktor machał lewą ręką w takt gwizdanej melodji. Po chwili urzędnik przerwał mu:

— Panie doktorze, może to dziecko ma tak, jak ja i moja zona kosteczki drobne? Mój Boże, ileż to jest ludzi wzrostu niewielkiego, filigranowych, a żyją i zajmują nawet wysokie stanowiska. — U nas, naczelnik — Boże. — mikrus taki; mniejszy ode mnie, a głowa, — no, daj nam Boże taką.

Tu doktor nieco się obruszył.

— Więc panie, chce pan przysporzyć społeczeństwu jeszcze jednego niedołągi, ułomka i słabeusza? No dobrze. — Wyrośnie pan taki, ma przypuśćmy, 20 lat. Przyjrzyjmy mu się — proszę: Wzrost, metr dziesięć, — piersi wklęsłe i wystające żeberka. Głowa duża na cienkiej szyi, a te nożyny, a te rączyny, pozał się Panie; słowem: pośmiewisko kobiet, strach na ptactwo szkodliwe.

Czekaj pan: przypuśćmy, że ktoś da w mordę takiemu pańskiemu dwudziestoletniemu synowi, hę? — Chciałbym to widzieć — sądzę, że ten ktoś drugi raz nie potrzebowałby tego czynić, jak pan myśli? A zauważ pan, że na takiego wyskrobka będziesz pan musiał łożyć pieniądze, kształcić go, jeśli pan nie zechcesz, aby był matolkiem w dodatku. Hm, no proszę.

Doktor patrzył na urzędnika zgóry i z ironją.

— Panie doktorze, drogi panie doktorze, dziecko, niech tam, trudno, ale żona panie, żona. Co ja będę robił bez niej na świecie.

— Phiu, mało to kobiet na świecie. No, ja tu mieszkam! W razie czego, gdyby się przypadkiem

poprawiło, to zawiadom mnie pan — przyjdę. Żegnaj pana, — ależ to wietrzysko, człowiek o słabej budowie, — przeziębienie pewne i, fiut, koniec. Tak panie, natura kocha swe silne dzieci. Doktor wypiął swą szeroką pierś, uśmiechnął się dobroduszenie i znikł w mroku bramy swego domu.

Urzędnik pędem pobiegł do domu, skacząc, jak mały chłopiec. Na schodach już słyszał płacz dziecka — podobny do miauczenia kota. Gdy pełen niepokoju wszedł do mieszkania, ujrzał je leżące na pościeli; odniósł nawet wrażenie, że jest uśmiechnięte, mimo łez. Twarz śpiącej żony wyrażała wielkie przywiązanie do życia. Nie pójdę jutro do biura — myślał urzędnik, — niech djabli porwą wszystkie przekazy i znaczki, przypilnuję lepiej rodzinę. Dobrze to gadać takiemu bykowi, pożyje ze sto lat, a tu człowiekowi żona... oh jej! wcale nieźle wygląda, — może przetrzyma.

Przez całą noc urzędnik siedział w kącie pokoju, przy świecy i czytał „Pikwicka“ Dickensa, lektura ta jednak nie potrafiła pozbawić go niepokoju. Rano dziecko poczęło sobie normalnie i zdrowo płakać, a rozbudzona żona nader rzeźko zapytała, dlaczego nie poszedł do biura. Wynikła nawet mała sprzeczka, co nappełniło serce urzędnika radością wprost niezwykłą. No, myślał sobie — wszystko normalnie, wyżyje chyba. Podczas obiadu, osłabiona niewiasta zjadła dwie porcje pieczeni wołowej z makaronem, westchnąwszy raz tylko. Potem zażądała energicznie, by urzędnik zagrał

z nią w sześćdziesiąt sześć, na co ten zgodził się skwapliwie. Wieczorem przyglądano się dziecku, podczas gdy ono ssało piers specjalnie na ten cel wynajętej kobiety, urzędnik marzył: zostanie tem, do czego będzie zdolny, no, tylko nie urzędnikiem. — Może poetą? — Mój Boże, jeśli nie będzie drabem o szerokiej piersi, a drobnusim mężczyzną — jak to przepowiedział doktor, to fizyczność jego w sam raz będzie nadawała się na poetę. Wiersze będzie pisał — mózg może mieć wcale tęgi, haha.

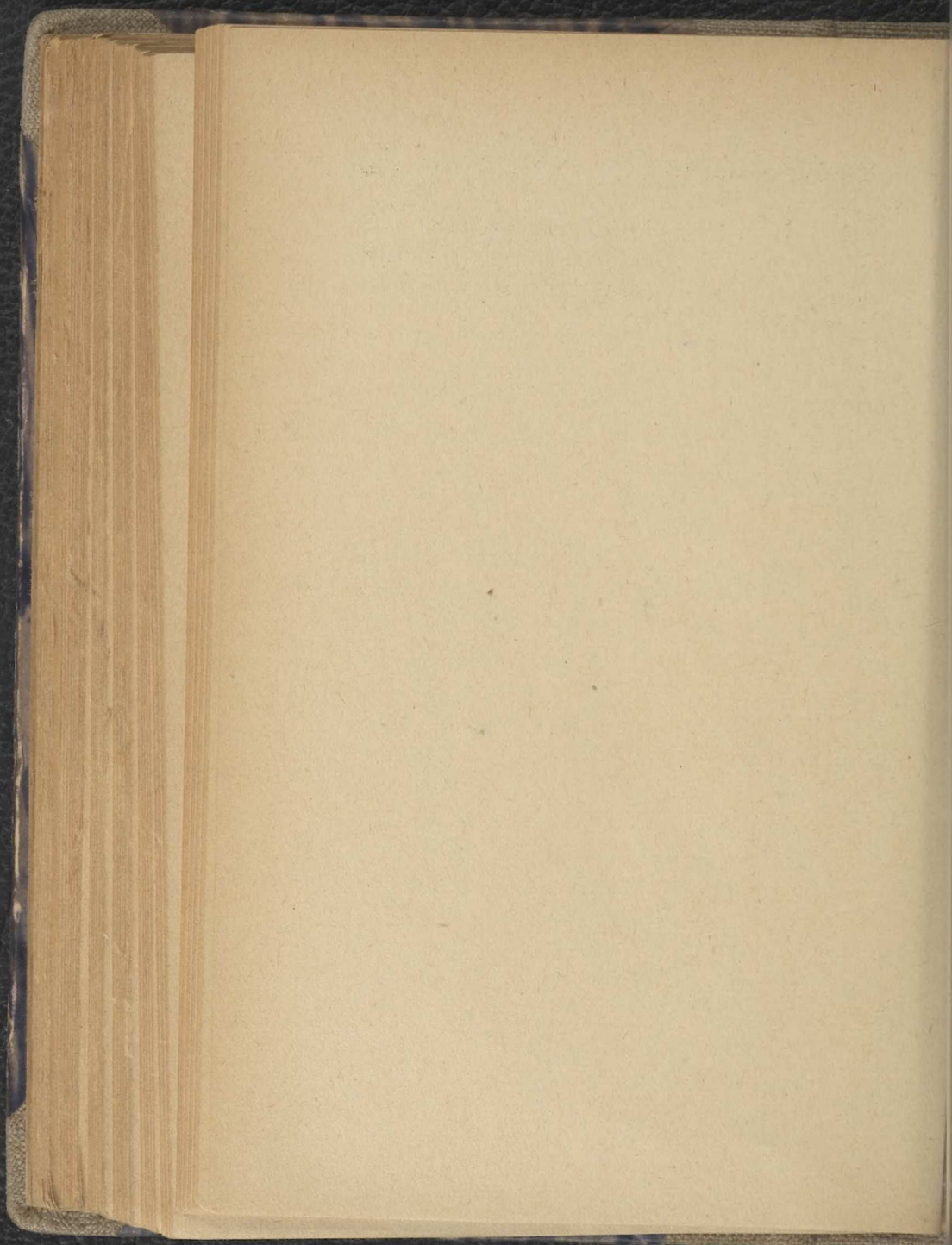
Na drugi dzień żona wstała z łóżka i odrazu rozpoczęła kłótnię z urzędnikiem o imię syna. Jeśli nie będzie miał na imię Erazm, to nie jestem sobą. Erazm, Erazm i kwita. Na to urzędnik: a może Wiliam, wiesz — takie miękkie. Erazm! — wynos się do biura i nie zawracaj głowy, Wiliam też coś.

Urzednikowi nic nie brakowało do szczęścia. Nie szedł, a sunął prawie po śniegu ze szczęścia. No, w biurze się zdziwią, — gdy mówiłem, że będę miał dziecko, kiwali głowami. A doktor, he, doktor zdziwi się nadzwyczajnie.

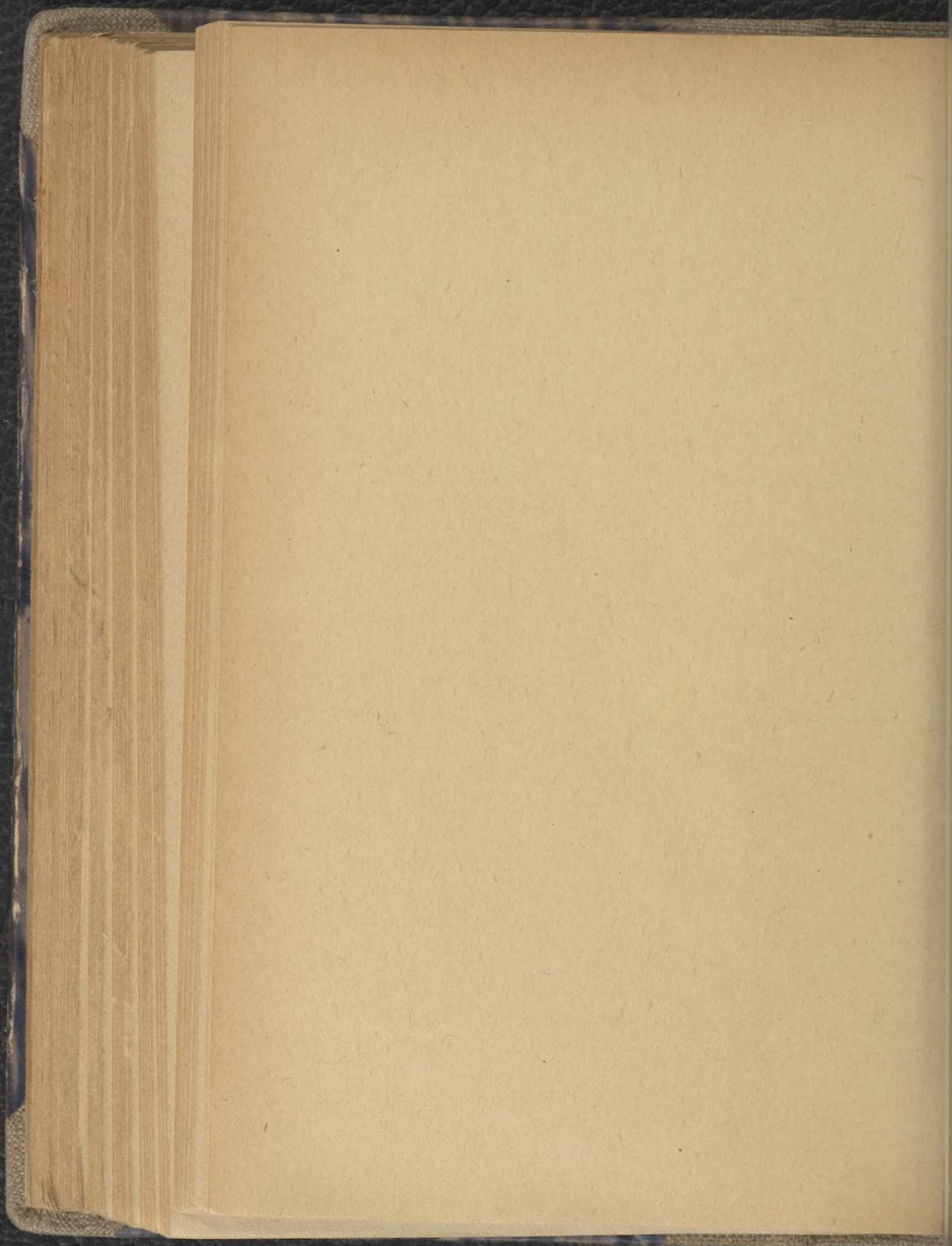
Tłum ludzi przerwał mu jego wesołe myśli. Właśnie z bramy wynoszono olbrzymią trumnę. Ustawiono ją poważnie w karawanie, obłożono wieńcami z długimi wstęgami, karawan ruszył, a tłum za nim. Urzędnik zbliżył się do trumny, ujął koniec wstęgi, wyciągnął ją i przeczytał czarny napis tłoczony wielkimi literami: „Drogiemu,

zasłużonemu doktorowi Sylwestrowi Roneo — koledzy“.

Śmiejącym się aż do nieprzyzwoitości — na pogrzebie znanego i ogólnie szanowanego doktora Sylwestra Roneo — urzędnikiem, zajęły się odpowiednie władze.



G R A C Z.



Ze zwieszoną na piersi głową wracał do domu zupełnie zgrany Bozio. — Szedł środkiem ponurej ulicy, człapiąc zdefasowanemi lakierkami po lśniącem asfalcie jezdni. Ofiara zabójczego pokera, — w absolutnej rozpacz, tak sobie rozmyślał na temat przegranej: — Gdybym dołożył — wygrałbym — bo przecież ten pępek tej starej żydówki najzwyczajniej blefował, — oszukał mnie swoją mimiką, — poprzednio, — z czterema asami w ręku, miał identyczną minę, — Taka pula, — taka pula, co! — i Bozio skierował swe błękitne oczy w okolice nieba. Świt ogarnął sine domy i w powietrzu — tak się zdawało Boziowi — pachniało trupem, — właśnie ptaszki poczęły świegotać i nasz biedny neurastenik przybity tem ostatecznie przyspieszył kroku, — skręciwszy uprzednio na trotuar, ponieważ nie był w stanie znieść widoku szyn tramwajowych: wyglądały jak nabrzmiałe żyły.

Kiedy Bozio znalazł się na schodach prowadzących do drzwi jego mieszkania, odczuł pewien niepokój, — gdzieś, coś było nie w porządku. Bo-

zio bowiem był bardzo subtelnym człowiekiem i, ręka mu drżała gdy wsadzał klucz do zamku. Otworzył drzwi i odrazu poczuł obcy nozdrzom jego zapach: — spojrzał krytycznie w głąb pokoju: znajdowało się tam czterech mężczyzn, niezbyt zresztą okazałych postaci, jeżeli chodzi o powierzchowność zewnętrzną. — Jeden z nich z olbrzymią brodą i w rogowych okularach na nosie leżał na łóżku i ziewał, — drugi, siedząc przy oknie, jadł zsiadłe mleko, które Bozio przygotował sobie na wypadek katzenjammeru, — trzeci czytał książkę, a czwarty ukazał się dopiero później, ponieważ siedział w ubikacji.

— Co to, — na miły Bóg — zjadasz pan moje mleko, zwrócił się Bozio do siedzącego przy oknie mężczyzny, — a pan — możebyś pan zdjął buty, skoro leżysz na czystej kołdrze. — Do pioruna! — co panowie robią w mojem mieszkaniu?

— Rewizja, — lakonicznie odpowiedział jegomość w brązowym krawacie, wychodząc z ubikacji i pozostawiając drzwi otwarte wraz z szumem spuszczonej wody, rewizja, złociutki panie, — zapasowy klucz był u stróżki, — no, koledcy szanowni, teraz — kiedy gospodarz jest w domu, — zaczynamy.

Bozio usiadł w rogu kanapy i patrzył błędnie na kręcących się po pokoju panów: — otwierali szufladki i rozpruwali poduszki; — jegomość, który jadł mleko, obtarł wąsy rękawem i popatrzył chytrze na Bozia, — (przyczem okazało się, że na

twarzy ma ślady po ospie), poczem wyjął z doniczki wraz z ziemią, ukochany przez Bozia, rododendron i w bardzo brutalny sposób począł grzebać haczykiem w ziemi. — Jegomość z brodą zajęty był wyłącznie oddzielaniem ram od obrazów oraz wrywaniem desek z podłogi, — trzeci, ten w brązowym krawacie, rozbierał bardzo opieszale piec, mrucząc, że to taka ciężka robota, — czwarty, gdy już uporał się z szufladkami i poduszkami, począł zaglądać w grzbiety książek, rozrywając je, aż wkońcu zajął się czytaniem listów, które wyjął z mahoniowej szkatułki.

W pokoju uczynił się wielki nieład i słychać było nieprzyjemne trzeszczenie niszczonych sprzętów. Czterej panowie chodzili po pokoju, szepcząc sobie coś na ucho, — wączali przytem z jakichś buteleczek wydobytych z nocnej szafki, opukiwali ściany i patrzyli sobie w oczy od czasu do czasu. Bozio siedział w dalszym ciągu na kanapie, podłożywszy nogi pod siebie; — w głowie miał taki zamęt, że nie był w stanie ułożyć choć jednej myśli.

— Oho, — jest coś — zawołał podniesionym głosem jegomość z brodą — wyjmując z pod żółtego cyferblata ściennego zegara, paczkę fotografii; — przybliżcie się panowie, jest coś, co nas interesuje niewątpliwie.

Czterej panowie skupili się koło okna i poczęli oglądać fotografie: — przedstawiały fragment jakiegoś gmachu.

— A, tu mamy pana szanownego, — wykrzyknął ten, co zjadł mleko; — hej, panowie, przecież to jest gmach więzienia politycznego.

Na to Bozio zerwał się energicznie z kanapy i podbiegł do nich ze łzami w oczach.

— Ależ panowie, drodzy panowie, — to jest... to jest... och, — zmuszony jestem opowiedzieć na prędce historję mego życia: — to jest gmach, w którym się urodziłem, tak — moja matka miała nieszczęście przebywać w nim, kiedy nagle zasłała... odwiedzała mojego ojca, och... panowie, ja mam takie swoje tradycje... wiecie, przywiązanie, — dlatego sfotografowałem to miejsce, — oj, darujcie... zostawcie te fotografie w spokoju.

— A to mi bezczelność! — wykrzyknął pan w brązowym krawacie, — a to mi nachalstwo, — żądać oddania tak cennych dowodów, — do kozy panie z nami, do kozy, my pana...

— Tak, — przyświadczyli towarzysze, — zmuszeni jesteśmy zabrać pana ze sobą.

— A więc pójdę, trudno — ale przedtem, panowie, — może trochę... nieco, konjaczku, tyleście się nafatygowali, — pójdziemy później, i tak wiem, że jestem niewinny, — pozwólcie, proszę.

Panowie porozumieli się oczyma, następnie usiedli wokół stołu, który dziwnie jakoś, okazał się cały.

Pili w milczeniu konjak. — W pewnej chwili Bozio zaproponował: — panowie, a możeby w pokerka, co?

— Można zagrać, — powiedział ponuro pan z brodą.

Bozio podał karty i poczęli grać.

— Otwieram z czterech, — mruknął dziobaty.

— Wchodzę — powiedzieli wszyscy kolejno.

— Ja zdrów, — szepnął Bozio, gdy dziobaty chciał mu dać karty.

— Hm, — zdrów, — street — mruknął pan w brązowym krawacie, — daj pan, panie kolego, jedną kartę, ot tak, — kosztuje sześć.

— Dodaję te sześć i kosztuje dziesięć, — powiedział pan z brodą.

— Ja pas, — powiedział czwarty.

— Dodaję te dziesięć i kosztuje dwadzieścia, — wyrzekł Bozio.

— Pas, — jęknął dziobaty.

— Pas, — powiedział pan w brązowym krawacie.

— Dodaję te dwadzieścia, co pan ma? — powiedział pan z brodą.

— Co pan ma?

— Co pan ma?

— Pokier kier, — szepnął Bozio.

— Pańskie, — wymamrotał pan z brodą.

Bozio zgarnął pieniądze i poczęto grać dalej w spokoju.

* * *

O godzinie ósmej wieczorem, taka rozmowa miała miejsce w pokoju Bozia:

— Daję panu zegarek, — złoty, o, patrz pan tu próba — i będziemy kwit, — zwrócił się pan w brązowym krawacie do Bozia.

— Ma pan tu srebrną papierośnicę i będę wien panu trzysta złotych, które panu zapłacę pierwszego, — powiedział dziobaty do Bozia.

— Ja również pierwszego zwrócę kochanemu panu czterysta złotych, — takie ciężkie czasy, — powiedział trzeci do Bozia.

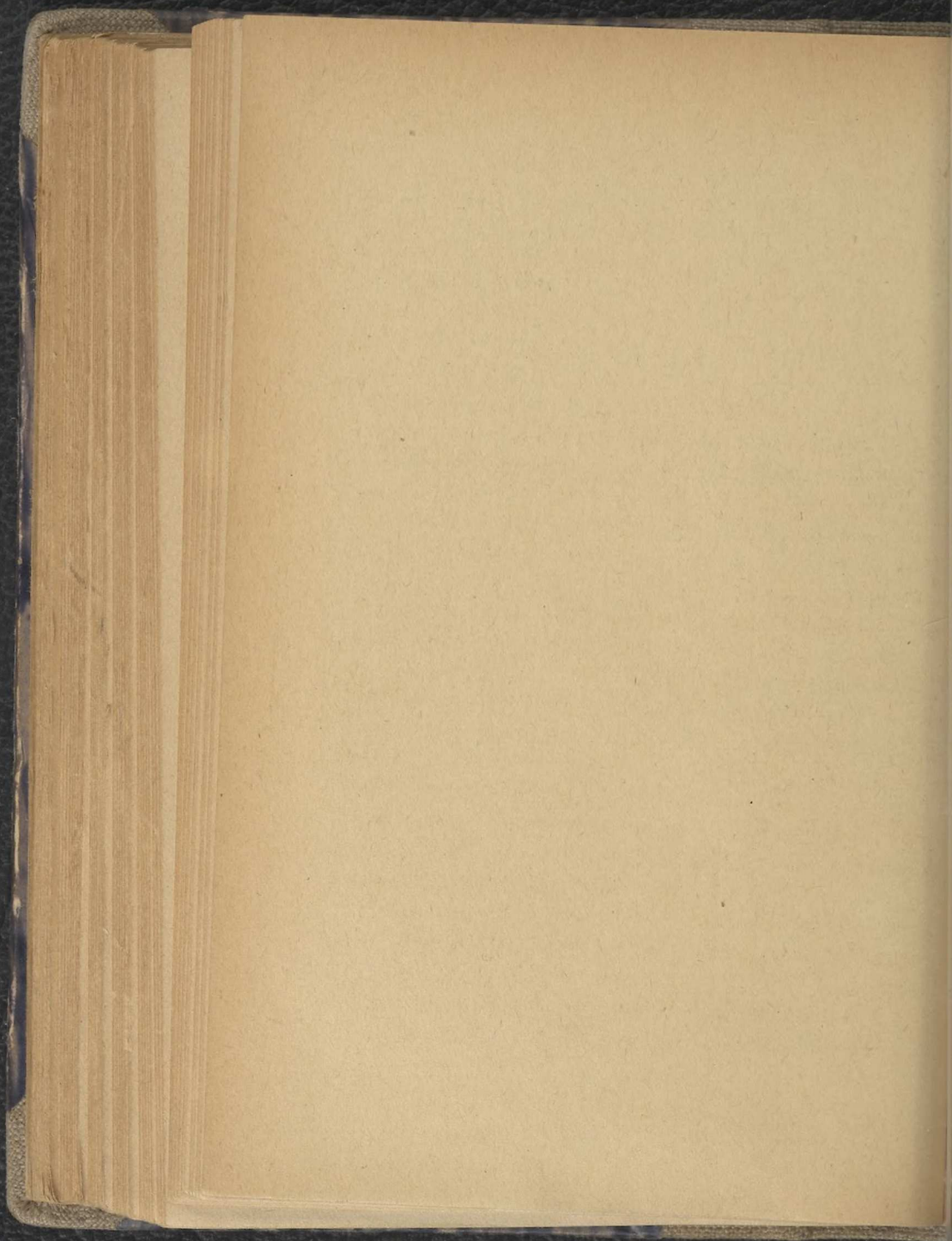
— A ja zwracam panu pańskie fotografje i jesteśmy kwit, nieprawdaż? — powiedział pan z brodą do Bozia.

— Ho-ho, — wykrzyknęli wszyscy jednogłośnie, — na to się nie zgadzamy, — co to, my poszkodowani, a ty!

— No, idźcie panowie kłócić się na ulicę, a nie robić mi tu awantur, w moim domu, — a pamiętajcie spłacić się na pierwszego, będę czekał pod urzędem, — spać mi się chce niebywale.

To mówiąc, Bozio kolejno wszystkich wypchnął za drzwi.

BURLESKA.



Milong otworzył szafę, aby wyjąć z niej getry: wewnątrz stały zwłoki jego ulubionej ciotki — Morfiny. Zdziwiony Milong wyjął getry nie ruszając nieboszczki, — zamknął drzwi szafy, nucąc i, — przyozdobiwszy lakierki bielą getrów pikowych, — wyszedł z pokoju.

„Uśmiech Krytyka“ — kawiarnia poetycka: oddalona była o jedną „pieśń Don Kichota“ Elzenberga od domu Milonga. Zmówiwszy ją, stanął Milong przy wejściu do kawiarni i obejrzał się smutno poza siebie: był lipiec; — różnokolorowe tramwaje i automobile sprawiały wrażenie leniwych żuków i rzeźkich mrówek, łączących między olbrzymiemi żdźbłami trawy — drapaczami chmur. Obok Milonga przechodził właśnie tłusty, zielony kot, wlokąc za skrzydło wystraszonego gila; — Milong przeprosił kota, odebrał mu gila i puścił w powietrze, poczem wszedł do wnętrza „Uśmiechu Krytyka“.

Przy stolikach siedzieli senni poeci, obmawiając swoich przyjaciół; otulały ich gorące spojrze-

nia kolorowych, gadatliwych papug — żydówek. Milong uściśnął czyjąś chłodną, — bardzo chłodną, rękę, minął grupę malarzy śpiewających lubieżne piosenki i podszedł do stolika, gdzie siedziała para kochanków: — poza miłością zajmowali się pożyczaniem pieniędzy i nieoddawaniem ich; byli różowi i piękni — ocieniała ich wielka popielata palma.

— Tssi, Milong! — wykrzyknął kochanek — co widzę, — zmieniłeś guziki u marynarki: ech, ty — elegancie niepoprawny. Wspaniale wyglądasz.

— Pan ma oczy, ach, co za oczy, — jakie feralne ma pan oczy, — pan musiał być kiedyś niezwykle fotogeniczny, panie Milong. To powiedziała kochanka.

— No, głupstwo — doprawdy, — odparł Milong, patrząc z dumą na swe guziki, — cóż to oczy. — pozwólcie mi usiąść i odetchnąć nieco, — ohjoj; męczą mnie ptaki i drzewa też, wogóle — wiecie — natura.

Siedział w milczeniu, patrząc na siebie przyjaźnie, po chwili Milong powiedział, patrząc tajemniczo na kochanków:

— Zdaje mi się, że mam jakieś zmartwienie.

W pewnej chwili podszedł do nich właściciel chłodnych rąk, (niedobre ręce), przywitał się z kochankami i zapytał, czy nie widzieli Hirza. — Nie, nie widzieli. — Więc chłodnoręki odchodzi.

— Dobra to rzecz, takie ręce na upał — zauważyla kochanka.

Kochanek zwrócił się gwałtownie do Milonga:

— Co to, co to, — gniewasz się z Pytardem? — boście się nie witali.

— Ależ nie, skądże — witaliśmy się w przejściu, — gdzież tam gniewamy się, — wprost przeciwnie; bardzo go lubię i szanuję.

— Lubisz go, co ty powiesz? — No, to pożycz mi — dla niego — piątkę.

Milong wyjął zniechęconym ruchem monetę i podał ją kochankowi. Zapytał:

— Czy dawno nie było deszczu?

— Oj, dawno — odparła żywo kochanka — dawno nie było i niewiadomo kiedy będzie, żyjemy w takich dziwnych czasach. — Ale pan, panie Milong, wydaje mi się jakiś senny, — ach! — ale, w sprawie snu. Pan lubi sny? Jakie ja miałam sny, no niech pan tylko posłucha, wczoraj był taki. Funia nie było na noc w domu i sama sobie tak śniłam, — no, niech pan posłucha.

— Słucham, tiak, no?

— Idę zieloną łąką po tłustej i wysokiej trawie; w pewnym miejscu rośnie wielkie drzewo — nie pamiętam jakie, ale mniejsza z tem. — Otóż położyłam się w cieniu tego drzewa i zasypiam, — a potem budzę się: — uważa pan, śni mi się przebudzenie, he. — Koło mnie leży jakiś wojskowy. — Funiek, nie krzyw się tak, nie do twarzy ci z tą zazdrością, — otóż leży ten wojskowy; twarzy jego

nie widzę, bo jest odwrócony; ma on piękne, falujące blond — włosy — Funiek! — rękaw od mundurka ma podciągnięty wraz z koszulą, tak, że ręka jest goła aż po łokieć, — otóż z przegubu dłoni wyrastają mu porzeczeki i ja je jem, lecz na miejscach zjedzonych wyrastają nowe i, tak długo się nimi objadam, aż mnie zaczyna brzuch boleć. A potem wojskowy odwraca się w moją stronę i okazuje się, że to mój mąż. Pamiętasz go, Funiek? Zaczyna mnie bić — Funiek nie denerwuj się, to tylko sen! — uważa pan, nawet we śnie mnie bije — i, nie jest to wcale wojskowy — zwyczajny jego mundur kolejarski; no, niech pan powie sam, czy ja nie jestem nieszczęśliwa... I kochanka zaczyna płakać.

Milong robi minę, jakby wahał powietrze, uspakajają ją, a ona mówi dalej przez łzy: — Widzi pan... naprzeciwko kanapy... na której zwykle... po południu leżą trochę, wisi portret ojca mojego męża, był to... bardzo mądry człowiek i ja... stawiam mu różne pytania, na które... on kiwa głową... tak albo nie... kiedyś, gdy go zapytałam... czy jestem głupia... kiwnął głową, że tak... ojoj... nhuuu... no, niech pan powie, czy ja nie jestem nieszczęśliwa? huuuuu...

Kochanek począł ją głaskać po głowie i mówił: — no, no, nie płacz, Piziu, bo ludzie pomyślą, że to z powodu stanu materialnego, no przestań. Widzisz, kochany Milong, co to z temi kobietami? — straszne.

— Proszę nie płakać, pani Piziu, — niech pani przyjdzie kiedy do mnie, to panią zahipnotyzuję od płaczu.

Ale Pizia dalej płakała i rozweselony Milong patrzył na jej łzy z czułością. Raptem — jednak — twarz jego spochmurniała, zerwał się z krzesła i powiedział: ach, racja! — zegnám was, — muszę wyświetlić sprawę śmierci mojej ciotki, — przyjdź pani, to panią zahipnotyzuję, — poczem szybko wybiegł, zostawiając za sobą zapach kopru.

W domu Milong zdjął spodnie, umył ręce, następnie otworzył drzwi szafy. Nikogo tam nie było. Milong wrzasnął tak, jakgdyby był kotem i jakgdyby mu kto na ogon nastąpił, poczem wskoczył pod łóżko w poszukiwaniu ciała nieboszczki. Ani śladu. Ponieważ poza szafą i łóżkiem nie było miejsca, gdzieby się zwłoki schować mogły, więc zrezygnowany Milong usiadł na łóżku i począł wspominać ciotkę: — pocziwa niewiasta, miała felery — to prawda, ale przecież kobieta. — Kto mnie teraz, u pioruna, będzie masował? — Pech. — Ale mawiała, miała przeczucie: jak ja kiedyś umrę, to zobaczysz, Milązek. No, i miała rację — umarła, a ja już cierpię. Gdzież ona poszła do djabła? — Co za niespokojny trup.

Milong położył się na łóżku i zaczął płakać, — już miał zasnąć, gdy raptem w drzwiach stanęła — no, kto stanął? — Morfina.

— Co to! — ciocia istnieje?!

— Aha.

— Jako aha, — przecież martwe ciało cioci znalazłem dwie godziny temu w tej oto szafie.

— Złotko, ono nie było martwe, — ja zasnęłam. Tak, zasnęłam, — szafa, to jedyne miejsce, gdzie niema much.

— Mój Boże, i poco ja płakałem, — już się oswoiłem ze śmiercią cioci, — a tu masz, — taki zawód. Proszę o nierobienie mi na przyszłość takich kawałów.

MYSZY I LUDZIE.



Pięć dni temu stanął zegar w pokoju Serafa Hopki, który nie był w stanie go nakręcić, ponieważ nie mógł podnieść się z łóżka, tak był osłabiony, -- teraz właśnie przestało bić serce w szczupłych piersiach Serafa i już zupełna cisza zapanowała w pokoiku na czwartym piętrze.

Dusza Serafa Hopki odeszła w zaświaty równie ze wschodem słońca; — tak więc cisza panowała do zachodu, — gdy słońce zaszło, w rogu pokoju, koło nogi starej kanapy coś lekko trzasnęło, a potem dało się słyszeć chrobotanie delikatne. Po upływie kilku minut do chrobotania dołączyły się ciche piski i dwie myszy, — zwyczajne, szare myszy, — pobiegły pod ścianę w stronę biurka i tu się zatrzymały. Obie były do siebie podobne; jednej tylko brakowało kawałek ogona, — ta właśnie odezwała się pierwsza do swej towarzyszki:

— Co za dziwna cisza. — Od kilkunastu dni zmniejszał się stopniowo hałas, jaki wyczyniał nasz staruszek: najpierw przestał pisać i to mnie bardzo ucieszyło. Nie wyobrażasz sobie, jak bar-

dzo mnie denerwował skrzyp pióra, wodzonego po papierze, — nie wiem, właściwie w jakim celu on to robił, — i, to tak często, — całymi dniami, a czasami i w nocy, zapisywał całe strony, — aż wreszcie zaprzestał i położył się do łóżka. Ale cóż z tego, — przestał skrzypić piórem, zaczął kaszlać znowuż, — i to, połączone z tikaniem tego przekłętogo zegara również było nie do zniesienia. Po jakimś czasie zegar przestał chodzić, ale zato starszek począł kaszlać w dwójnasób i jęczeć po nocach. Teraz jest już zupełna cisza, — zdaje mi się, że ten stary umarł, — jestem bardzo zadowolona, — zdaje się, że i ty, Killi?

— E, mimo, że był tak hałaśliwy, to jednak był również bardzo dobry: — Raz schwycił mnie nawet — pamiętasz, wtedy, kiedyście chciały mnie wyrzucić z nory za to, że tak bardzo pachniałam człowiekiem? Otóż schwycił mnie i położył na papierze, na biurku i począł mnie gładzić końcem patyka, którym pisał; było mi bardzo przyjemnie i jednocześnie musiałam zmrużyć oczy, bo papier mnie oślepiał. Potem wziął mnie delikatnie i położył na podłodze, — tak, to był dobry człowiek.

— Głupstwa opowiadasz! — „Dobry człowiek“. Dlaczego miał cię właściwie krzywdzić? — Jesteśmy przecież bardzo miłemi stworzeniami, — muszę ci jednak przypomnieć, bo nie wiem czy pamiętasz, jak nasz starszek pewnego wieczora przyprowadził tutaj młodą dziewczynę i hałasowali przez całą noc tak, że trudno było oko zmrú-

żyć; — żal mi było tej dziewczyny, bo chciała spać, a staruszek ją ciągle poruszał i śmiał się, gdy ona płakała. — Nie wiem, co oni robili tej nocy, — ludzie mają takie dziwne i długie zabawy, tylem się tego nocami w swoim życiu nasłuchiwała, — to tylko nie wiem za co, może za to, że nie dał jej spać, — chciała od niego pieniędzy i staruszek biegał po pokoju, jak wściekły i krzyczał na nią jeszcze, a gdy dziewczyna zaczęła znowuż płakać — a on widać nie lubił płaczu, — wyrzucił ją za drzwi. — Nie wiem kto z nich miał rację, ale zdaje mi się, że „dobry człowiek“ takby nie postąpił.

— Ach, moja droga — co nas to obchodzi, co tam między nimi było. — Musisz przyznać jednak, że staruszek całymi tygodniami nie zamiętał podłogi, żeby nam było dobrze, sama wiesz, jak nieprzyjemnie jest biegać po zamiecionej podłodze, jest śliska i nic na niej nie można znaleźć.

— Fe, ty tylko myślisz o tem, co dla nas robił, — ja sięgam wyżej; — staruszek był, zdaje się, pisarzem i żył z tego co napisał, — przypomnij sobie, że kiedyś przyszli tutaj dwaj panowie i zbili go na kwaśne jabłko za jakiś tam — artykuł, — nie wiem, czy dobry człowiek potrafi mówić źle o innych ludziach, — to też dobrze, że go stłukli.

— E, przesadzasz.

— Jakto przesadzam? — To jeszcze ci powiem, że kiedyś, kiedy ciebie nie było, bo zesłaś

na niższe piętro — przyszło tu parę kobiet i kilku mężczyzn. — Zaczęli pić wódkę i śpiewać obrzydliwe piosenki; — pamiętam, że staruszek cały czas krzychał i wymyślał na jakiś tam — rząd: — ten minister — powiadał — taki to, a taki, a tamten to znów, — fuj, mówił takie słowa, że trudno je powtórzyć i wogóle nie powinno się ich pamiętać; — czy u nas coś podobnego było kiedy, — wprawdzie my jesteśmy na tyle mądrymi stworzeniami, że nie potrzebujemy żadnego tam rządu, — ale oni, skoro muszą go mieć, nie powinni tak obrzydliwie na niego wymyślać.

— To masz rację, że ludzie mówią sobie nawzajem wstrętne słowa i kłótniwi są jak małpy, ale pamiętam, że gdy wróciłam tego wieczora, na podłodze była masa wędliny i skórek od sera.

— No, wracajmy, moja droga, bo mi się strasznie jeść chce.

— Ach, wiesz, moja droga, że już niema co, — skończyły się zapasy.

— Jakto, niema już nic? — więc staruszek nam nie zostawił, — a mówiłaś, że to taki „dobry człowiek?“

— Tak, rzeczywiście — to świnia. I myszy spojrzwały sobie w oczy z rozpaczą.

* * *

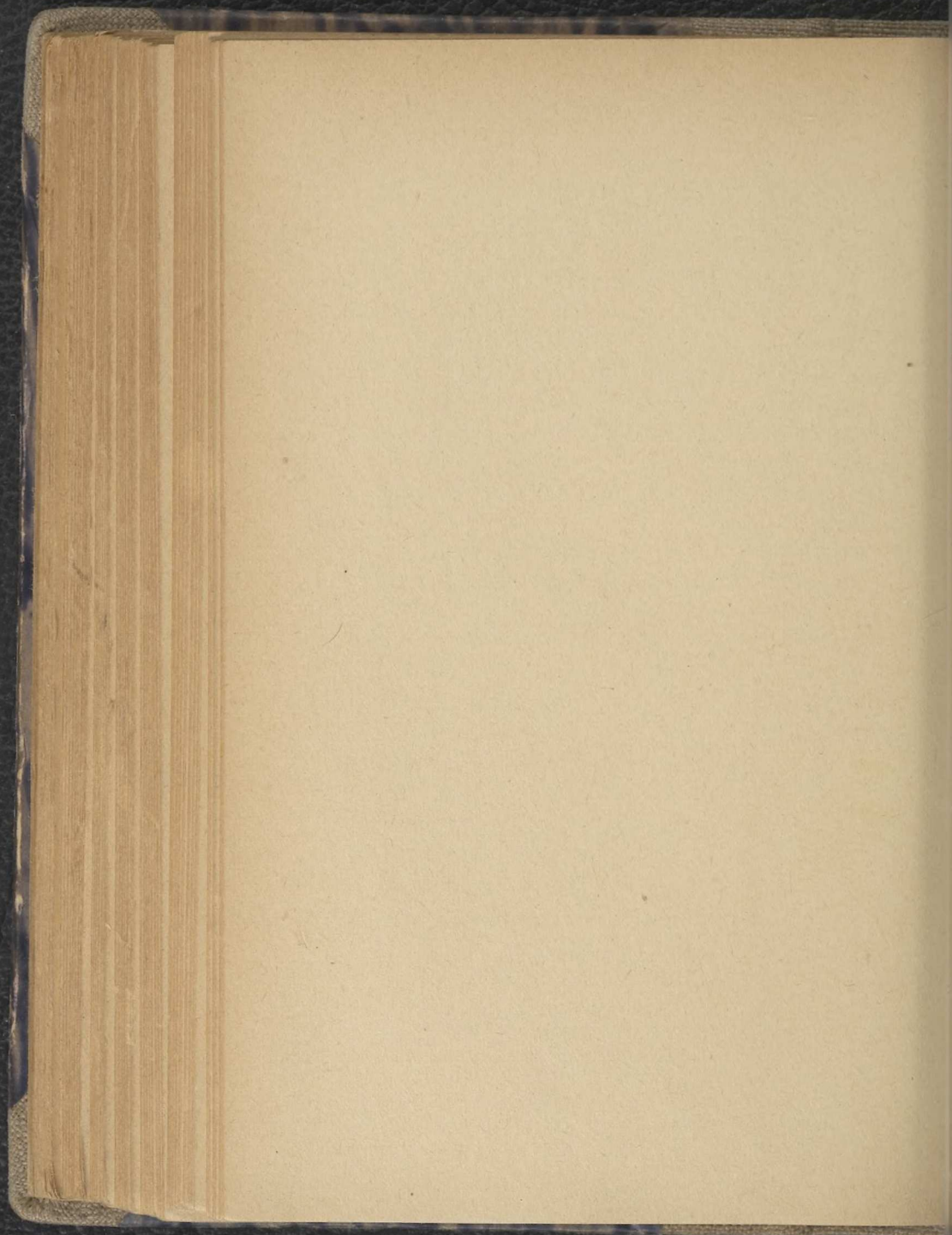
Przy stoliku, w pewnej artystycznej kawiarni, siedziało kilku mężczyzn. Po jakimś czasie do-

siadł się jeszcze jeden i powiedział: — Wiecie o tem, że stary Hopka umarł?

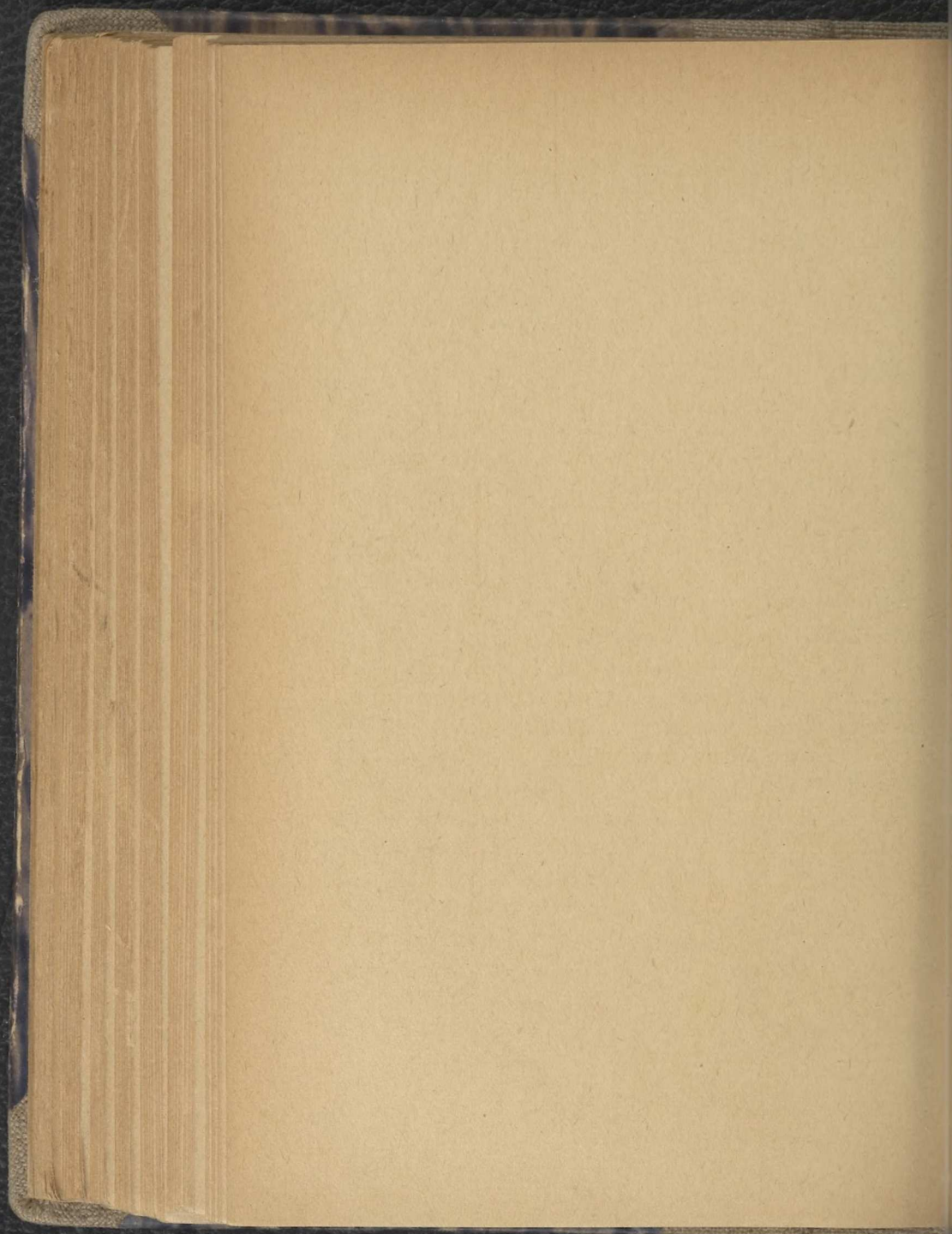
— A, wiemy, — odpowiedział jeden z siedzących — w „Gazecie Opozycyjnej“ był o nim wielki artykuł, — powiadają, że wiele zrobił dla dobra narodu swoim piórem, — tak, to był świetny publicysta, literat i dziennikarz niezgorszy.

— A przytem jako człowiek czarujący facet, świetny pijak i dowcipniś pierwszej klasy, szkoda chłopu — powiedział przybysz.

O, jakże dziwny nieporządek jest w porządku rzeczy!



DAWNA ROZMOWA



Silne, prażące słońce celowało promieniami w dwóch ludzi i zwierzę, idących powoli drogą na wzgórze. Czyniło ją żmudną, biorąc pod uwagę lekką pochyłość i usuwający się piach.

Dwaj kupcy żydowscy, Rahme i Pafia, dążyli do Cenliny, popędzając osła objuczonego towarem, stanowiącym ich majątek. Bowiem byli wspólnikami, — lecz nie przyjaciółmi.

Tutaj panował żar dokuczliwy, ale na horyzoncie — za wzgórzem — klębiły się zwały chmur ciemno-niebieskich, zwiastując ulewę.

Pierwszy odezwał się Pafia, nakrywając oczy cieniem dłoni.

— Śpieszmy się, Rahme. — Burza winna nas zastać w domu naszego przyjaciela Szomi, — jedzących daktyle i odpoczywających.

— Łatwo ci to mówić, Pafia, bo nie jesteś osłem, co idzie niemrawo i przystaje często, zmuszając nas do zatrzymywania się i popędzania go.

— Tak, osioł jest leniwy. Gdy wejdziemy na wzgórze, zaledwie stayów kilka będzie dzieliło nas

od domu naszego przyjaciela, szlachetnego i pobożnego Szomi.

Niezadługo dwaj kupcy żydowscy, Rahme i Pafia, zatrzymali się przed domem Szomi. Podczas gdy Rahme uwęźniał osła od ciężaru juków, Pafia witał sędziwego Szomi.

— Podróż nasza łączy w sobie dwa cele sprawiające radość sercom naszym. Jeden już osiągnęliśmy, jest nim zaszczyt powitania ciebie, pierwszy z czcigodnych Szomi. Jeżeli z równym skutkiem sprzedamy tkaniny, które dobry Rahme zdejmuje z grzbietu tego głupiego zwierzęcia, wówczas dzieci i żony nasze będą miały powody do radowania się.

— Mówiłeś zawsze prawdę, Pafia, — powiedział Szomi. — Wypowiadasz ją pięknie i szczerze. Wejdźcież do wnętrza domu mego, gdzie na juspijskiej makacie będziecie mogli zjeść daktyle swoje, nie szcędząc uszom moim opowiadań.

Dwaj kupcy żydowscy, Rahme i Pafia, weszli do domu Szomi, nałożywszy uprzednio osłowi paszy do żłoba. Poczem usiedli na juspijskiej makacie, wyjęli zapasy swoje i zaczęli jeść. Nieopodal usadowił się Szomi.

Pafia powiedział:

— Bylibyśmy o jeden dzień wcześniej oglądali oblicze twoje, mądry Szomi, ale łotr Rzyw, którego znasz niewątpliwie, zatrzymał nas na granicy, penetrując nasze tkaniny, czy aby nie wieziemy rzeczy zakazanych. Ten ogon zdechłego wie-

prza, Rzyw, jest naczelnikiem straży granicznej. Nie pamięta, jak zaledwie przed laty kilku, przed dojściem Beforów — tfu, oby ich trąd wydusił — do władzy, karmił wielbłądy moje i zamiatał dziedziniec, — również mój. Był to najpodlejszy ze sług, jakie miałem czasu bogactwa mego.

— Nędzny Rzyw — odezwał się Rahme — to jeszcze łagodny baran w porównaniu do sędziego Pahuty. Rzyw okazał wielkoduszność, przepuszczając nas przez granicę, z Pahutą miałem gorszą sprawę: kiedy byłem jedynym, który zaopatrywał całą Zefirję w zboże, ubogi Pahuta zaczynał studjować prawo ludzkie. Był równie biedny i głupi, jak nasz osioł, żrący mokre siano na deszczu. Pomagałem mu jednak: mieszkał i jadł u mnie, odpłacając się współudziałem ze mną, w zapakowaniu żądzy małżonki mojej. Złapałem ich wreszcie, gdy w cieniu cedrów kazili ziemię ciętami swemi. Wówczas wyгнаłem Pahutę. Beforowie również i mnie pozbawili majątku, a Pahucie dali w plugawę ręce berło sprawiedliwości. Zajmowałem się nadal marnym handlem zboża. Gdy kiedyś, z powodu ubóstwa i lekkomyślności sprzedałem między innymi dwa worki spleśniałego jęczmienia, Pahuta skwapliwie zajął się tą sprawą. Zabrał mi wszystko, co miałem. Mówiono później, że był to jego pierwszy wyrok sprawiedliwy. Dobry Bóg, który czuwa nad niewinnymi, nie zapomni mu pewnie tego.

Rahme począł jeść znowu daktyle, a Pafia zaczął:

— Bezbrzeżne jest łotrostwo i niewdzięczność ludzi dochodzących do władzy i majątku. Znałem kiedyś pewnego Egipcjanina, który będąc mi winien sumę, przedstawiającą wartość dwu wielbłądów, szkalował mnie gdzie mógł i nazywał parszywym, skąpym żydem. Kiedy doszedł już do takiej nędzy, że nie był w stanie oddać mi nietylko dwu wielbłądów, ale nawet garści zgniłej kukurydzy nie miał sobie za co kupić, zbił mnie publicznie na placu numijskim. Wiedziałem jednak, że czasem otrzyma majątek po swoim bracie, szmatławym paraszycie, tedy nic nie mówiłem i czekałem cierpliwie. Kiedy stał się rzeczywiście bogatym człowiekiem, nietylko, że mi nie oddał długu, ale jeszcze raz zbił mnie na placu numijskim, ciągnąc przytem za brodę. Co miałem robić, — myślałem ciągle o Bogu, który patrzy na nas zgóry i może wreszcie coś zobaczy.

— Tak, — wyrzekł Szomi, ludzie są podli. Ale zanim burza przestanie szaleć na dworze i ja wam opowiem jedno zdarzenie.

— Opowiesz niewątpliwie coś pięknego — przerwał Pafia. — Mylisz się jednak, szlachetny Szomi, mówiąc, że ludzie są podli, — tak, ale nie wszyscy, dopóki ty żyjesz.

Szomi przysunął się bliżej, mówiąc krótko i szybko:

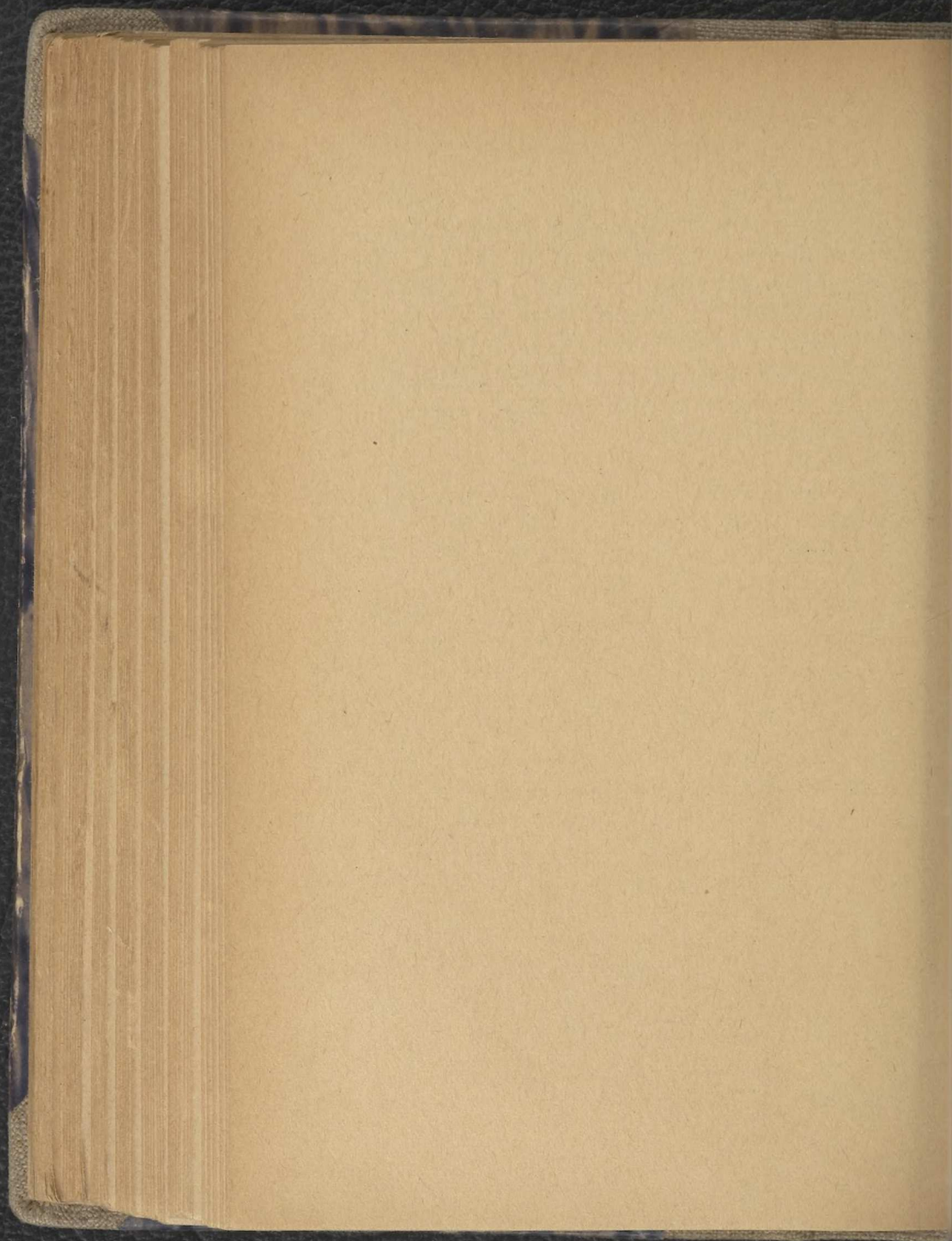
— Przed laty wielu, mój teść obecny, leciwy

Tarpie, nie bacząc na moje lata młode i ubóstwo, dał mi za żonę córkę swoją i część swego majątku. Dzięki niemu, stałem się tem, czem jestem. Ale stary Tarpie stracił wszystko co miał i pewnej nocy, gdy szalała podobna burza jak przed chwilą, Tarpie zapukał do drzwi domu mego i prosił o gościnę. Wyrzuciłem go precz i jeszcze poszczułem psami. Bo... trzeba wam wiedzieć, że nie znoszę ludzi, którym coś zawdzięczam.

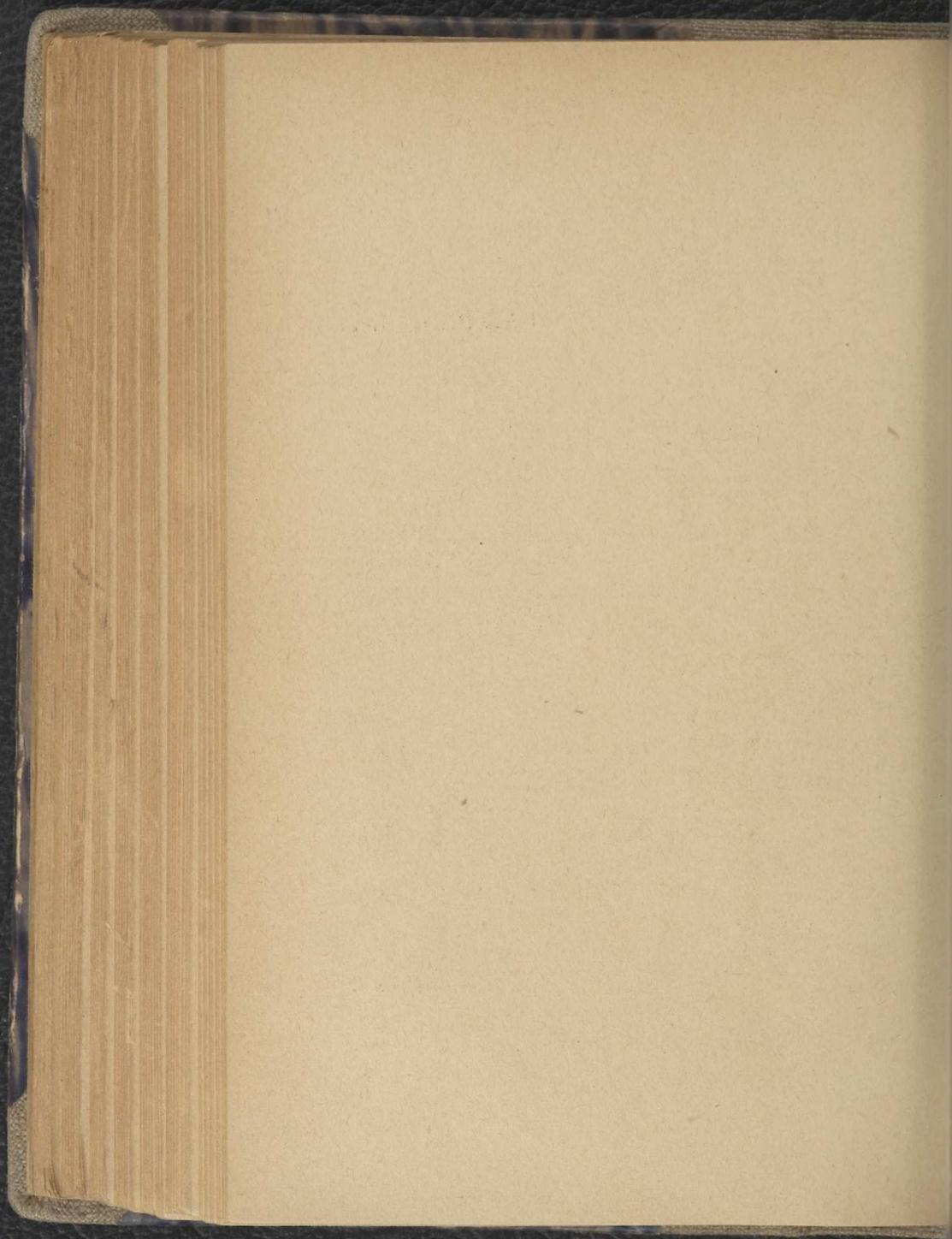
Pauza.

— Słuchaj, Rahme, zdaje się, że deszcz już przestał padać, więc idźmy.

— Idźmy.



PAN PERELKA.



Jeszcze dawniej, za czasów, kiedy żył pierwszy mąż pani Klary, — kapelmistrz orkiestry kolegów, — pan Feliks Perełka, w domu istniał jakiś ład i porządek. — Bo chociaż pan Perełka często się upijał, to jednak potrafił być srogim i wiedział czego się trzymać i jak postępować, aby uśmierzać buntujące się hordy swych własnych dzieci i swą żonę Klarę, która tym buntom przewodziła.

A dzieci pan Perełka miał wiele. — Zdarzało się nawet, że gdy wracał do domu od Kwaśniaka (a zwykle, gdy stamtąd wracał, był w specjalnem usposobieniu), nie był w stanie poprostu ich się doliczyć. Dziwne historie działy się wówczas w domu Perełków.

Otóż pan Perełka siadał na krześle pośrodku pokoju, rozparłszy się na niem, jak Batory pod Pskowem, i grzmiącym głosem rozkazywał wszystkim wstawać. — Następnie każde z dzieci musiało się przed nim zameldować, że jest. Pytania padały jedno po drugim: ile masz lat? jak się nazy-

wasz? w którym roku się rodziłeś, — gdzie i na jakiej ulicy?

Czem jest twój ojciec i jaki zawód pragnąłbyś sobie obrać?

Chwilami zdawało mu się, że go oszukują, wówczas zwracał się do wystraszonej żony: — Klarcu! — czy to ten Maniś, co miał w zeszłym roku na jesieni koklusz? — Bo mówi, że nie miał kokluzu!

Wreszcie padało tęgie pytanie, skierowane w stronę ostatniej ofiary: Ile masz braci i siostr i wlicz kolejno ich imiona!

— No, a teraz idź spać, błaznie, i na przyszłość wiedz o tem, że obowiązkiem szanującego się człowieka jest wiedzieć wszystko, o tych, którzy nas otaczają.

— A ty, Klarcu, powiedz mi ostatecznie, ile my mamy dzieci, — jako matka winnaś to wiedzieć.

W chwili, gdy padało to pytanie, Klarcia zazwyczaj już na dobre szlochała i odpowiadała cicho: siedmiu chłopców i cztery dziewczynki, sam o tem powinieneś wiedzieć najlepiej, ty nieszczęsny pijaku!

— Czy aby się nie mylisz, koteczko, — czy aby się nie mylisz, i pan Perełka zasypiał, pełen poczucia spełnionego obowiązku.

Rano role się zmieniały. — Stół, przy którym siedział pan Perełka, obstępowały dzieci, zlorzeczając głośno; zwłaszcza Hipek, najstarszy — bo

piętnastoletni wałkoń: To ci dopiero zabawę sobie wynalazł po nocy, — ojca udaje, a zadania mi kiedyś nie mógł rozwiązać. — Nie idziemy do szkoły, — czy możemy pójść do szkoły, skoro całą noc męczył nas zły ojciec, — no matko, powiedz sama?

Pani Klara zaś stała koło kredensu, patrzyła na skulonego, chliptającego kawę męża i kiwając głową mówiła jak zwykle cicho: Mój Boże! — I ma się za człowieka inteligentnego, — a czy człowiek inteligentny potrafiłby podobnie bezecne zbrodnie po nocy wyprawiać? Przecież gdy wychodziłam za niego, czy była o tem mowa, lub w pierwszych latach pożycia? Jakież przykład mają te dzieci!

— Czy nie możecie mnie, — gdy przyjdę w takim stanie, poprostu unieszkodliwić, — lub kilkoma sprytnemi posunięciami doprowadzić do apatji lub snu? — Wszak nie ja jeden upijam się na tym smutnym świecie, wracając do domu w porze nieodpowiedniej...

— Ojciec w ten sposób doprowadza nas do nieuctwa, — odpowiadał rezolutny Hipek, — bo czyż możemy się uczyć, mając głowę pełną ponurych wspomnień z nocy? A matka nasza, to co!

— O! — milczcie, bando przeklęta, — czy dom ten nie jest moim domem, w którymbym mógł po kroku nierozważnym nabrać sił do pracy!

— Do nowego pijaństwa! — powiadała ci chutko pani Klara.

— Proszę być cicho! a wy, marsz do szkoły! Tu pan Perełka stawał się lwem i momentalnie uśmierzał strajkujących.

— Ty, Kostek, możesz pójść ze mną na próbę. — Klaro, podaj mi marynarkę alpagową, — o ile jest tam przszyty brakujący guzik do jednego z rękawów.

Kostek miał piegi i był faworytem ojca. Do szkoły nie chodził, gdyż miał lat dziewięć i uczył się w domu. Zwykle towarzyszył ojcu na próby orkiestry kolejarzy.

Kostek lubił te spacer. Zdaleka było widać wielki, drewniany budynek, z którego dolatywały dźwięki instrumentów.

To kolejarze ćwiczyli się na swoich waltorniach, puzonach i klarnetach.

Gdy pan Perełka wchodził, robiło się cicho, — gdyż szanowano go za jego srogość i energję.

— Dzieńdobry panom, — proszę usiąść na swoje miejsca. — Kostuś! — tam w rogu stoi plecione krzesło, na którym również możesz usiąść.

Pan Perełka podciągał w górę zbyt wystające mankiety od koszuli, brał w dwa palce trzcinkę, uderzał nią kilkakrotnie o swój pulpit i chwilę trwała cisza.

— A prawda! — wszakże panowie nie wiedzą, co będziemy grali, — otóż przerobimy sobie parę piosenek wojskowych, które to piosenki grać będziemy w rocznicę śmierci pana burmistrza Go-

ląbka. — Proszę sobie przygotować nuty: „Nie zapomnę cię, olszyno“. — No, — proszę, — proszę, zaczynamy:

— Um-parara, — (pan Perełka zwykle pomagał sobie głosem), umpa-ra-ra, tum-ba-rara, — tum... Panie Tomnik! pan jak zwykle nie potrafi trzymać przyzwoicie klarnetu, — klarnet, mój panie, trzyma się tak, iżby wyglądał jak klarnet w ręku muzyka, a nie jak muzyk w rękach klarnetu, — ot tak, proszę!

Pan Perełka poczynął się rozgrzewać i kolejajarze z niepokojem śledzili jego ruchy.

— Zaczynamy! — Um-pa-rara, — umparara, wyżej tam w końcu, do stu patyków, — umparara — allegro! — to jest w nutach, u diabła!

Włosy się wichrzyły na głowie pana Perełki i wygląd miał niezwykle złowrogi a potężny.

Dalej! — taj-tiuriutiu, — taj-tiuriutiu, — panie Wężyk! — czy pan trzyma w rękach tubę od gramofonu, w którą pan wrykiwujesz jakieś tony bez związku, czy waltornię? — Przecież masz pan przed nosem nuty, na których znasz się pan niewątpliwie, grając w mojej orkiestrze, a nie u tego partacza Bubki.

— No, dalej! — Hop-lololo, — hoplololo, — dobrze, dalej tak, dalej, — hoplolo, upa-upa, — oś! — Boże, — wszystko na nic, na nic, rozumiecie! — bodajście poginęli nędznie, — na podwórka was wysłać, — o! partacze!!!

Powtarzało się to kilkakrotnie, — aż wreszcie pan Perełka jako tako zadowolony, brał Kostka za rękę mówiąc: chodź, idziemy do domu odpocząć.

Lecz na placu Umiłowań, nawijał się ten przekłety pisarz od rejenta, Korpiej, albo komendant straży ogniowej Głowacki i pan Perełka mówił do Kostka: idź do matki i powiedz że ja będę za chwilę.

— Dzieńdobry panie komendancie, — podobno wczoraj spaliły się zabudowania pana Zwirzka, — w których to zabudowaniach hodował on swoje rasowe króliki; krzyżaki, klapouchy i tym podobne. Króliki te podczas pożaru rozbiegły się po okolicy i dziś rano, chłopcy w pogoni za temi w gruncie rzeczy niewinnymi zwierzątkami, potratowali okoliczne zasiewy, tak że już wpłynęło parę skarg na ręce pana burmistrza. A Zwirzek siedzi sobie w stolicy, i nie wie jakie czekają go nieprzyjemności. — Takie to życie urzędza nam niespodzianki! — Aa.

— Panie Perełka! — kto panu takich głupstw naopowiadał, — wprawdzie miał miejsce wczoraj małeńki pożarek w ogrodach pana Rózyckiego, mianowicie zapalił się z niewiadomej przyczyny płot okalający ogród warzywny, i który to pożarek umiejscowiłem natychmiast, zapobiegając w ten sposób możliwości rozszerzenia się szkodliwego żywiołu. A co do pana Zwirzka, to mylisz się pan twierdząc iż jest on w stolicy, — ponieważ spotkać go możemy u Kwaśniaka.

— No, chodź pan na małe piwko, bo nie można powiedzieć ażeby było za chłodno!

Pan Perełka skonfundowany rozsiewaniem nieprawdziwych pogłosek, rad nierad szedł na piwko, chodź w głowie miał ponury obraz poranka.

U Kwaśniaka pan Perełka zapominał o rannych manifestacjach, słuchając zwierzeń pana Zwirzka, że hodować króliki byle kto nie potrafi i, że gdyby społeczeństwo zainteresowało się hodowlą tych zwierząt, w kraju by napewno lepiej się działo. A potem pan Perełka całował się z komendantem straży ogniowej, i przyrzekał solennie że w jego domu pożar nigdy nie wybuchnie, bo on sam by na to nie pozwolił. Następnie w noc, pan Perełka wracał do domu i w korytarzu już krzyczał: wstawać gałgany! — ja was — ja!

Aż pewnego poranka, pan Perełka ciskając pioruny na niemrawego klarncistę, dostał ataku sercowego i nim Kostek skoczył po wodę, zacny kapelmistrz już nie żył, ściskając kurczowo w ręku trzcinkę.

Na pogrzebie pana Perełki burmistrz miasta wypowiedział sławną mowę, w której dowiódł, że wyjaśnił co stracili w osobie kapelmistrza Perełki.

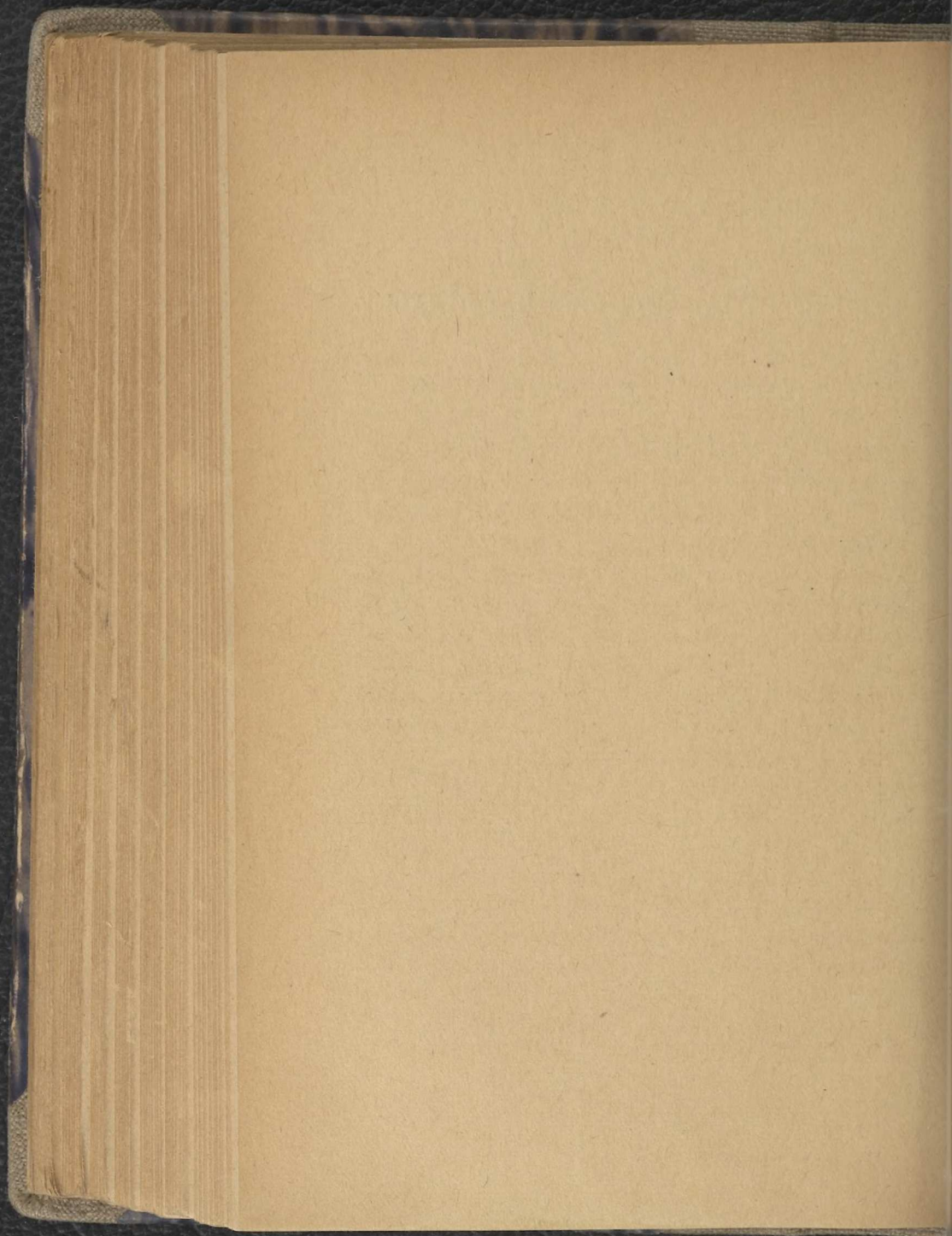
Orkiestrą kolejarzy dyrygował Bubek, a niezdarne klarncista Tomnik, trzymał klarnet prawdziwo i grał precudnie.

Jakoś pod jesień zjawiała się u pani Klary Bubkova i powiedziała że jak się ma tyle dzieci, nie

można długo trwać we wdowieństwie, a organista, Teofil Submilka jest człowiekiem zacnym i godnie zastąpi zmarłego pana Perełkę.

Organista nie upijał się wprawdzie, lecz okazał się skończonym niedojdą i perełki rozsypały się po świecie, wspominając energicznego ojca, który umarł na posterunku. A ten piegowaty Kostek, wyrósł na tęgiego kapelmistrza i gdy późną nocą wracał do domu czynił żonie wymówki, że nie mają dzieci i, że u jego ojca działo się inaczej.

OPOWIADANIE PROWINCJONALNE



Policjant radzyński niósł żarcie dla świń. Mianowicie szaflik owalnego kształtu trzymał za oba ucha i, z głową w aureoli wyziewów pomyj, zgarbiony, dążył okrakiem w stronę chlewu.

Zdawałoby się mogło, że słońce wycelowało swe palące oko jedynie w ów nieszczęsny Radzyń. Stężala martwota panowała już od rana, a teraz w pośpiechu ludzie jedząc postękiwali żałośnie, bowiem przykro jest trzymać w gębie gorący ziemniak skoro i tak cała głowa jest jakby w ogniu. Policjantowi nielepiej się wiodło. Miał on szykownie skrojony mundur z grubego, granatowego sukna, z sztywnym, wysokim kołnierzem. (Z letniego munduru zrobiono ubranko Józikowi, który teraz właśnie łowił piskorze w błocie poza miastem). Akurat wychodził na miasto, niby inspekcje jakąś przeprowadzić, kiedy żona krzyknęła: zanieśno świniakom, bo kwiczą. Podczas kiedy każde przebiegnięcie groziło świeżą falą potu, gramolić się musiał przez niskie drzwiczki do wnętrza chlewu, i tam dopiero w nader gęściuchnem powietrzu wyczyniać

przeróżne manipulacje, tak, aby dzieląc objąte dla swego żywego majątku, nie osunąć się razem ze wspaniałym mundurem w kupę gnoju. Chlew był więcej jak ciasny, policjant chłop rosły i dnia tego dość podrażniony.

Żona wyszła przed dom, i pyzată twarz usianą kropelkami potu skierowała w stronę szarzejącego w mroku zadu swego męża.

— Wont! ryjusie cholerny! — krzyczał policjant—boś mi całe cholewy omazał czemciś! Boda-jeś, draniu jeden, nic dobrego w życiu nie zaznał!

— Lolcia! wyjmij ten drut z gęby!

Lolcia siedziała na samotnej belce po przeciw-
ległej stronie podwórka i żuła spory kawałek dru-
tu kolczastego. Miała dwa lata i nie zwracała uwa-
gi na słowa matki.

Żona zdjęła bluzkę. Niepokoił ją drut w ustach dziewczynki, ale też nie chciało jej się przejść kilkanaście metrów w skwarze. Rzuciła mężowi:

— Ignac, wyjmij Lolci drut z pyska!

— Paszła szcecińcu! Co jej wyjąć? — Ozwał się głos z otchłani jakby.

— Olaboga, ależ upalisko. Drut ssie, wyjmij jej!

— U Michalaków chłopak połknął drut kolczasty!

— I co?

— Żyje z drutem!

— Co robi!

— Mówię, że żyje. Nic mu się nie stało!

— Ty głupi byku, na mózg ci padło! Bodaj ci język kołem stanął za to kłamstwo!

Policjant tyłem wysunął się z chlewu i mętnie spojrzął na żonę. Podeszedł do dziecka, odebrał drut, wiechciem słomy wytarł sobie buty i powiedział:

— Z taką wiedźmą jak ty, to i sam djabeł by nie wytrzymał.

I poszedł na rynek, zajrzeć do aresztantów.

* * *

Nieco za miastem mieszkał kierownik tartaku, Kwaśniewski. Duży mężczyzna o byczym karku, z rzadkimi, blond włosami i czerwonej twarzy. Boso, w spodniach i zawiniętymi rękawami u różowej koszuli, wyszedł przed dom i jął prażyć z dubeltówki w poczerniały płot.

Aliści po kilku minutach z za płotu wychynął nasz policjant. Stanął z rękoma w kieszeniach spodni i ponuro patrzył na Kwaśniewskiego.

— Prrach... prrach...

— Co pan robi? — zawołał policjant.

— Ca?! — szczechnął Kwaśniewski, nabijając dubeltówkę.

— Co pan robi, pytam się pan?

Prrach... prrach...

— Strzelam z dubeltówki.

— Tak w biały dzień, w mieście?

— W nocy mam strzelać, *ca*?

Prrach... prrach...

— Spokój mieszkańcom pan zakłócasz.

— A *ca!* w pole mam iść na taki żar?

— Choćby, a co huk, to huk.

Prrach... prrach...

— Nie wolno strzelać, bo hałas.

Kwaśniewski, nabijając dubeltówkę:

— A jak mi tu w nocy furmanki przejeżdżają koło domu, bo nie puszczacie ich głównym traktem, to nie hałas, *ca?*

— Jedna furmanka, to nie to, co strzały.

— A pięć furmanek jednocześnie, *ca?*

Prrach... prrach...

Policjant opuścił głowę i butem zataczał łuki na piasku.

-- Tak, pięć to większy.

-- A jak czasem księżyc świeci i widzę w dodatku te furmanki, a trzeszczą, przyjemność, *ca?* I to w nocy, a nie w dzień, kiedy ja się tu zabawiam czasu kanikuły.

Kłopotliwe milczenie i: prrach... prrach...

Policjant zbliżył się, kołysząc biodrami.

— Ile to taka kosztowała?

-- *Ca?*

-- Fuzja ile kosztowała, pytam.

-- *Szejset.*

-- Złoty?

-- Złoty!

Prrach... prrach...

Policjant zbliżył się jeszcze, zsunął czapkę z czoła i wyjął ręce z kieszeni.

— Dałbyś pan raz spróbować.

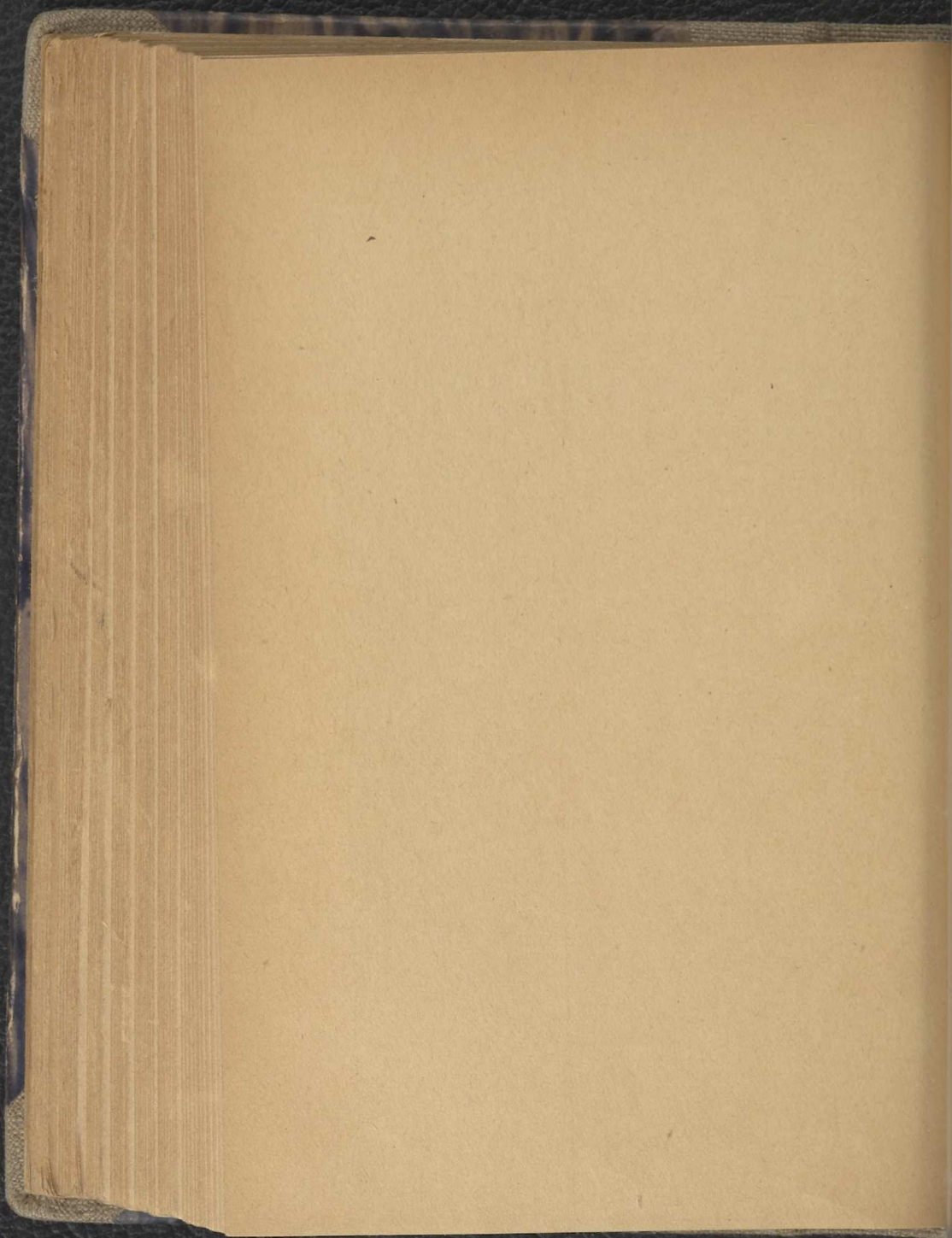
— *Ca?*

— Strzelić raz!

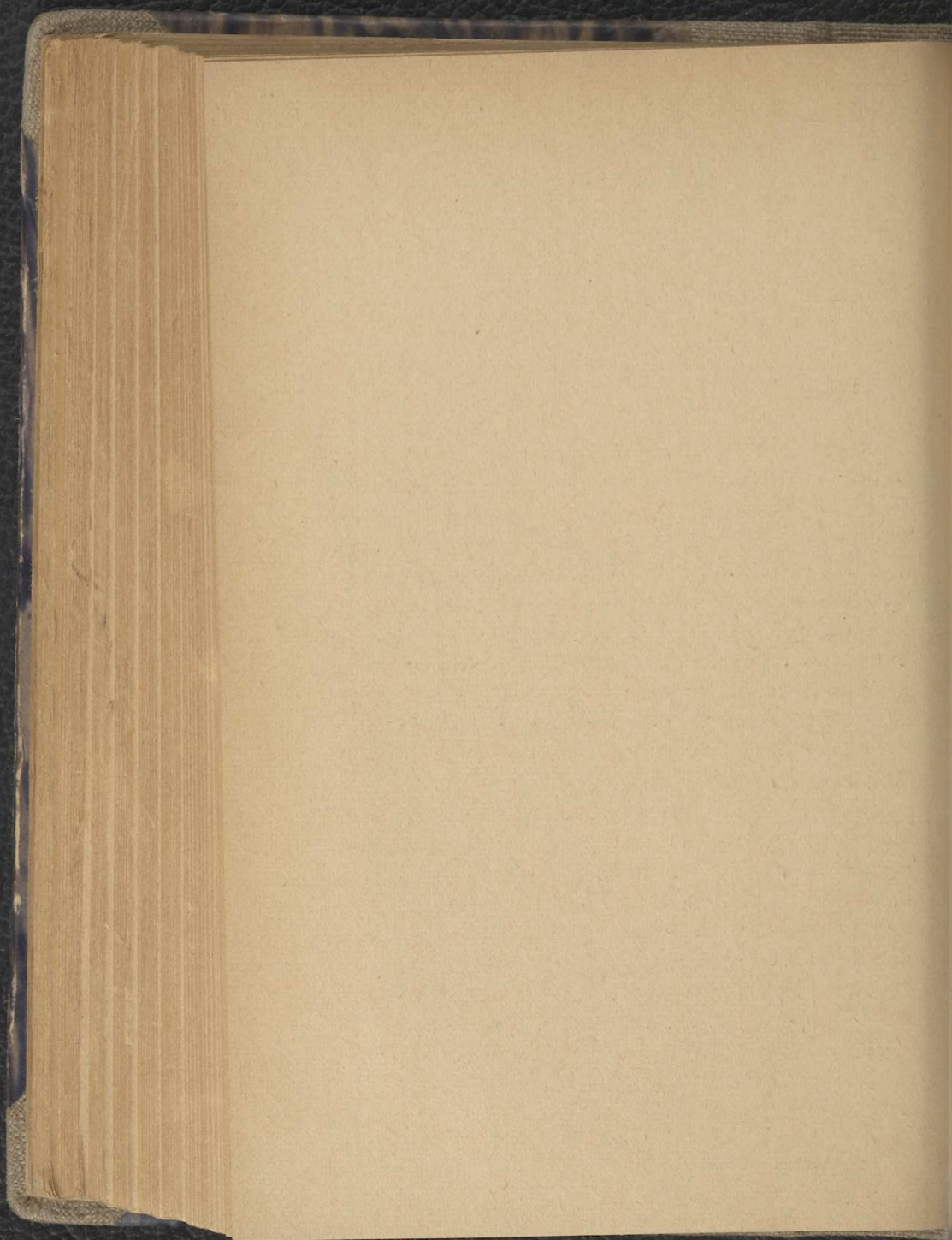
— Nie.

Policjant odwrócił się i odszedł wolno. Ale zaraz przyspieszył kroku, bowiem ujrzał chłopców, strząsających kamieniami morwy z drzew. Działawa ze szkoły południowej miała przerwę w lekcjach, a drzewa rosły obok szkoły.

Prrach... prrach.



FOTOGENICZNY STARUSZEK.



Staruszek Amilkar jest już doprawdy do niczego; — przykro patrzeć, jak trzęsie się bezustanku, popychany przez wnuków, łajany przez swoje własne dzieci i upominany przez swych rześkich jeszcze rówieśników. — Bo staruszek Amilkar nie jest jeszcze — w gruncie rzeczy — taki stary, ot, poprostu żył sobie, — że tak powiemy — zbyt intensywnie, za szybko, — chciał przegonić swoje lata i oto stanął w połowie życia, tak coś przy pięćdziesiątce, raczej nie stanął zupełnie, a włókł się. — I w rodzinie nazywano go: „ten stary łajdak, co zmarnował nasz majątek“.

Takiego to, — los wyplatał staruszkowi Amilkarowi — figlasa. Zamiast cieszyć się poważaniem rodziny i szacunkiem bliźnich, zbierać — że się tak powie — śmietankę z życia, siedzi oto na koślawym taburecie, w wielkiej kuchni nad glinianą miską i trzęsącemi się rękoma łuszcze groch, — a wesola Kleopatja, zbierając fusy z rosółu, opowiada: — Żeby pan widział jak te wyciruchy — te obieżyświaty szwindrają się po mieście, — Panie

odpuść wszystkie grzechy! — ja sama o mało nie zemglałam kóregoś tu ranka, kiedy poszedłam po wodę; — a no kręce sobie korbe, jakby nigdy nic i spuszczałam kubeł do studni, a tu, — bodajem pacierza zapomniła — słyszę jak coś trajkoce mi w uszach, wtedy podnoszę łeb do góry i, — święty Inocenty — jakieś czarne ślepio na mnie patrzy, niby wylazi ze skrzynki, i widać nogi żywego człowieka, a bez głowy, tylko ręką rucha cościk taką korbeczką, — puściłam wiadro pełne wody i dymnęłam do kuchni, takie to życie — Panie święty — a nie dalej jak wczoraj, kiedy pan trzepał odzienię na podwórku, przyszło tu dwóch takich drygantów w długich portkach i dalejżego prosić mnie, że to niby dla jakiejś tam sztuki filmowej, że niby nic mi się nie stanie, że sobie tylko trochę pochodzę, tak gadali i pakowali mi w łape pieniądze, — nareszcie dałam się skusić, bo jeden z nich mrygał na mnie i wziął mnie za rękę, — tak to i sobie pokręcili trochę na mnie i dali jeszcze 10 złotych — takie to życie — ach — i teraz te face ty — słyszałam jak mówili, że szukają — jakichś-cik tam typów, czort wie co to znaczy i czy czego złego na człowieka nie naprowadzą, o! — bodaj-by was pierony, — tu Kleopatja wyjrzała przez okno, — djabli nadali z prosiętami, ryją i ryją, nie dają urosnąć niczemu, — to mówiąc wybiegła do ogródka.

Gdy wróciła zadyszana, staruszek Amilkar powiedział drżącym głosem: — to, to... to... to, oni —

panie dziejku — filmują, tak, tak, koteczko — jak ja miałem... to jest... dwadzieścia lat temu... to, to... mnie chcieli... a jakże, do Wiednia... do takiego miasta w Austrii... wziąć — panie dziejku, — za artystę... tak... tak, ale człowiek miał pstro w głowie i co to... nie tego... nie skorzystał... a podobno dużo pieniędzy... można było zarobić.

— Juścik że dużo, kiedy mi dali za parę minut łożenia dziesięć złotych.

— Tak, tak... pstro człowiek miał w głowie... a teraz co?! — I staruszek Amilkar rzuciwszy garść straków do kosza wyszedł przed dom, mamrocząc po drodze: — a teraz co... wiadomo... za późno.

Staruszek Amilkar poszedł na ganek, usiadł na ławce i począł się grzać na słońcu. — Nie trwało to jednak długo, bo po paru minutach z wnętrza domu wybiegła synowa z okropnym wrzaskiem: — co to, już ojciec siedzi! już, już, już, — a robota, to co, sama, sama się robi. — Ani trochę, ani trochę pożytku, — tak do samej śmierci będziemy karmić, — karmić i ciężko pracować! — Ojciec się nie poczuwa nic, ale to nic. Ojciec by tylko siedział, wygrzewał się i rozmyślał o swoim łajdackim życiu. Tak, ohhojojjoj!!!

Przy ostatnich słowach synowej staruszek wstał nader żywo, jakby rażony prądem elektrycznym i już zmierzał do kuchni, gdy jakiś wesoly łagodny głos zabrzmiał w powietrzu:

— Przepraszam pana bardzo, pan wybacz, że go zatrzymuję: sprawa jest tego rodzaju: — ja jestem operatorem filmowym, a ten pan nieopodal reżyserem. To mówił młody, elegancki mężczyzna i wskazując tęgiego jegomościa, stojącego pod kasztanem, ciągnął dalej: robimy w tej okolicy szereg zdjęć, oraz poszukujemy typów; — właśnie pan nam bardzo odpowiada, — może pan pozwoli zdjąć się, oczywiście za wynagrodzeniem. Filipie, pozwól-no tutaj, powiedz co pan ma robić.

Filip się zbliżył i kazał staruszkowi Amilkarowi robić przeróżne miny, przewracać oczyma, naginać się, wykręcać, a wreszcie dali mu również dziesięć złotych i powiedzieli, że może jutro przyjdą.

Podczas gdy filmowcy nakręcali staruszka Amilkara, synowa jego stała z szeroko otwartymi ustami i gdy tamci odeszli, zrobiła zrywa na pieniądze, trzymane w ręku zdziwionego teścia, poczem wyrwała mu je, mówiąc: — No, nareszcie jakiś pożytek, — no, a teraz do roboty niech ojciec idzie i nie będzie taki ważny, — a to ci przypadek — pewno jakieś warjaty.

Na drugi dzień przed południem, kiedy staruszek Amilkar reperował płot na podwórzu, — koło furtki zatrzymało się auto, z którego wysiadło dwóch filmowców. Operator zwrócił się do staruszka Amilkara i powiedział wesoło:

— Zabieramy pana ze sobą, — jest pan nam potrzebny, będziemy kręcili film, w którym dosta-

nie pan odpowiednią rolę. No tak, — podpiszemy kontrakt — czego pan tak się zasepił — będzie pan zarabiał masę pieniędzy. — Cóż, roześmiejże się pan i proszę się przygotować do podróży, — będziemy tutaj wieczorem. — Szkoda czasu na gadanie.

Filmowcy zostawili osłupiałego staruszką Amilkara na podwórzu, tak jak stał, z siekierą w dłoni i odjechali, zostawiając za sobą tuman kurzu.

Nie będziemy tutaj opisywali szczegółów, związanych z wyjazdem staruszką Amilkara do wielkiego miasta, na nowe życie. Wyjeżdżał w każdym bądź razie półprzytomny, odprowadzany uszczęśliwionem spojrzeniem synowej i zajadłem szczekaniem czarnego, pokracznego psa Ptifurka.

Tak więc został aktorem filmowym nasz staruszek Amilkar. — Zdjęcia trwały parę tygodni i przez cały ten czas, śmiało to rzec możemy, staruszek Amilkar robił wszystko, co mu kazano, w stanie półprzytomnym: — grał rolę półdzikiego trampa, dosiadał ognistego rumaka i palił fajkę pokoju z Indjanami. Wreszcie film ukończono i po paromiesięcznym triumfalnym pochodzie po różnych miastach, widzę taką scenę:

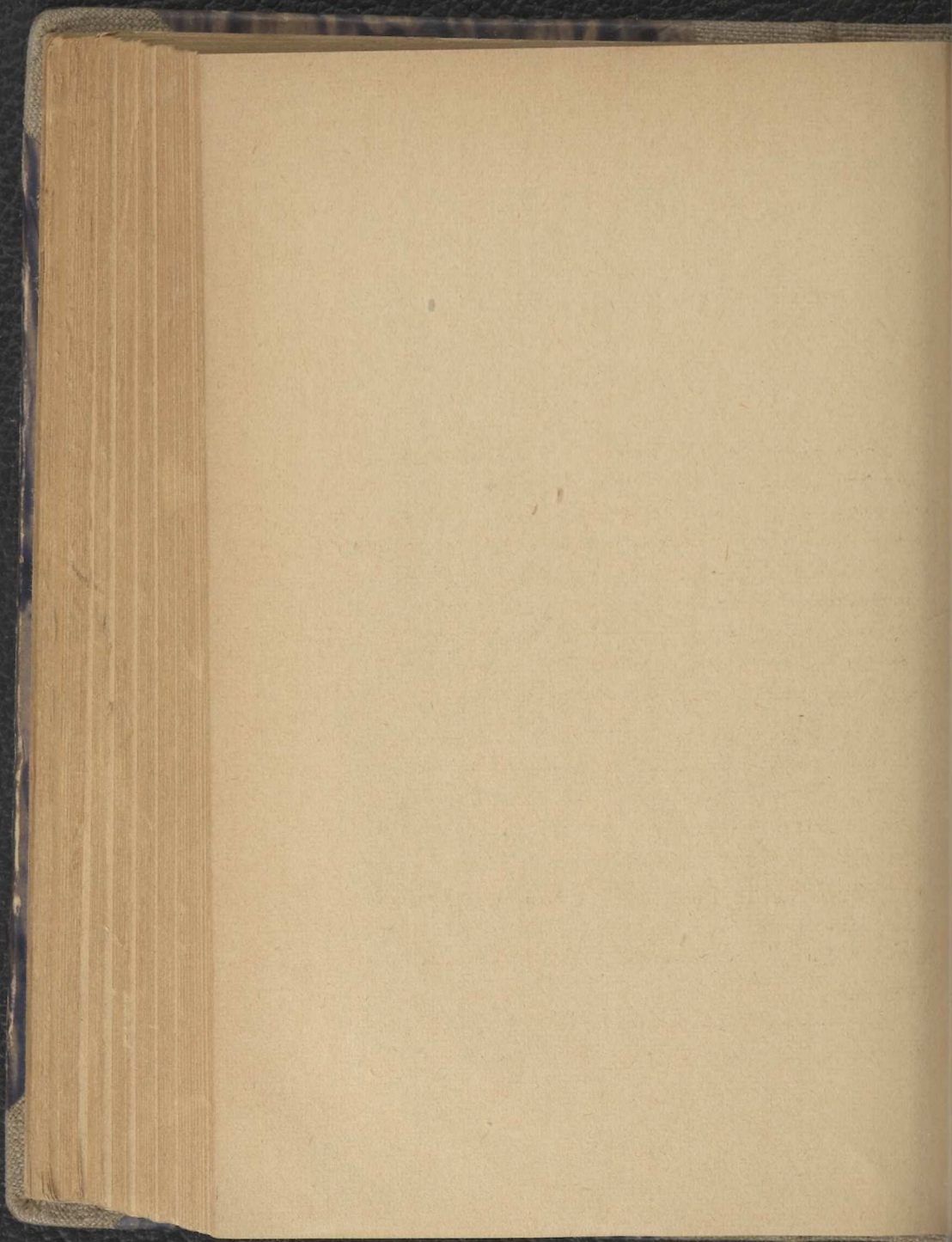
Właśnie Kleopatja była zajęta zamiataniem zeschniętych jesiennych liści z podwórza, gdy wspañiała limuzyna zaturkotała w pobliżu, zatrzymała się i wysiadł z niej elegancki, czerstwy starzec, z monoklem w oku. Kleopatja krzyknęła okropnie i uciekła do kuchni. Na krzyk ten wyszła na

ganek znana nam już synowa staruszka Amilkara i objąwszy szybkim spojrzeniem sytuację, podbiegła do eleganckiego pana.

— Ojciec, — nasz kochany ojciec, poczciwy ojciec — wrócił, nie zapomniał — wrócił do swoich dzieci. — Och! — Najświętsza panno — jaka ja jestem szczęśliwa, — ot, tu — tatusieńku, — proszę tylko aby ostrożnie.

Rzeczywiście był to staruszek Amilkar; — spojrzawszy jednym okiem przez monokl i powiedział: — wstąpiłem tutaj po drodze, aby zabrać swoją starą pamiątkową — wiesz o czem mówię — tabakierkę. Co obiad? nie, nie mam czasu, — muszę się przygotować, ponieważ za parę dni wyjeżdżam do Ameryki. Przynieś mi, dziecinko, tę tabakierkę, a ja tutaj poczekam i popatrzę.

STRESZCZENIE PEWNEJ POWIEŚCI.



Syn pewnego żandarma i ubogiej staruszki, oraz brat pewnego kolejarza, pokłócił się ze swoją narzeczoną o to, że nie mają dzieci. W sprawę wdał się maleńki pers o nieciekawej przeszłości. Narzeczona porzuca brata kolejarza i zakochuje się w persie, który jednocześnie ginie ze zbrodniczej ręki handlarza starożytnością. Bo ten handlarz kocha się w narzeczonej brata kolejarza; ale ona go nie chce z powodu piwnych oczu u tegoż.

Tymczasem brat kolejarza, z zawodu właściciel siłomierza w parku rozrywkowym, na imię mający Hubert, stacza się coraz, — panie dzieju, — niżej z powodu straty ukochanej, wkońcu zostaje urzędnikiem Kasy Chorych.

W międzyczasie handlarz starożytności zostaje arestowany pod zarzutem morderstwa persamarzyciela i co za tem idzie, skazany na dożywotnią ciupę.

Oto mamy już trzy ofiary przewrotności kobiecej, ale nie na tem koniec; bo cudnej urody mło-

dzieniec, astronomiczne dziecko, wpada w ręce tej Kleopatry, na imię brzmi jej Gilda.

Zdawałoby się, że Gilda ukończy teraz swój burzliwy żywot i powróci do cichej przystani życia małżeńskiego.

Lecz, o, nie! tym razem inny traf staje na przeszkodzie; — Zamorski książę, słusznej urody, wieku i wzrostu mężczyzna, przyciąga do siebie Januarego (tak na imię astronomicznemu synowi). Książę Reginald namawia Januarego do różnych czynów, których wierność obrazu, oddać nie wypada. January się na to zgadza, porzuca Gildę i oto ta kobieta, która tylu mężczyznom złamała życie, została ukarana przez zjawisko natury fizycznej.

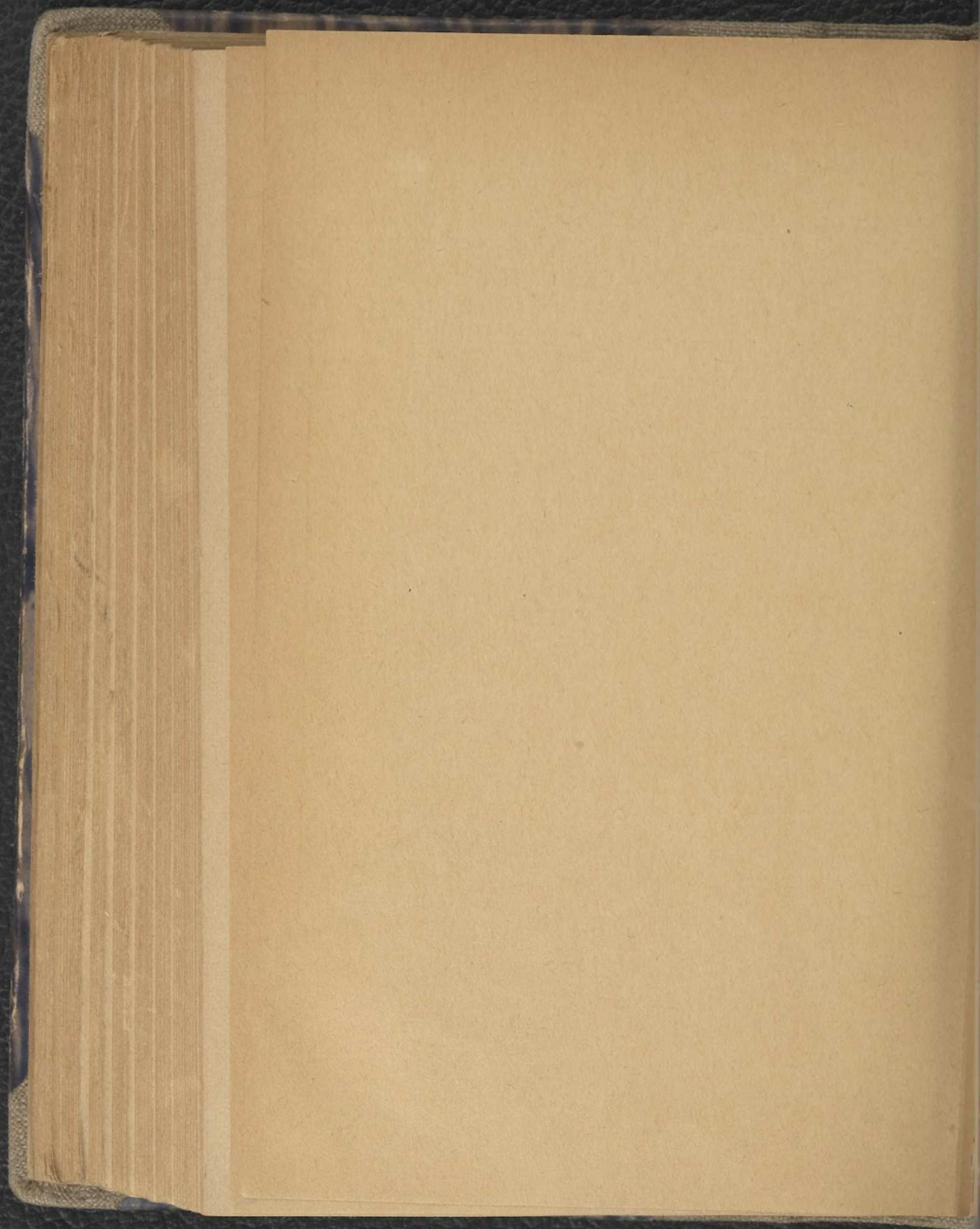
Ale Hubert przez ten czas dobił się wysokiego stanowiska i mimo to nie zapomniał o Gildzie.

Kiedyś w niedzielę spotyka ją na deptaku, koło hotelu Europejskiego podczas zmiany warty. Piękna to jest scena; orkiestra gra fenomenalnie, Gilda zapłakana rzuca się w szeroko rozwarte ramiona Huberta, poczem idą przytuleni w swoją stronę.

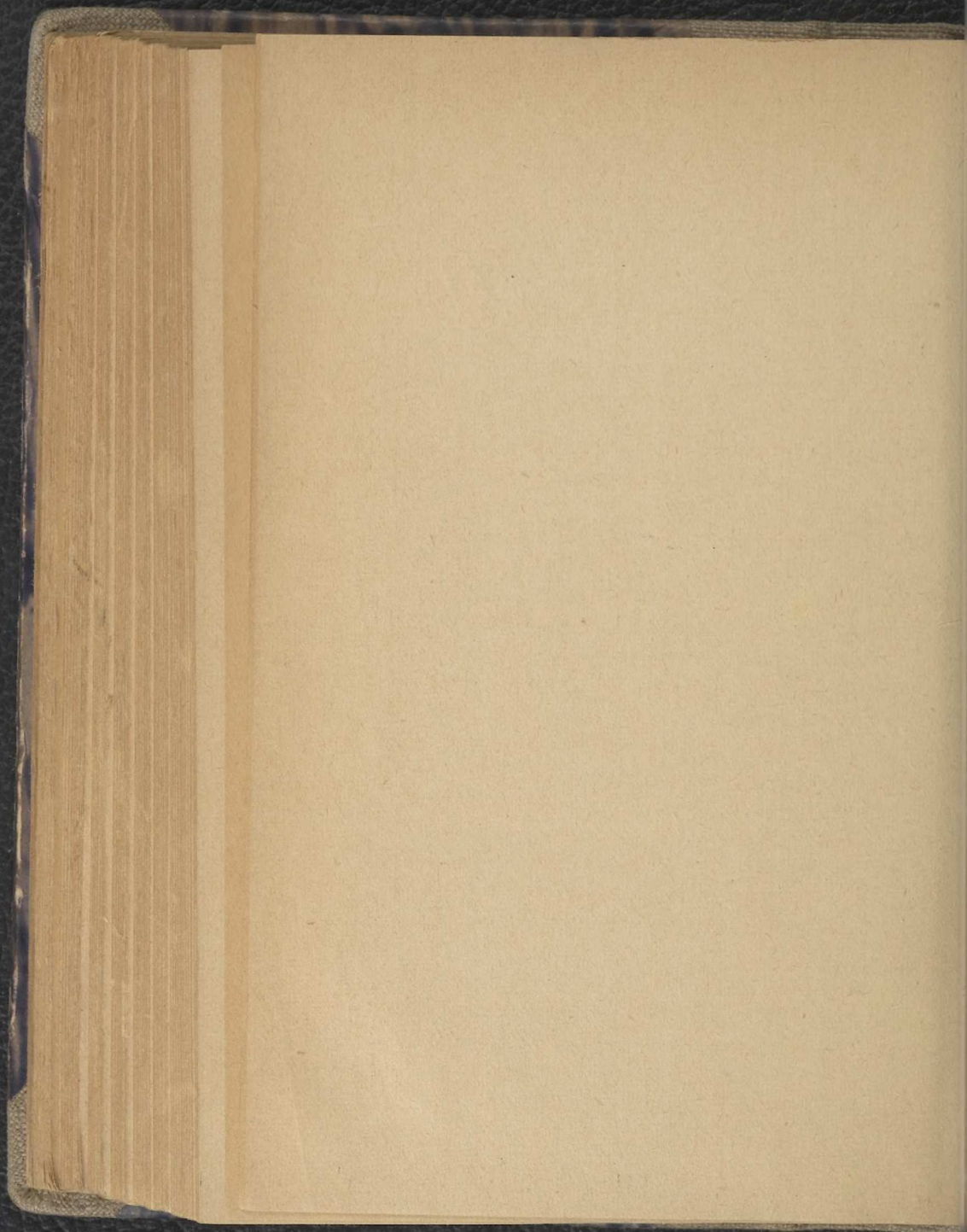
A pers-marzyciel żyje, zaszła fatalna omyłka i sędzia zmuszony jest przeproszać handlarza starożytnością za dwuletnią ciupę; ten jednak jest tak rozwścieczony, że po wyjściu na wolność, zwabia pers-marzyciela do jednego zagajnika i tam zadusza go własnymi rękoma. — Następnie odszukuje Hubertów, którzy akurat zajęci są zmianą pieluszek dziecka, i tu, o krótki szpic! — bodajem

nie doczekał tego rozdziału — handlarz uderzeniem brązowego świecznika zabija Huberta, w oczach Gildy damasceńskim sztyletem zarzyna jej dziecko, tenże sam sztylet wbija jej po rękojeść w matczyną pierś, wezbraną miłością ku pierworodnemu i sam z okrzykiem: — Ała-werdi — rzuca się z okna w spienione nurty rzeki; lecz tu wpada w ramiona policjanta.

A ponieważ jest to dopiero połowa powieści, więc nerwy odmawiają mi posłuszeństwa, i kończę na tem.



KRYTYK



Wielki krytyk usiadł wygodnie w fotelu przy swoim wspaniałym biurku i zajadając parówki w cieście francuskim, rozpoczął losowanie. — Nieopodal po lewej stronie na trójnożnym stoliku, stał piękny rżnięty kryształowy puhar, w którym znajdowały się losy; — były to poskręcane, seledynowe papierki z wypisanymi na nich nazwiskami pisarzy i poetów, tudzież tytułami ich dzieł. Wielki krytyk wytarł palce o grzbiet leżącego mu koło nóg psa i zanurzył rękę w puharze, — pozostawił ją tam wewnątrz przez chwilę, mrużąc coś i patrząc bezmyślnie na swój własny nos. Wreszcie wyciągnął zwitek papieru, ruchem jakim się wyjmuje z wody piskorza i rozwinął go. Nazwisko jakie tam odczytał wywołało na jego twarzy neutralne wydęcie warg, — teraz więc trzymając rozpięty na palcach lewej ręki paperek z nazwiskiem autora i tytułem jego książki, prawą zanurzył — wielki krytyk — w maleńkiej szufladce biurka i stamtąd wyciągnął drugi taki podobny paperek, — rozwinął go również i znalazł tam tylko trzy słowa wypisane

sane podobnemi literami: „Nicz nie warto“, — te raz zestawił oba papierki razem, uśmiechnął się perfidnie i począł rozmyślać, utkwivszy jednocześnie bezmyślnie wzrok w małym akwarjum, gdzie dwie złote i napół żywe rybki, szturgwały przepływając trzecią zdechłą, trwającą w pionowej pozycji.

W pewnej chwili skrzypnęły drzwi i dziewczyna o twarzy, na której widok ustałaby najęźsza nawet czkawka, wniosła na tacy herbatę, następnie wyciągnęła z kieszeni wyszmelcowanego fartucha garść zwiniętych papierków mówiąc: „Ne mogłam wieny napisać, bo w manglu była robota, — tutaj ma pan dziesięć papirków po „dosić dobry“, — dziesięć papirków po „takie szobie“ i dziesięć po „nicz ne warto“, — jutro może wien...

— Ach dobrze, dobrze, — i tak nie obrobie dzisiaj więcej jak czterech, — wymamrotał wielki krytyk — możesz odejść ptaszyno.

Ptaszyna wyszła, a wielki krytyk gryząc pióro zagłębił się zpowrotem z rozmyślaniami; w jego głowie z odpowiednią ilością zwojów mózgowych, przelatywały na podobieństwo podmuchów zefirku, wspomnienia z całego życia: — tyle zajęć, tyle fachów, dobry Stwórco; — i hodowla gołębi w Zarybnikach i gra na gitarze w podmiejskich pociągach i chiromancja, z pięknie brzmiącym nazwiskiem Phalo i żywy towar i martwy towar i polityka, a wreszcie ot, przystań — i wielki krytyk spojrzął

z rozrzewnieniem na stos książek, z napisem na każdej: „Egzemplarz recenzyjny“.

Mrok poczynał ocierać się o ziemię i ogarniał z wolna gabinet wielkiego krytyka, a ten myślał i myślał. — Po kilku minutach jednak powrócił do rzeczywistości i wydobyl z biurka niewielki powielacz; — popatrzył pod światło na kliszę, następnie umieścił ją w powielaczu, podłożył arkusz papieru i przeciągnął wałeczkiem po siatce, spojrzal z zadowoleniem na treść: — Wiersze (tu wielki krytyk dopisał piórem nazwisko) Izydora Pomyłki tchną typowem, rzecz można, grafomaństwem. — Mości poeto, radbym wiedzieć co to znaczy: księżyc (podpisane piórem): we mnie mieszka? — Zostań pan lepiej dzwonnikiem, bo to pomyłka, panie Pomyłka — i t. d., tu następowały różne rady. — Po ukończeniu tej czynności wielki krytyk znowuż zanurzył ręce we wnętrzach puharu i szufladki, — rozwinął papierki, przeczytał, ziewnął, zmienił kliszę i odbił co następuje: Proza (tu znowuż piórem) Haralda Wrońszczyby-Rewinnickiego, jak haszysz upaja i odurza. Ileż zwięzłej, rzekłbym skondensowanej, prawdy życia mieści się na żółtawych stronicach tej fenomenalnej książki. — Niechaj dobry Bóg strzeże tak wielki talent, mimo że są tam pewne usterki. — Mam nadzieję i t. d., — a przy końcu, — Amen!

Robota trwała jeszcze parę minut, wielki krytyk włożył recenzję do kopert, zaadresował je do odpowiednich redakcyj, pociągnął psa za ogon,

podrażnił kanarka, wtykając palec między pręty klatki, umył ręce i wyszedłszy na ulicę stanął przed bramą i znowuż począł myśleć, — trwało to jednak niedługo, — wielki krytyk zawrócił na pięcie, pobiegł zpowrotem do biurka i przełożył zawartość kopert z jednej do drugiej—i zupełnie już spokojny, poszedł sobie na kefir, — po drodze jednak napotkał znanego poetę.

— Cóż tam — panie złociutki — jest tam coś nowego w literaturze, talencik jakiś nowy, he.

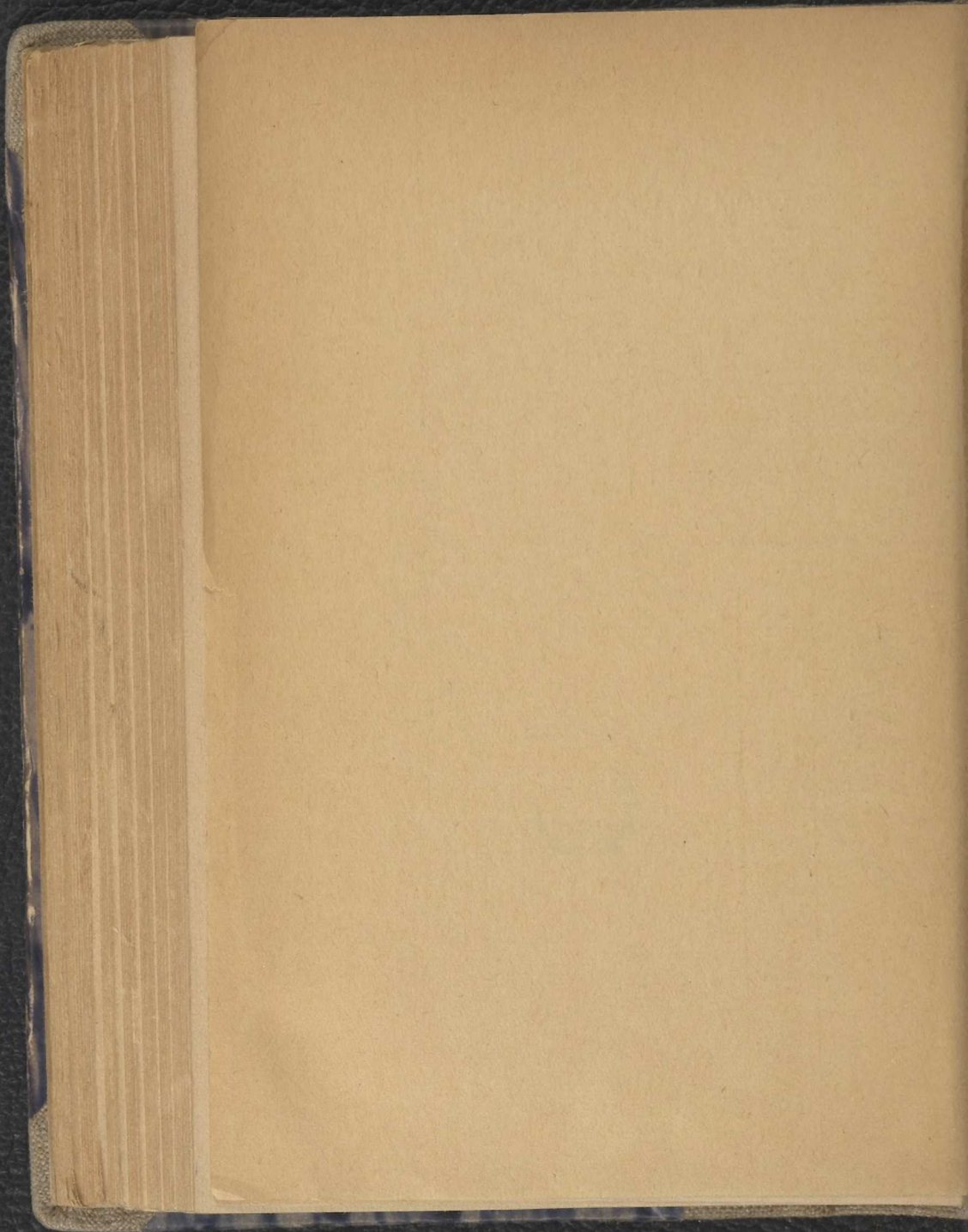
— Ach — wie pan — nie mogę się właściwie zorjentować, — tyle tego, tyle tego — wie pan — jest. — Mam nadzieję...

— A jakże się panu podobał mój „Meander Tęczowy“?

— Oo! — świetny, rzekłbym genialny, — faktycznie dawno już...

— Jaktó — zaryczał poeta — przecież nie dalej jak cztery dni temu zjechałeś pan to w „Kieracie Intellektu“, — nazwałeś — nazwałeś mnie pan — psiakrew! — matolem i kazałeś mi się pan — psiakrew! — puknąć w czoło. — Ej! — ja was tu...

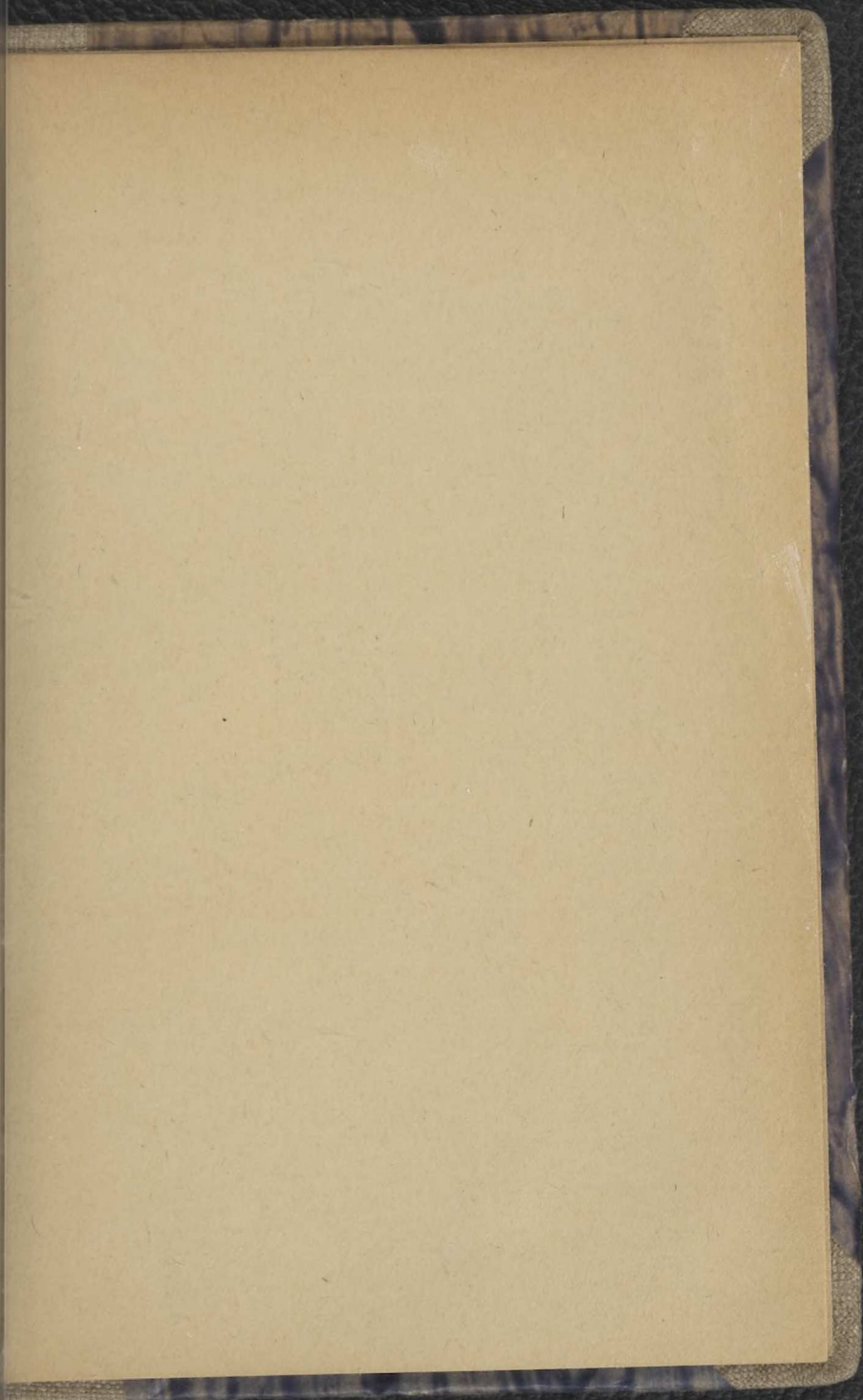
— Panie, panie, tylko z laseczką zdaleka, — czy ja mogę wszystko pamiętać — co to — mam się tak znać zaraz na wszystkim, daj pan spokój, — cofnę, cofnę!!



SPIS RZECZY.

	str.
Człowiek w w oknie	1
Upadek logiki	23
Syn Mirandy Lubocza	31
Stary zegar	57
Dobrodziejstwo Cson-Ten	65
Salon pani Lammemi	79
Narpierw idzie sztuka kulinarna	97
Samobójca	111
Opjum	125
Opowiadanie antysemitki	133
O miłości	139
Dwaj poeci	147
Oj, życie., życie	155
Podwójna śmierć	161
Sceptyk	169
Gracz	179
Burleska	187
Myszy i ludzie	195
Dawna rozmowa	203
Pan Perełka	211
Opowiadanie prowincjonalne	221
Fotogeniczny staruszek	229
Streszczenie pewnej powiesci	237
Krytyk	243

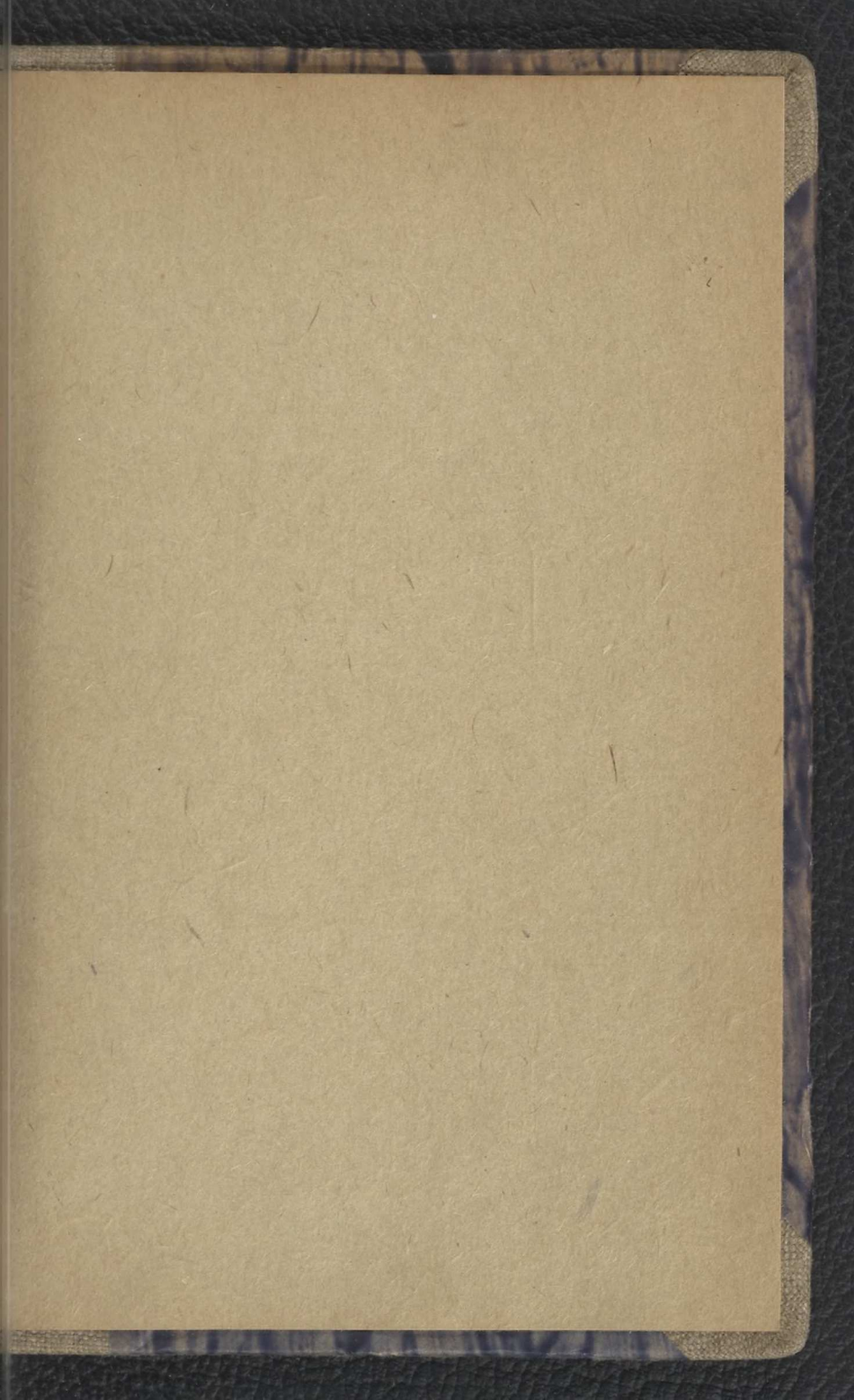
7495/33

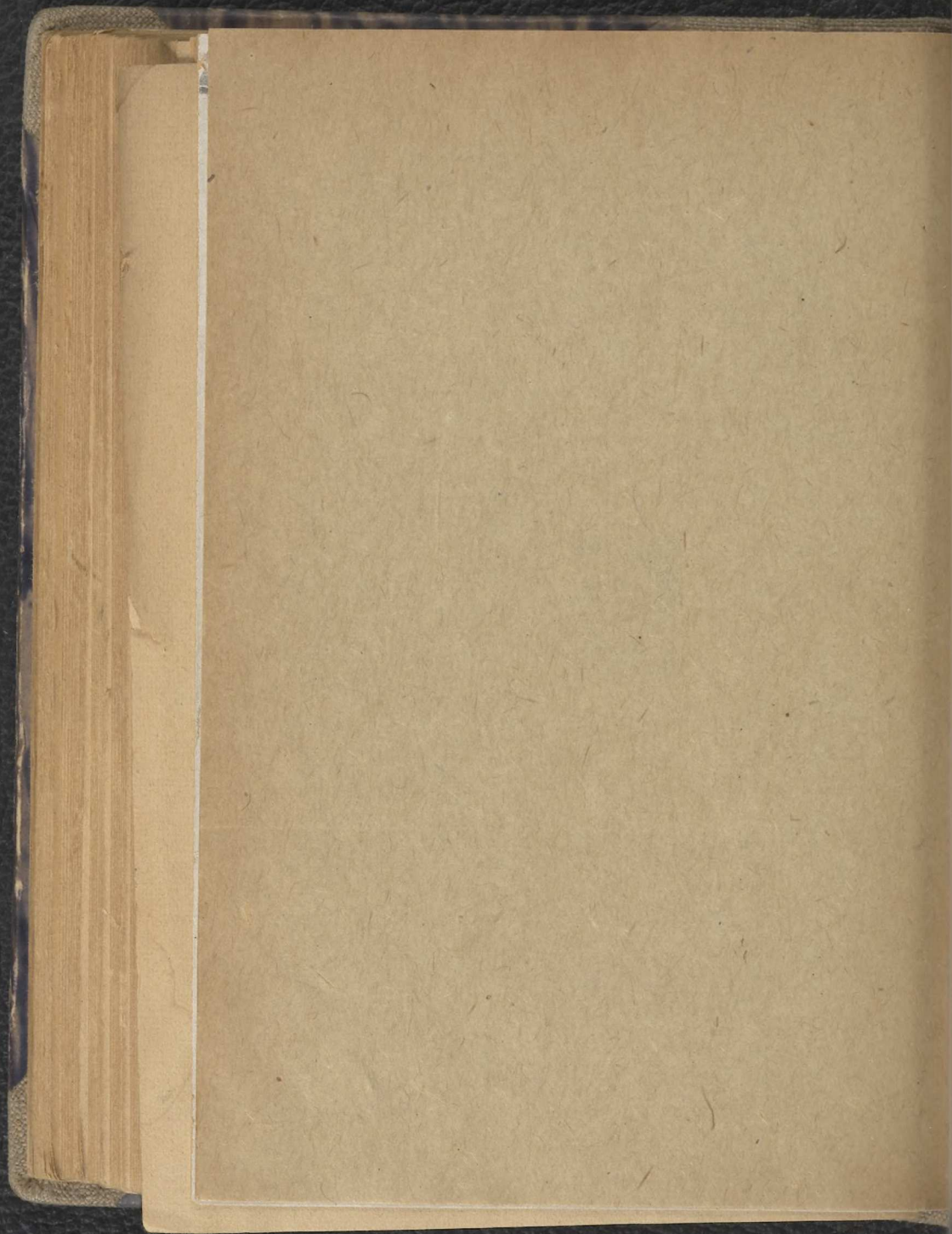


7 PAŹ 1933

4495







Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020085412



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

548471